



*Claudia
Schreiber*



Rozkosze Emmy

Tytuł oryginalny: Emma's Luck

TTLR

Helmutowi

Emmo, prawdę rzeknij szczerze:

Czym ja zdurniał z tej miłości?

Czy to raczej miłość sama

Z mej durności się tu bierze?

Ach! niech wie ma droga Emma,

Że miłości prócz szalonej,

Że prócz miłosnego szału

Dręczy mnie i ta dylema.

Heinrich Heine

Sypialnia Emmy to był istny chlew. Części garderoby wylewały się z szuflad i szafy, stosy gazet razem z niezapłaconymi rachunkami zmieniały się w nocny stolik i taboret, pod łóżkiem tańczyły kłęby kurzu wielkości pięści, osiadając na niedojedzonych resztkach chleba.

Na dworze wschodzące słońce barwiło pola na czerwono, a na trawach lśniła rosa. Emma owinęła się szczelnie puchową kołdrą, tak, żeby ją mocno obciskała. Zazdrościła swoim świniom, które ciasno jedna przy drugiej leżały w świeżej słomie, oddychając w tym samym rytmie. Ich dni tak cudownie wypełnione były nicnierobieniem. Wieczorem czy rano, w dzień czy w nocy – przewalały się z kąta w kąt, tarzały w błocie, żarły, czochrały się z lubością grzbietami o płot ogrodu, polegiwały obok siebie, ciało przy ciele. A kiedy już od tego godnego pozazdroszczenia życia obrosły słuszną warstwą słoniny, Emma zapewniała im piękne odejście: krótkie i bezbolesne. Sens ich świńskiego życia dopełniał się pod postacią kiełbasy o niebiańskim smaku.

Emma uważała, że nie ma wspanialszego, prostszego, bardziej sensownego i spełnionego życia, niż być świnią w jej zagrodzie.

Wstała i bosy wyszła na dwór w swojej sfatygowanej koszuli nocnej. Na powitanie dumnie przymaszerował kogut, niby oficer dyżurny całego gospodarstwa. Emma zasalutowała, na co on zdawał się meldować służbiście: „Nic szczególnego nie zaszło, w domu i w zagrodzie bez zmian”. Kot ocierał jej się o nogi, dopominając się pieszczot, i ruszył za nią do ogrodu.

Wszystko wokoło rozkwitało, gęste krzewy okalały drewniany płot. Cukinia, papryka, por i pomidory – wszystko rozrastało się wspaniale, niczego nie objadły ślimaki, niczemu nie zagrażały mszyce. Emma zerwała garść malin i włożyła do ust. Uwielbiała czuć pod bosymi stopami ciepło wilgotnej ziemi. Z zadowoleniem wdychała powietrze lata, przyglądając się skowronkowi, który śpiewał dokładnie nad jej głową.

W oborze na powitanie solidnie poklepała po grzbiecie krowę. Żeby zaspokoić poranne pragnienie, położyła się pod krowim brzuchem i zaczęła doić sobie mleko wprost to ust. Strumień nie zawsze trafiał, gdzie trzeba, mleko zalewało jej oczy, szyję, spływało w wycięcie koszuli. Jak dziecko otarła usta rękawem, zadowolona i syta. Na koniec wśliznęła się do kurnika i zabrała trzy jajka.

W domu jak co rano włączyła telewizję śniadaniową i postawiła patelnię na kuchni. Akurat był jej ulubiony prowadzący. Powiedział: „Dzień dobry, drodzy widzowie!”, ale Emma wyraźnie słyszała z aparatu jego miłe i bardzo osobiste: „Dzień dobry, Emmo!”. Odpowiedziała na powitanie, a potem odwróciła się z uśmiechem, żeby usmażyć jajka i nakroić chleba.

W tym momencie pod dom zajechał samochód. Po charakterystycznym warkocie Emma rozpoznała policyjny wóz Hennera, volkswagena garbusa. Przetarła brudną szybę w jednym miejscu, żeby zobaczyć, czy wiejski policjant ma na głowie służbową czapkę. Bez czapki przychodził w pokojowych zamiarach, czapka na głowie oznaczała, że będzie się czepiał.

Henner miał czapkę na głowie!

Klnąc na czym świat stoi, Emma chwyciła strzelbę, która zawsze stała naładowana przy kuchence, i wybiegła przed dom, boso, w zalanej mlekiem koszuli nocnej i w majtkach.

Henner stał z wielką kopertą w dłoni przed swoim biało-zielonym radiowozem. Wiedział, że ma bardzo niedobre wiadomości dla Emmy, wiedział też, że Emma to wie, dlatego nie miał do niej żalu, że podchodzi z naładowaną strzelbą w dłoni i wrzeszczy:

– Wynocha mi z obejścia, ty pierdzistołku jeden!

Biedny Henner musiał się zmagać na dwa fronty, bo oto za jego plecami podniósł się straszliwy krzyk. Razem z nim przyjechała jego matka. Gramoliła

się tyłem z garbusa, z trudem przeciskając wielkie dupsko i jeszcze zaklinowana między siedzeniem a drzwiami od razu naskoczyła na Emmę:

– Mój Henner przyjechał tu jako osoba urzędowa. Może cię zaskarżyć, wsadzić do pierdła za nazwanie go pierdzistołkiem, bo to obraza urzędu!

Dopiero teraz babiszon stanął wyprostowany, wyłaniając się z szarego obłoku dymu. Z opuszczonego kącika ust, z którego ciekła ślina, zwisał też kikut papierosa–samoróbki. Wysysała nikotynę z tego kikuta, przymykając stare oczy, bo dym drażnił jej śluzówki, i spoglądając pogardliwie na poplamioną koszulę nocną Emmy, wyrzuciła z siebie:

– Jak toto wygląda!

„Toto” nie odnosiło się do koszuli, tylko do osoby Emmy. Kobiety w tych stronach bywają bardzo rzeczowe.

Emma mało nie pękła ze złości i bezsilnie wystrzeliła w powietrze. Dla Hennera najwyraźniej nie było to nic nowego, bo nawet się nie wzdrygnął. Patrzył tylko na nią smutnymi oczami, jak pies mający zapalenie spojówek, jednocześnie błagając matkę:

– Proszę cię, wracaj do auta, bo już nigdy więcej cię ze sobą nie zabiorę.

Do Emmy zaś zwrócił się w te słowa:

– Bardzo cię proszę, nie utrudniaj mi dodatkowo sprawy. – Jednocześnie ruchem głowy wskazał kopertę trzymaną w dłoni. – Wyznaczono ci termin za trzy miesiące, licząc od jutra. Do tego czasu musisz się wyprowadzić. Zwierząt zabrać ci nie wolno, należą do masy upadłościowej.

Emma podniosła zaciśniętą pięść, zupełnie jakby trzymała w niej nóż:

– Ja ci zaraz pokażę masę! Niech ktoś spróbuje zabrać mi gospodarstwo, a zaszlachtuję jak wieprza!

Przysięgam!

Henner dobrze wiedział, że ją na to stać. Ta kobieta nawykła do zabijania. Bezradnie pogroził jej palcem:

– Emmo, umówmy się, że tego nie słyszałem.

W tym momencie Emma wycelowwała mu prosto w rozporek:

– Wynoś się, Henner, albo ci go odstrzelę!

Henner uśmiechnął się nieśmiało, wpatrując się w mokrą koszulę nocną, pod którą odznaczały się nagie piersi. Z szacunkiem zdjął z głowy służbową czapkę i po raz kolejny się jej oświadczył. Słowa, którymi się w tym celu posłużył, tylko w tej okolicy dawały szansę na powodzenie:

– Przeprowadź się wreszcie do mnie, głupia krowo.

Emma opuściła strzelbę. Cień uśmiechu przemknął w kącikach jej ust. Henner trafił do jej serca.

Ach, ten Henner! Chociaż malutki i szpetny, układny i słaby, to jednak tylko on jeden kiedykolwiek ją chciał. Za pierwszym razem on miał całe siedem lat, a ona sześć.

Obydwoje nie bardzo wiedzieli jak i co. Mimo to poszedł z nią w kukurydź na polu, bo wszyscy we wsi tam to robili. W tej okolicy tylko z tego powodu uprawiało się kukurydź.

Ona ściągnęła majtki, położyła się między wybujałymi łodygami i rozłożyła nogi. Henner gapił się i...? Nic nie robił.

– Musisz mi tam włożyć swojego – odpowiedziała Emma.

Niby gdzie? – pomyśleli obydwójce, przemilczając przed sobą własną niewiedzę. Henner też ściągnął majtki. A tam wisiało mu coś malutkiego jak rzodkieweczka i takiego okrągłego. A jakie to było czerwone! Emma zerwała młodą kolbę kukurydzy, obrała z liści, aż pojawił się owoc odpowiedniej wielkości. Podała go Hennerowi. Henner trącił Emmę jarzyną w pupę i tak to właśnie zrobili.

Obydwoje podciągnęli majtki z powrotem, Emma pokazała Hennerowi język i sobie poszła.

Potem oboje dorośli, tyle że rzodkieweczka Hennera wcale nie urosła, pozostała czerwona i okrągła. Ale Emma i tak jednak spróbowała, czego chciała: dojrzałą kolbą kukurydzy, którą kierował Henner.

Bardzo się oboje lubili. Znali się od wielu lat. Wyjść za Hennera Emma jednak nie chciała.

No ale skoro grozi jej utrata gospodarstwa? To zmienia postać rzeczy. Gdyby tylko nie ta matka, która za nic nie chciała się nim podzielić, nie odstępowała go ani na krok i jeszcze dzisiaj potrafiła poślinić rękę, żeby wytrzeć mu usta, a on nawet nie miał odwagi zaprotestować!

Spoglądając na babsko, które wróciło na swoje miejsce w aucie i zapaliło nowego papierosa, Emma rzuciła swobodnie:

– Jak ona sobie pójdzie, to możesz mnie mieć.

Henner próbował coś wyjąkać. Emma od razu wiedziała, że nic z tego. Twarz jej sposepniała, bruzdy wokół kącików ust z powrotem stężały. Podniosła lufę strzelby i dwa razy bez ostrzeżenia wystrzeliła mu pod nogi, raz z lewej, raz z prawej.

Henner pokręcił smutno głową, położył kopertę na okrwawionym pieńku, na którym Emma siekierą odrąbywała kurom głowy. Nie mówiąc już ani słowa, wsiadł do swojego rozklekotanego garbusa i wyjechał z zagrody.

Wrzasnęła jeszcze za nim:

– Żaden z ciebie chłop, ty rzodkiewko jedna! Kto to widział, żeby w twoim wieku z mamusią... to się w głowie nie mieści!

Ale ledwie auto zniknęło za pagórką, twarz Emmy wykrzywiła się i po policzkach pociekły łzy. Rzuciła pobieżnie okiem na dużą kopertę. Tej też nie

otworzy, nie chce tego czytać, nie chce wiedzieć, co jej tam oznajmniają w urzędniczym żargonie.

Westchnęła, jakby to mogło zdmuchnąć troski z jej duszy. Od dwóch lat nie zapłaciła ani jednego rachunku. Ceny na wieprzowinę spadły. Mogła sobie hodować i bić ile wlezie, a i tak to, co przez pokolenia wystarczyło dla całej rodziny, nie starczyło nawet dla niej samej.

Przydreptał do niej prosiaczek i trącił ją nosem w nogę. Przykucnęła i wzięła go na rękę. Mocno wtuliła twarz w miękką szczecinę i z prosiaczkiem w ramionach wróciła do domu.

Maks wił się w łóżku dręczony znowu tym samym snem: otwarta butelka czerwonego wina w zwolnionym tempie przewraca się na jego bielusieńki dywan. Próbuje ją złapać, ale trafia w pustkę. Zawsze trafiał w pustkę i zawsze w tym momencie się budził. Z krzykiem. Bo czerwone wino niszczyło dywan. Nigdy nie udawało mu się złapać butelki. Zawsze, kiedy właśnie się przewracała, on budził się przerażony.

Jego książki stały systematycznie uporządkowane na półce. Nieprzeczytane. Książki do czytania wypożyczał. Własnych egzemplarzy nie tykał, chciał je zachować na wypadek, gdyby zamknięto miejską bibliotekę. Myśl, że zabrakłoby książek, których jeszcze nie czytał, napawała go lękiem. Wszystko, co mogło się skończyć, napawało Maksa lękiem. I nie tyczyło to wyłącznie książek. Niemal wszystko w doczesnym życiu, na tej ziemi, mogło się skończyć. Na przykład, zasoby wody. Dlatego Maks oszczędzał wodę, mył się mokrą szmatką w umywalce. Wodociągi już dwukrotnie wymieniały mu liczniki, bo tak znikome zużycie wody wzbudzało podejrzenia. Na poranną toaletę zużywał dokładnie tyle samo wody, ile wlewał do ekspresu do kawy.

W każdy dzień roboczy jadał śniadanie o szóstej trzydzieści, a w weekendy godzinę później, przy świecach i muzyce klasycznej, przy stole

nakrytym jak w pięciogwiazdkowym hotelu, z adamaszkową serwetką, której niemal nie brudził.

Robili tak już jego rodzice, celebując ten drobny luksus jak rytuał, żeby w ten sposób codziennie przypominać sobie, jakie to szczęście, że nie muszą już przeżywać wojny i głodu. Nigdy nie zdarzało się musli bez Mozarta, ani Vivaldi bez jajka. Tak więc Maks od małego był zaznajomiony z kantatami, preludiami i symfoniami – byle nie były atonalne.

Ułożył sobie jadłospis na śniadania: w poniedziałki, środy i piątki był chleb pełnoziarnisty z twarożkiem i świeżą rzeżuchą, we wtorki i czwartki płatki owsiane z jogurtem naturalnym. W soboty jajecznicą na słoninie, w niedziele sałatka ze świeżych owoców. Trzymał się ściśle tego jadłospisu, bo ułatwiało mu to życie.

Po śniadaniu natychmiast zmywał tę odrobinę naczyń, wycierał i odstawiał z powrotem do szafki. Jedyne krzesło w kuchni wsuwał pod stół, za każdym razem dbając o to, by jego krawędź ustawić równolegle do krawędzi blatu. Po zamknięciu drzwi wejściowych, chuchał na klamkę i wycierał ją do połysku rękawem płaszcza. Blask mosiądzu dawał mu poczucie szczęścia.

Maks szedł pełną sklepów ulicą, mijał butiki, sklep wędliniarski i wreszcie sklep elektryczny, w którego witrynie migąło naraz dziesięć różnych modeli telewizorów. Zmierzał do lekarza, właśnie nacisnął dzwonek przy drzwiach do gabinetu znajdującego się tuż obok sklepu elektrycznego. Ponieważ długo nikt nie otwierał drzwi, Maks patrzył na witrynę z telewizorami. Wszystkie pokazywały prowadzącego telewizję śniadaniową. Maks aż pokręcił ze zdumieniem głową: Jak można o tak wczesnej porze tak dużo mówić? Kto w ogóle ogląda telewizję o takiej godzinie?

Odwrócił się, przyglądał przechodniom, w końcu jego spojrzenie padło na drugą stronę ulicy. Był tam ogródek piwny. Ogrodowe krzesła stały

poustawiane byle jak, niektóre nawet leżały na ziemi. Panował totalny bałagan. Ten widok obudził w Maksie nerwowość. Wreszcie rozległ się brzęczyk elektrycznego zamka w drzwiach gabinetu.

Dr Deckstein lubił pracować na stojąco, żeby nie pomiąć kantów spodni i wydawało mu się, że nadal, mając ponad czterdzieści lat, koniecznie musi co chwila odrzucać do tyłu farbowaną na blond grzywkę.

– Co tam słyszeć?

– Znów miałem te koszmary...

Lekarz przerzucał papiery historii choroby Maksa.

– ...czerwone wino na biały dywan, dla mnie to piekło, rozumie pan?

– Hm. Mamy tutaj prześwietlenie pańskiego kanału żołądkowo-jelitowego z kontrastem. Widoczne jest, niestety, rozszerzenie pętli dwunastnicy z przemieszczeniem żołądka. Poziom stężenia amylazy w moczu potwierdza ostre zaburzenie wydalania. A tak w ogóle to pan jest żonaty? Ma pan dzieci?

– Nie, mieszkam sam, moi rodzice też już, niestety...

– No to sporo ułatwia. Koniecznie powinien się pan skontaktować z jakąś kliniką leczenia bólu.

– Nie rozumiem? Przecież nic mnie nie boli.

– Widzi pan, właśnie to staram się panu uzmysłwić. One się wkrótce pojawią, znaczy bóle.

– Jak to? Co to znaczy?

– Cierpi pan, nie będę tego przed panem ukrywał, na raka trzustki w zaawansowanym stadium.

– Proszę powtórzyć, bo nie rozumiem, co pan do mnie mówi.

Lekarz zrobił ze swojej informacji coś w rodzaju quizu. Chyba dzięki temu łatwiej mu to przychodziło.

– Rak trzustki, bardzo trudny do zdiagnozowania, a jeśli się to udaje, to przeważnie jest już za późno. Tak to już jest, niestety. Maks zbiegał.

– O czym pan w ogóle mówi? – wydusił z siebie.

– Bóle brzucha. Utrata masy ciała. I już. Ma pan w tej chwili przerzuty do kości, u pana akurat to głównie kręgosłup.

– I co to oznacza?

– Że będzie pan miał silne bóle. Ale to nie wszystko. Zakrzepy, żółtaczka, biegunki na przemian z zaparciami, nudności, wymioty.

Dr Deckstein odsunął kosmyk z czoła i dodał:

– Pod sam koniec boli najbardziej.

W tym miejscu lekarz przewidział element współczucia i wyciągnął przez biurko rękę w stronę Maksa. Ten zignorował gest.

– No cóż – ciągnął dr Deckstein, cofnąwszy rękę. – Kiedy zaczniesz tak naprawdę boleć, nie ma pan szans tego wytrzymać bez pomocy medycznej i porządnej dawki narkotyku. Dlatego radzę pilnie zgłosić się do kliniki leczenia bólu.

Szukał wśród papierów na biurku formularza skierowania, paplając przy tym bez przerwy na temat raka trzustki. Wyglądało na to, jakby całkiem zapomniał, że do raka trzustki, siedzącego po drugiej stronie biurka, przychepione jest coś jeszcze: mianowicie Maks. A Maks podniósł się bez słowa i opuścił gabinet.

Świat pogranatowiał. Dziesięć telewizorów w witrynie migotało jasno, prowadzący tańczył walca z jakąś zaproszoną do studia osobą, śmiał się, wirując w kółko. Maks wpatrywał się w niego, trzymając się tego obrazu. Zakręciło mu się w głowie. Przemieszczony żołądek podjechał w górę, miazga w czaszce zawirowała, zachwiał się. Twarz pozostała jednak nieruchoma, nawet wówczas, kiedy zaczął płakać, bez ruchu, suchymi łzami. Łzy spadły na

marynarkę niby łupież. Drobne kropelki potu wystąpiły na czoło, wargi zaczęły drżeć. Poczul silny odruch wymiotny. Prowadzący wciąż tańczył i śmiał się. A on musi jak najszybciej stąd odejść!

Sztywnym krokiem, z nieprzytomnym spojrzeniem, przeszedł na drugą stronę ulicy, nie zwracając uwagi na jadące samochody, które hamowały z piskiem i trąbiły, a kierowcy klęli. Maks tego nie widział ani nie słyszał.

Stał teraz przy wykonanej z kutego żelaza furtce do ogródka piwnego, pchnął ją. Bramka się otworzyła, Maks wszedł do środka. Kanciastymi ruchami, jak robot, zaczął stawiać krzesła na miejscach, po sześć przy każdym stoliku, po dwa przy dłuższym boku i po jednym przy krótszym. Prostopadle do krawędzi blatu, z zachowaniem jednakowej odległości między blatem a oparciem. Z początku robił to spokojnie, potem coraz bardziej nerwowo i pośpiesznie. Na koniec miotał się między stołami, podrywał krzesła z ziemi, ustawiał, każde prosto, każde prostopadle, zupełnie jakby prostował swoje życie.

Stoły się przewracały, Maks skaleczył się, nawet tego nie czując. Nie widział ludzi, którzy zatrzymywali się przy płocie, gapiąc się na niego. Nie czuł łez, nie czuł potu, który zlewał całe jego ciało.

Wreszcie z jego ust wydobyły się pierwsze dźwięki. Najpierw było to skomlenie jakby szczeniaka, aż w końcu wyrzucił z siebie całą gorycz:

– Nic, nic, nic, nic, nic. Nic nie użyłem, nic nie przeżyłem.

Maks był sam. Nigdy żadna kobieta nie oparła się o jego ramię, nigdy żadne dziecko nie zajęło miejsca na jego kolanach. Nigdy nie miał na to odwagi. Bo co by było, gdyby któregoś dnia od niego odeszła? Zabierając dziecko? Wolał więc trwać tak sztywno i bez słowa, przez całe życie grzecznie i bez sensu siedzieć przy swoim stole – sam. A teraz już po nim. Wszystko pękło.

W odruchu oszalałej rozpaczy i wściekłości porwał ostatnie krzesło, uniósł je obiema rękami do góry, wziął szeroki zamach i z całej siły uderzył o kant stołu. Kawałki pękającego drewna z trzaskiem poleciały na wszystkie strony.

Kiedy Maks wytoczył się z ogródka, któraś ze stojących w tłumku gapiów kobiet pisnęła, że musi zapłacić za zniszczone krzesło.

– Tak, własnym życiem – wyszeptał Maks. Smarki ciekły mu z nosa na wargi. Podniósł rękę i przejechał rękawem po twarzy.

– Własnym życiem.

Przed upadkiem muru berlińskiego gospodarstwo Emmy leżało gdzieś na skraju nigdzie, a od momentu zjednoczenia – w samym sercu Niemiec. Ludzie po obu stronach boleśnie odczuwali zniknięcie wewnątrz– niemieckiej granicy, bo druty pod napięciem i samoczynne urządzenia strzelające tak elegancko i bezbłędnie zabijały polne zające. Ich ciała leżały sobie rankiem w strefie śmierci po wschodniej stronie, a towarzysze regularnie przerzucali je na zachodnią stronę. Kapitalistyczni chłopcy odwdzięczali się za te niedzielne pieczenie pociskami z bananów owiniętych w jedwabne pończochy.

Ten rejon nazywano Heską Syberią. Bardzo trafne określenie, ponieważ trzeba było jak radzieccy wędkarze wybijać głębokie dziury w wiecznym lodzie, żeby trafić tutaj na coś takiego jak gościnność, dobroć czy tolerancja.

Jeśli przebywał tutaj ktokolwiek obcy, to tylko w szpitalu jako ofiara wypadku drogowego. Wspaniałe drzewa po obu stronach drogi krajowej zapewniały efektywne obłożenie łóżek. Z własnej woli zatrzymywali się tylko holenderscy turyści, którzy w drodze na południe decydowali się zrobić sobie przerwę na uruchomienie ekspresu do kawy.

Najprzyjaźniejsze dusze całej okolicy można było znaleźć w knajpach. Siedzieli tam mężczyźni, pochyleni zawsze w tej samej pozycji nad kuflem piwa, pogrążeni w towarzyskim milczeniu.

Jedyną modą, jaka docierała do tego zakątka kraju, nie były spódnice czy sukienki, ale to, jakim rodzajem alkoholu człowiek powinien się zalewać w danym sezonie. Bywały więc, zawsze jako dodatek do piwa: era likieru jabłkowego, sezon coli z rumem a raz nawet epoka pinacolady, kiedy przedstawicielki Koła Gospodyń wróciły z wyprawy do Hanoweru. Wino piło się tylko w domu starców; za szlachetny trunek uważano wszystko, co było słodkie i gęste jak galaretka.

Jadło się też tylko rzeczy porządne: mięso i kielbasy, kartofle, surową szynkę i dziczyznę z połówkami gruszki czy z brusznicą. Do ozdoby dozwolona była co najwyżej sałata, z tym że musiała pływać w oleju słonecznikowym i occie winnym. Jarzyny gotowało się tak długo, aż miały konsystencję sosu holenderskiego, w którym je duszono.

Gestem wykazywano się przy okazji ślubów, wesel, okrągłych urodzin czy pogrzebów. Każda wizyta pomiędzy była uznawana za napaść. W pośpiechu chowało się wówczas w spiżarni blachy ze świeżo upieczonym kruchym ciastem, jeszcze ciepłe pączki przykrywało ścierkami kuchennymi a kielbasę razem z szynką wrzucało do pojemnika z chlebem. Jeśli gość nie chciał od razu ustąpić, stawiano na stół szklankę słonych paluszków i podawano syrop malinowy z wodą z kranu.

Ryby jadało się tylko wówczas, kiedy komuś pękła proteza. No, chyba że udało się podebrać jakieś pstrągi ze stawów rybnych w sąsiedniej wiosce. Ale wtedy się ich nie gotowało ani nie piekło, co najwyżej wędziło i jadło ze świeżym chlebem. Specjalnie na takie kradzione ryby pobudowano wędzarnie. Własne ryby nigdy nie miały odpowiedniego smaku.

W tej okolicy obowiązywał matriarchat. Mężczyźni udawali ważniaków w kółkach łowieckich, towarzystwach strzeleckich, w knajpie, w ochotniczej straży pożarnej i w czasie lokalnych sejmików. Ale władza należała do kobiet. To one omawiały między sobą, który z mężów zostanie burmistrzem czy wójtem, kiedy wysłać ich na żniwa i kiedy jechać do miasta na zakupy w C & A.

Wyznacznikiem rangi kobiety był rozmiar odzieży, który zaczynał się od 48 i spokojnie mógł wzrosnąć do 62. O tutejszych kobietach mówiło się „bambaryła”. Szerokość takiej bambaryły opisywano znanym wędkarskim gestem rozłożenia ramion, pokazującym wielkość wyimaginowanych okazów.

Tego rodzaju tuszę hodowało się za pomocą własnej roboty tortów z bajecznie smaczną masą śmietanowo–orzechową albo kiwi, a także tortów biszkoptowych lub czekoladowo–jagodowych, lub ptysiów. Wszystko to z wielkim oddaniem pieczono, przyozdabiano i smarowano przez cały dzień na wszelkie możliwe święta. Dla towarzystwa, które wieczorem będzie musiało jeszcze wepchnąć w siebie nieprawdopodobne ilości kartofli i mięsa, duszonych jarzyn czy pływającej sałaty, przewidywało się po pół tortu na głowę.

Kobiety administrowały pieniędzmi, mężczyznom wydzielano kieszonkowe. Mimo wszystko obecność bambarył była taką zachętą do porządnej pracy, że chłop, któremu żona zmarła przed swoją porą, na sto procent bankrutował, jeśli w ciągu roku nie znalazł nowej, która by go maltretowała. Jeśli mu się nie poszczęściło, z miejsca miał z powrotem na karku matkę.

Odszedłszy ledwie kilka kroków od ogródka, Maks się opanował. Wyczyścił nos, otarł pot, przyczesał włosy, wbił wzrok przed siebie i ruszył. Uaktywniły się procedury awaryjne w jego duszy: stery przejął nie mózg, tylko

rdzeń kręgowy. Ciało i emocje przestawiły się na autopilota. Żadnych spojrzeń w prawo czy w lewo, tylko sprężystym krokiem przed siebie, całe kilometry.

Kiedy w parę godzin później dotarł do salonu samochodowego, wśliznął się do biura niezauważony przez nikogo. Złożył wyjąłowioną z wszelkich myśli głowę na blacie. Ręce zwisały bezwładnie do ziemi, oczy nieruchomo wpatrywały się w ścianę. Gdyby obok leżał pistolet, można by pomyśleć, że właśnie palnął sobie w głowę.

Maks znał swojego szefa i przyjaciela Hansa jeszcze z czasów prenatalnych: ich matki w tym samym czasie dostały bólów i jednocześnie urodziły dwa Barany w ascendencie Barana. Słońce w pierwszym domu, Mars w piątym, Księżyc w dziewiątym, Saturn i Wenus w dwunastym. Hans często lubił powtarzać, że jeśli ktoś chciałby udowodnić, że astrologia to jedno wielkie oszustwo, to oni obaj byłiby żywym przykładem na prawdziwość tej tezy. Hans był ambitny, impulsywny, kochał ryzyko i przygodę – jednym słowem prawdziwy Baran. Kiedy natomiast miał opisać Maksa, mówił lakonicznie:

– A Maks? No cóż. Absolutnie nic z tych rzeczy.

Ich matki razem spacerowały z wózkami po ulicach, a potem pilnowały tej samej piaskownicy, w której Hans walił Maksa łopatką po głowie, a ten nie skomentował tego choćby płaczem.

Przez dziesięć lat w szkole Hans ściągał od Maksa. A na koniec dostał lepsze świadectwo, bo był wygadany. Niewiele wiedział, ale potrafił tak idealnie dyskutować o swojej niewiedzy, że wszyscy nauczyciele bez wyjątku uważali go za niezwykle bystrego chłopaczka.

Maks nie umiał się zdecydować na wybór zawodu, wobec czego Hans po prostu poszukał dwóch miejsc w tej samej szkole. Ucząc się w samochodówce, Maks przyswoił sobie teorię, a Hans naprawiał samochody. Dzięki

otrzymanemu spadkowi Hans otworzył własny salon samochodowy i zatrudnił Maksa. Hans sprzedawał auta, Maks zajmował się księgowością.

Hans dalej ściągał od Maksa. Próbując poderwać kolejną kobietę, miał zwyczaj kopiować styl życia Maksa. Gadał o swoim uwielbieniu dla muzyki klasycznej, którą tak naprawdę uwielbiał Maks, bo bardziej atrakcyjne kobiety dawało się poderwać na Haendla czy Griega. Przepisy kulinarne Maksa podawał jako swoje, ponieważ kobiety jeszcze bardziej szaleją z podziwu, kiedy facet dla nich gotuje. A czy ktoś podziwia gotujące kobiety? No właśnie! Ale facet, żeby był nie wiadomo jak brzydki, gruby i stary, jeśli tylko umie gotować, od razu zostaje gwiazdą telewizji.

Maks kochał muzykę i sztukę kulinarną, ale o tym nie mówił, godził się, żeby Hans robił z tego użytek. W poniedziałek wysłuchiwał historii o kolejnych obłaskawionych kobietach i cieszył się, że jemu znowu nic się w weekend nie zdarzyło.

Salon samochodowy był już otwarty od paru godzin.

– Widzi pani, szanowna pani – omotywał Hans pierwszą tego dnia klientkę. – Ten samochód to nie lada gratka dla każdego, kto szuka solidnego używanego auta.

Klientka miała na biodrach oponkę z sadła, która z pewnością pozwoliłaby jej przepłynąć bezpiecznie kanał La Manche. Samochód natomiast, który Hans chciał jej wcisnąć, był mikroskopijny. Hans był artystą, każda jego rozmowa z klientem przeradzała się w przedstawienie. Im było trudniej, tym bardziej go to rajcowało. Ciekawe, czy uda mu się wsadzić grubaskę do tego samochodziku? Jaką obrać strategię? A może:

– Obecnym właścicielem jest dyrektor Gimnazjum Świętego Ducha.

Szukał jakiejś reakcji w oczach i gestach klientki.

– W zasadzie chciał zatrzymać samochód, ale został... – Hans szukał odpowiednich słów. Nie „wysłany”, nie „wybrany”, nie „wyznaczony”. To musi być coś, co będzie pachniało jakąś siłą wyższą. „Oddelegowany”? Nie, za bardzo kojarzy się z ministerstwem spraw zagranicznych. – Został powołany na trzy lata do Afryki.

Klientka spojrzała na Hansa zdumiona. Nic nie mówiła, ale jej oczy błagały, żeby opowiadał dalej.

Każdy klient uwielbia takie opowieści, każdy! A Hans miał na podorędziu nieskończenie wiele opowieści. Pisarz czy sprzedawca samochodów – obydwaj mają ten sam talent, tyle że pisarz klepie biedę. Hans natomiast dorobił się majątku.

– Do stacji misyjnej.

– Naprawdę? – przemówiła kobieta. – To oni potrzebują nauczycieli?

– Tak jest, szanowna pani. A jego samochód zostaje tutaj.

– Ciekawe.

Na przedniej szybie była przyklejona kartka z ceną. Widniała na niej bezwstydną kwota dziesięciu tysięcy euro. Kobieta wpatrywała się w tę liczbę, to było za dużo.

– Samochód kosztuje siedem tysięcy, tak jak tu stoi – oznajmił szczerym tonem Hans.

– Ale tu jest napisane dziesięć tysięcy. – Palec wskazujący klientki wycelowany był w kartkę.

Hans spojrzał w tamtą stronę i naprawdę zbladł. Aktorzy muszą długo ćwiczyć, żeby płakać na zawołanie. Hans potrafił w dowolnym momencie zrobić się blady!

– Och! – Udał stropionego. – Rzeczywiście, pomyliłem się, miałem na myśli inny samochód, który stoi tam dalej. – Z przestrawu zakrył usta dłonią. – Ten kosztuje oczywiście dziesięć tysięcy euro.

W jego głosie pojawiły się unizone tony, usiłował sobie wmówić, że się jej boi. W duchu błagał ją: „Proszę, nie bij mnie, nie bij”.

Jednocześnie niepostrzeżenie nacisnął guzik alarmu. W tym momencie u Dagmary w sekretariacie zapaliła się lampka. To sygnał, że czas, by teraz ona pojawiła się na scenie i odegrała swoją rolę. Hans starał się jakoś wybrnąć:

– Cóż, w zasadzie ten samochód jest dla pani może nieco za mały, mamy tu także inne oferty...

Do salonu, stukając wysokimi obcasami, weszła Dagmara w czarnym kostiumie, żeby odegrać groźną szefową Hansa. Za swój występ w okularach w rogowej oprawie inkasowała w razie powodzenia dziesięć procent, zarabiając w ten sposób więcej, niż wynosiła jej pensja sekretarki. Mówiła dialektem, i nie był wcale udawany, bo Dagmara dorastała w Wiedniu.

Hans złożył ręce jak do modlitwy i zaczął błagać:

– Bardzo, bardzo panią proszę! Właśnie idzie moja szefowa.

– A więc będzie mogła od razu zadecydować.

– Och, nie, bardzo panią proszę!

Dagmara się nie cofnęła, kiedy klientka rzuciła się do domniemanej szefowej:

– Auto miało najpierw kosztować siedem tysięcy, a teraz pani sprzedawca nagle żąda dziesięciu.

Dagmara rzuciła okiem na kartkę z ceną i odrzekła:

– No jak to, przecież widzi pani, że tu jest napisane dziesięć.

– Ale jak się coś powiedziało, to trzeba się tego trzymać! – Głos kobiety wszedł na wyższe rejestry.

Dagmara zwróciła się do Hansa, pytając surowo:

– Jaka była twoja propozycja dla pani?

– Bardzo przepraszam, szefowo, ale się pomyliłem – powiedział płacząco Hans. – To przez przeoczenie.

– Pytam ile?

– Siedem tysięcy. Przez przeoczenie!

Dagmara zwróciła się z powrotem do klientki i bez chwili wahania rzekła:

– Cóż, pani zysk! Gratuluję pani zręczności w negocjacjach. Jak się coś powiedziało, to trzeba się tego trzymać. Samochód należy do pani za siedem tysięcy.

Hansowi zaś rzuciła za karę straszliwe spojrzenie. Klientka miała się domyślać, że potem dostanie on za swoje. A klientka uśmiechnęła się bezczelnie. Trafiała okazję, więc nawet się nie zastanawiała, czy naprawdę chce kupić ten właśnie samochód. Nie był wart swojej ceny. Poprzednia właścicielka, będąca początkującym kierowcą, zarznęła skrzynię biegów na śmierć.

Kiedy klientka dumnie odjechała nowym nabytkiem, a Hans i Dagmara świętowali wspólny sukces – „Filut z ciebie, Hansi. Ty to wymyślasz te historyjki” – z jaguara wysiadł ubrany na ciemno mężczyzna. Wszedł do salonu, przywitał Hansa braterskim pocałunkiem, objął go ramieniem i zaprowadził do jego własnego biura, nie zapominając spojrzeć pożądliwie na tyłeczek Dagmary. Dagmara nie była pewna, czy jej szef pozwala odgrywać temu człowiekowi dominującą rolę z wyrachowania, czy też naprawdę czuje przed nim respekt.

Nowo przybyły wszedł do biura. Ponieważ Maks nadal leżał na blacie swojego biurka, jakby się właśnie zastrzelił, oblatany w kryminalnych

sprawach gość lekko się przestraszył i przeżegnał, robiąc znak prawosławnego krzyża, jednocześnie wzywając na pomoc diabła:

– Boże moj, czorti szto!

Hans złapał Maksa za ramiona i potrząsnął.

– Maks! Wszystko z tobą w porządku?

– Nie.

Maks podniósł się ze swojego miejsca, skamieniały, ale gotowy do działania.

W biurze mężczyzna położył na biurku Hansa plastikową reklamówkę wypchaną dolarami. Maks dostał polecenie przeliczenia ich, a Hans prowadził rozmowę. Przybysz mówił łamanym angielskim z gardłowym „r” – tym razem miało to być czerwone ferrari. Hans obiecał, że załatwi. Żaden problem!

– Pięćdziesiąt tysięcy – zameldował Maks. Nie chciał mieć z tym wszystkim nic wspólnego. To była sprawa Hansa, on tylko policzył pieniądze.

Kiedy zleceniodawca w końcu poszedł, Maks zdeponował dolarowe banknoty w najbezpieczniejszym schowku w całym biurze. Nie w kasetce z kasą podręczną, nie w rzucającym się w oczy wielkim sejfie. Maks zwinął reklamówkę, otworzył drzwi do niewielkiej łazienki, pochylił się nad kocią kuwetą, z obrzydzeniem pogrzebał w obsranym żwirku i wcisnął reklamówkę pod spód, tak żeby nie było jej widać.

Usłyszał, jak Hans pyta ze swojego biura, co się z nim dzieje i gdzie się tak długo podziewał. Jednocześnie sięgnął po słuchawkę telefonu i wybrał numer.

– U lekarza – odparł Maks.

– No i? – spytał Hans.

Maks wciąż jeszcze w kucki przy kuwecie odpowiedział bardzo poważnym głosem, głośno i wyraźnie:

– Niedługo umrę.

Podniósł się, spojrzął w stronę jedyne go przyjaciela, szukając jego spojrzenia. Nawet do niego podszedł. Hans najwyraźniej nie uzyskał połączenia, bo odłożył słuchawkę i nieobecny gestem poklepał Maksa po ramieniu. A potem odwrócił się do wyjścia i rzekł:

– Czyli że wszystko w najlepszym porządku.

Dom Emmy liczył kilkaset lat, był zbudowany z pruskiego muru, czarne belki i pobielona wapnem glina, krusząca się na wszystkich rogach. Ściany porastało dzikie wino, przyduszając mury; wyglądało to wszystko bajkowo. Gospodarstwo leżało pośród łagodnych pagórków, łąk i lasów. To tutaj rosły najdorodniejsze grzyby, to tu stały najstarsze dęby, to tu bracia Grimm wymyślili swoje najlepsze baśnie.

Na podwórku rósł stary kasztan, który w upalne lata dawał cień. Owocami tego drzewa Emma karmiła zimą sarny, bo potrafiło tu być lodowato.

Z jednej strony podwórko zamykał długi i niski budynek obory i chlewu, z drugiej – wysoka stodoła; z tyłu leżała góra obornika. Tam właśnie znajdował się zwyczajowy posterunek koguta, który stawał w przepisowej pozycji, strzepywał pióra, wyprężał żylaste ciało i wykrzykiwał swoje kuryku na zagrodę i pola. Budził Emmę punktualnie każdego ranka, i o każdej pełnej godzinie zabierał się do kolejnej kury. Zegarków nikt tu nie potrzebował.

W ciągu dnia pomieszczenia dla zwierząt były otwarte. Kury, dziobiąc, chodziły między traktorem a broną, grzebały w krzakach, szukając robaków. Świnie spacerowały po wielkiej łące. W pobliżu strumienia za domem zrobiły sobie błotną kałużę, dokładnie pod potężnym bukiem.

Przy korycie strumienia, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, stał domek kąpielowy Emmy. Jakiś niemiecki imigrant z Rosji zbudował go w zamian za mięso i kiełbasę. Dlatego Emma jako jedyna w okolicy miała ruską banię, czyli coś w rodzaju sauny, którą bardzo sobie ceniła. Zarówno tam, jak i w domu paliła drewnem, które sama w lesie wycinała, rąbała i piłowała.

Każda żywa istota miała tutaj pożytek z innych: kury z jarzynowych odpadków Emmy, jarzyny z kurzego nawozu, a kogut z kur. Albo odwrotnie. Nikt nie umiałby powiedzieć, a kury nie wypowiadały się na ten temat.

Emma żyła ze świń i wspaniałej kiełbasy, jaką umiała z nich wyrabiać, świnie z kolei jadły odpadki wyprodukowane przez Emmę. Emma także była wpleciona w ten krąg, stanowiła część całości i doskonale się w tym czuła. Ale też była jego więźniem, ponieważ innych kręgów współzależności istniejących poza jej światem nie rozumiała.

Jak to się zaczęło z tym motorowerem, Emma sama już nawet nie pamiętała. Był to stary zündapp, który odziedziczyła po śmierci ojca. Ojciec jeździł nim krętą drogą przez las do miasta. Emma jednak nie miała tam czego szukać. Nie знаła nikogo poza wioską i nie miała odwagi jechać do miasta. Na wszystko miała odwagę, tylko na to jedno nie.

Ale motorowerem jeździła. Ustaliła sobie własną trasę, prościutko jak strzełił przy domu. Sama ją wyasfaltowała. Droga wyglądała na kompletnie pozbawioną sensu. Zaczynała się gdzieś na łące i kończyła kilometr dalej przy wielkich jodłach. Emma oczywiście nie miała zezwolenia na budowę własnej drogi, ale co ją to obchodziło. Prawo stanowił tutaj Henner. Żaden inny policjant nie chciał się zgodzić na służbę w tej zabitej dechami dziurze. Kiedy Henner meldował swoim przełożonym w mieście, że na jego terenie panuje spokój, dla nich wszystko było w porządku.

Emma mozolnie pchała motorower połą ścieżką aż do początku swojej prywatnej drogi. Ustawiała maszynę przodem do kierunku jazdy, siadała na siodełku, włączała silnik i pozwalała mu się najpierw rozgrzać.

Gospodarstwo Emmy leżało kilkaset metrów od wioski, ale Henner słyszał to brrrummm, brrrummm, bo docierało przez otwarte okno do mikroskopijnej policyjnej izdebki. Kręcił wtedy melancholijnie głową i uśmiechał się. Bo jemu się podobało to, co Emma robiła. Wszystko w niej mu się podobało.

Kiedy Emma dodawała gazu i jej mały dwusuw z wyciem wchodził na wyższe obroty, był to sygnał dla mieszkańców wioski. Oni wiedzieli. Ten dźwięk rozlegał się kilka razy w tygodniu. Wszyscy go słyszeli, większość ignorowała. Niektórzy jednak wpadali w święte oburzenie. Stara matka Hennera, na przykład, zaczynała wyklinać na tę „zdzirę” i z wściekłości wsadzała do ust dwa skręty naraz. Za to na sąsiada od kartofli sygnał ten działał nad wyraz stymulująco. Robił sobie wtedy przerwę w pracy, opierał się na polu o swoje worki z kartoflami i cieszył się tym, co go czeka.

Henner też ordynował sobie sjęstę. W odróżnieniu jednak od tamtego chłopca naprawdę po to, żeby coś zjeść! Rzeczywiście odprężyć mogła go tylko i wyłącznie kanapka z wątrobianką. A najpikantniejsze, o czym Henner marzył, to była musztarda na wierzchu.

Emma dodawała gazu i motorower wystrzelał przed siebie jak z procy. Stary zündapp miał cudownie niewyważone koło zamachowe, wskutek czego po trzystu metrach skórzane siodełko wpadało w silne wibracje. Emma prostowała plecy, trzymała kierownicę sztywno wyciągniętymi przed siebie rękami i przesuwała podbrzusze najdalej jak się dało do przodu, aż te wibracje, te drobne słodkie drżenia, zaczynały ją silnie podniecać. Po zaledwie sześciuset metrach przeżywała gwałtowny orgazm. Zamykała z rozkoszy oczy i przez

następne trzysta metrów jechała niemal na ślepo. Ręce sztywno ścisnęły kierownicę, żeby motorower trzymał się ziemi. W przeciwieństwie do duszy Emmy, która musiała się wręcz zmuszać do otwarcia oczu, ponieważ drzewa na końcu drogi pędziły jej niebezpiecznie na spotkanie. Szarpała kierownicą w bok i hamowała z całej siły. Na ostatnich metrach asfaltu opony zostawiały czarny ślad, motorower wpadał w poślizg i lądował kołami w pyle. Jak zawsze, Emmie udawało się go zatrzymać dosłownie w ostatnim momencie. Nagle robiło się cicho, tylko samce kosów świergotały w gałęziach jodeł.

Ledwo milkł odgłos pracującego na wysokich obrotach silnika, do ludzi we wsi wracał spokój. Henner zdążył zaspokoić głód, piekarz głęboko wdychał zapach ciepłych chlebów a chłop od kartofli rosił nasieniem pole. Tylko matka Hennera i piekarczowa tryskały nikotyną i jadem.

Emma zawracała swoją wspaniałą maszynę i odprężona jechała łagodnym slalomem. Po orgazmie słyszała cudowne dźwięki. Serce miała opakowane w miękką watę. Silne ramiona trzymały pewnie, ale nie krępowały przy tym ruchów. Wszystko będzie dobrze, wszystko się jakoś wyprostuje.

„Czyli, że wszystko w najlepszym porządku...”. A więc Hans nawet go nie słuchał. Nikt go nie słucha! Maksowi znowu popłynęły z oczu łzy. Kapały z policzków. Nie znał tego i nie chciał tego znać. Tylko nie w biurze! Czym tu odwrócić uwagę? Wstał, przeszedł przez salon, gładząc lakier wystawionych samochodów. Przepiękny lakier go uspokoił. Maks odchrząknął i wciągnął powietrze głęboko do płuc. Jeszcze się udało. Jego ciało się porusza. Jeszcze.

Życie. Przeżyć ostatnie tygodnie. Tylko jak?

W każdym razie na pewno nie w tym salonie samochodowym.

Wyszedł na dwór i ruszył ulicą. Zastanawiał się, szukał w swoim surowym życiu czegoś, co było dobre, czegoś, dla czego warto byłoby jeszcze raz żyć. Kiedy w jego życiu było dobrze? Gdy żyli jego rodzice, wtedy było.

No i raz wygrał nagrodę w konkursie, lata temu. Wtedy też było dobrze. Rejs na Karaiby, Zatoka Meksykańska. Wygrał pierwszą nagrodę, w dodatku nie chciał popłynąć!

A co będzie, jak się utopi w morzu?

Hans spytał go wtedy z wyrzutem:

– Dlaczego nie umiesz pływać?

– Bo się boję wody.

– Po prostu do niej wejdź, i już!

– Wejdę dopiero, jak nauczę się pływać.

– Słucham? To jakiś absurd. Przecież pływać możesz się nauczyć tylko w wodzie!

– Na tym polega mój problem!

Hans złapał się wtedy za głowę, a Maks lamentował dalej:

– A co będzie, jeśli samolot spadnie? Albo złapię malarię lub tyfus? A co, jak mi się tam nie spodoba?

Hans zaczął na niego wrzeszczeć:

– To twoje wieczne „a co, jeśli...” doprowadza mnie do szału, wiesz! – wypełniło cały salon. – Czy ty masz nierówno pod sufitem? To po cholere brałeś udział w tym konkursie? Skoro już wygrałeś, to lecisz i koniec, bo jak nie, to dostaniesz kopa w dupę!

Hans zagroził nawet, że przestanie się z nim przyjaźnić i zwolni go z pracy, jeśli zrezygnuje z nagrody.

No i okazało się, że były to najpiękniejsze dwa tygodnie w życiu Maksa. Mieszkał na północ od Quintana Roo na wyspie Holbox, w przyjemnej, okrągłej chatce Majów, krytej liśćmi palmowymi. W środku bambusowe meble, parkiet z egzotycznego drewna. U sufitu wentylator. Nad łóżkiem moskitiera, na przewiewnej werandzie biało–niebieski hamak. Tam najbardziej

lubił się wylegiwać, spoglądając na cudowne wody Morza Karaibskiego. Co za piękne błękitne światło, orgia barw, woda turkusowa! No i te pelikany! Ach, te pelikany!

Maks spędzał całe godziny na plaży, przyglądając się pelikanom. Te tutaj były ciemne, niemal brzydko czarnoszare. Wyglądałyby zupełnie jak sępy, gdyby nie ten charakterystyczny worek pod wielkim dziobem. Latały nad wodą, szukając ryb, które nadawałyby się do zjedzenia. Gdy tylko wypatrzyły taką, która płynęła, niczego się nie spodziewając, natychmiast nurkowały w to miejsce. Składały skrzydła i spadały lotem nurkowym głową do wody. Przy uderzeniu woda bryzgała na boki i rozlegał się głośny plusk. Nie udawało im się wiele złapać, może jedną rybę na dziesięć nurkowań. Połykały ją szybko albo przechowywały w worku pod dziobem. I od razu z powrotem w górę. Wypatrywanie, lot nurkowy. Rozbryzg wody.

Maks nie mógł się napatrzeć. Marzył o tym, żeby, tak jak pelikany, rzucić się w końcu w odmęt życia, aż będzie się rozpryskiwało na boki. Tam, w Meksyku, coś zrozumiał. Kiedy jednak wrócił do Niemiec, jego „a co, jeśli” zagłuszyło karaibskie marzenia i zdusiło je na śmierć.

Maks szedł teraz spacerkiem przez miasto, pokonał wiele kilometrów, aż dotarł do biura podróży. Zebrał całą swoją odwagę i wszedł do środka.

– Do Meksyku. Tak, tygodni. Kilka tygodni, mam taką nadzieję. Trzy miesiące powinny wystarczyć. Drogo. Ależ tak, naturalnie. Rozumiem. Jutro przyniosę pieniądze. Mogą być dolary amerykańskie? Dziękuję. No to do jutra.

Następnego dnia, była to sobota, Maks poczekał, aż zapadnie zmrok. Był w džinsach, na których wisiała jeszcze metka z ceną. Trzymał je... na później. To później było teraz, a więc zerwał metkę, wciągnął džinsy, do tego włożył podkoszulek, na to skórzaną kurtkę, kupioną kiedyś tam i dotąd nieruszaną.

Spakował kilka drobiazgów do niewielkiej podróźnej torby. Dołożył paszport. Dziwnym trafem jego ważność kończyła się za kilka miesięcy. Powinno wystarczyć, pomyślał gorzko.

W salonie wyjął z drewnianej ramki zdjęcie rodziców i włożył do portfela. Potem po raz ostami omiół wzrokiem swoje idealnie urządzone mieszkanie, dopieszczane jeszcze przez ojca, tak piękne i harmonijne, jak on sam nigdy się nie czuł. Dlatego od dziesiątków lat niczego w nim nie zmieniał.

Już chciał zamknąć za sobą drzwi, kiedy coś sobie przypomniał. Wrócił do salonu, do stołu jadalnego i przewrócił jedno z pięknie giętych krzeseł Toneta. Zostawił je bezbronnie leżące na podłodze, uśmiechnął się dla uczczenia swojego małego zwycięstwa i opuścił mieszkanie na zawsze.

Maks zaparkował samochód za warsztatem. Rozejrzał się, czy przypadkiem kogoś jednak nie ma. Ale wszystko było jak zawsze. Salon z samochodami był oświetlony, w biurze natomiast panowały ciemności.

Przeszedł przez podwórko w stronę budynku, tak jak to robił tysiące razy przedtem, lecz dzisiaj serce podchodziło mu do gardła. Otworzył drzwi i wszedł do środka z zapaloną latarką, jak jakiś włamywacz!

Zrobił krok do przodu, stożek światła wydobył z ciemności biurko, odnalazł telefon, sejf, który był tylko atrapą. Nagle poczuł, że coś dotknęło jego pięty. Wydał z siebie okrzyk i odskoczył.

– Miauuuu....

– Cholerny kocur.

Układ krążenia wypadł z rytmu, Maks poczuł jakiś ból w klatce piersiowej. Żeby się uspokoić, usiadł w skórzanym fotelu Hansa, położył dłoń na sercu i starał się powoli oddychać.

W tym samym czasie Hans spotkał się na opuszczonym parkingu przy autostradzie z mającym ledwie dwadzieścia pięć lat, splekowanym brokerem.

Młody właściciel ferrari był bez kasy, gdyż mocno się przejechał na jakichś spekulacjach i musiał sobie radzić.

Hans odkupił od niego autko. W warsztacie przebiję numery wozu, przemaluje go na inny kolor, a jego znajomy, Białorusin, przeprowadzi wóz do Mińska. To, że na tamtejszych drogach ferrari szybko się rozsypie, było nowobogackiemu nabywcy obojętne. Zdążył już zniszczyć niejedną podobnie kosztowną rzecz.

W połowie następnego tygodnia początkujący broker zgłosi kradzież samochodu, a ubezpieczenie zapłaci.

Maks ścisnął latarkę pod pachą, otworzył drzwi do łazienki i z obrzydzeniem przekopał kocią kuwetę. Stożek światła nerwowo tańczył po całym pomieszczeniu, po ścianie korytarza, po oknach. I to właśnie zobaczył Hans, wjeżdżając na podwórko. Natychmiast zgasił silnik ferrari, żeby nikt nie usłyszał. Gotując się z wściekłości, popędził do biura, żeby przyłapać włamywaczy na gorącym uczynku. Z pośpiechu zostawił kluczyki w stacyjce, nie zamknął też drzwi, żeby uniknąć jakiegokolwiek hałasu.

Maks go usłyszał, poznał kroki Hansa. Skamieniały z przerażenia, ścisnął torbę z pieniędzmi.

Och, gdyby tak...! Żeby tak nie...! Zanim w ogóle zdążył pomyśleć, co ma powiedzieć albo zrobić, na ucieczkę było za późno. Dygocząc z przerażenia, schował się za sięgającą podłogi zasłoną. Dolary przyciskał kurczowo do piersi.

Hans nieustraszenie wpadł drzwiami do biura i krzyknął na chybił trafił w ciemność:

– Policja! Ręce do góry!

Żadnego ruchu. Hans włączył światło i rozejrzył się dokoła. W tym momencie kot podszedł prościutko do butów Maksa, wystających spod zasłony.

Hans odsunął materiał i stanął oko w oko z Maksem. Wtedy miły-grzeczny-układny Maks, ten Maks, który zawsze robił wszystko, co mu kazano, który nic nie chciał i niczego nie pragnął, właśnie ten Maks zamachnął się, tak bez ostrzeżenia, i z całej siły walnął przyjaciela torbą w lewy policzek, tak że Hans, zaskoczony, padł na ziemię. Ten krótki moment wykorzystał Maks. Wybiegł z biura i zachowując dość przytomności umysłu, w ostatniej chwili zamknął za sobą drzwi na klucz.

Hans pozbierał się z podłogi i zaczął walić pięścią w drzwi:

– Otwieraj! Co z tobą? Odbiło ci czy jak?

Maks jednak wybiegł już na podwórze, zobaczył otwarte ferrari i wskoczył za kierownicę. Torbę z pieniędzmi rzucił na siedzenie obok i ruszył co sił.

Moc setek koni mechanicznych wcisnęła go w skórzany fotel, w kilka sekund przyśpieszył od zera do setki. Nie był do tego przyzwyczajony. Kurczowo ścisnął kierownicę, próbując zapanować nad rozszalałym samochodem, żeby przynajmniej przez miasto zdusić prędkość do siedemdziesiątki. Naprawdę tym wozem trudno było jechać powoli. Boska sprawa taka fura.

Hans zdołał się wydostać. Wygramolił się przez okno. Fakt, że ferrari zniknęło, tak go rozwścieczył, że aż kopnął pojemnik na śmieci, który wyskoczył z uchwytu i z hukiem wylądował na podwórku.

Mężczyzna podszedł do samochodu Maksa – w nim też kluczyki tkwiły w stacyjce. Musi teraz spróbować dogonić tą krową swoje ferrari, pieniądze i Maksa. Co w niego wstąpiło?

Akurat, kiedy Maks wyjeżdżał z miasta, zaczęła się ulewa. Deszcz był silny niczym monsun. Lało jak z cebra, woda dudniła o przednią szybę. Wycieraczki kompletnie nie dawały rady. Maks z konieczności musiał zwolnić. Hans natomiast poszedł na pełne ryzyko, to on był lepszym kierowcą. Dogonił Maksa, kiedy ten dojeżdżał do skraju lasu. Droga się tutaj zwężała, wijąc się pod górę. Maksowi sprawiało to trudność. Hans zrównał się z nim, a następnie wyprzedził! Zatrzymał wóz w poprzek drogi, chcąc go zatrzymać. Ale Maks odważył się ominąć i docisnął pedał gazu. Wiedział, że musi jechać szybciej, ale prawie nic nie widział z powodu deszczu. Hans wykrecił, dogonił go. Uderzył nawet w tylny zderzak ferrari. Wtedy dopiero Maks w końcu wystrzelił do przodu pełną mocą silnika. Z trudem wziął kilka zakrętów, na kolejnym ferrari po prostu odmówiło współpracy. Maks wprawdzie skrecił kierownicę właściwie, ale opony nie dały rady i ferrari wyleciało razem z nim z drogi i pofrunęło stromym zboczem w las.

Hans minął ten zakręt i pomknął dalej w las. Po paru kilometrach zrezygnował z pościgu. Wyglądało na to, że Maks razem z autem zapadł się pod ziemię. Hans zawrócił i jadąc z powrotem, rozglądał się na tyle na ile się dało, ale niczego nie znalazł. Miejsce, w którym ferrari zrobiło wąską przecinkę w lesie, po ciemku było niewidoczne. Klnąc na czym świat stoi, Hans wrócił do miasta.

Maks odetchnął z ulgą. Nareszcie po wszystkim. On jako przestępca, ucieczka do Meksyku i śmierć w turkusowych wodach? Nic z tych rzeczy. Po prostu umrze w tym lesie.

Drzewa mijały go jakby w zwolnionym tempie. Fascynujący lot. Samochód odwrócił się powoli, Maks wszystko widział bardzo dokładnie. Kiedy ferrari uderzyło o zbocze i kilkakrotnie przeokoziółkowało, on siedział

przypięty do fotela, ze spokojem konstatując, że przynajmniej kończył efektownie.

Czekał na moment, kiedy nie tylko drzewa, ale całe jego życie przemknęło mu w ułamku sekundy przed oczami, ale tego filmu nie było w programie. Zobaczył tylko szybkar. Gotujący się, na kuchni. Nic poza tym.

Mało spektakularna rzecz, ta śmierć. Gdyby wiedział, że tak łatwo się umiera, nie zmarnowałby życia na lęk przed nią.

Skąd ten szybkar?!

Rozległ się zgrzyt blach karoserii, wyleciały szyby, rozpryskując się jak bańki mydlane; mikroskopijne drobiny szkła mieniły się tęczo. Dostało się też paru mniejszym drzewom. Tylko Maksowi nic nie było. Dopiero na samym końcu dostał mocno w skroń gałęzią. Wrak zatrzymał się u stóp zbocza, na terenie samotnego gospodarstwa pod lasem. Pęknięta chłodnica syczała, z gorącego silnika buchały na deszczu kłęby pary.

Huk uderzenia wyrwał Emmę ze snu. Podeszła do okna i zobaczyła u stóp zbocza światła reflektorów w gęstym deszczu. Niewiele myśląc, narzuciła wielką zgniłozieloną pelerynę dziadka. Ponieważ był wyższy, peleryna ciągnęła się za nią po ziemi niby tren. Miała też kaptur, Emma naciągnęła go na głowę i wyszła.

Patrzyła na wrak bez paniki, bez przerażenia, po prostu z zainteresowaniem i uwagą.

Ależ to musiał być kiedyś piękny wóz! Z niewzruszonym spokojem obeszła naokoło kupę czerwonych blach, zadziwił ją piękny silnik, widoczny spod wygiętej maski, jakże różny od silnika jej traktora.

Dopiero teraz zauważyła nieprzytomnego mężczyznę za kierownicą. Dotknęła go, trąciła lekko w klatkę piersiową. Mężczyzna się nie ruszał. I nie krwawił. Emma sprawdziła puls. Żył.

– A więc mężczyzna.

W końcu niebo zesłało jej jakiegoś, a tu od razu kicha: uszkodzony w czasie transportu. Ale lepszy uszkodzony niż żaden, pomyślała. Na pewno dojdzie do siebie!

Odpięła pasy, chwyciła nieznanego pod pachy i wyciągnęła z samochodu. Kaptur zsunął jej się z głowy, strumień deszczu natychmiast zmoczył włosy. Ciało mężczyzny także. Emma zebrała wszystkie siły, podniosła go z ziemi, przełożyła sobie przez ramię jak połówkę świniaka i wniosła przez próg do domu.

Położyła go na stole w kuchni. Stał tam jeszcze talerz, który teraz spadł na ziemię, rozbijając się w drobny mak. Mężczyzna nie odzyskał od tego przytomności, ale przynajmniej oddychał. Emma zdjęła pelerynę, do emaliowanej miednicy nalała ciepłej wody z kociołka na kuchni. Zdjęła z mężczyzny przemoczone ubranie i cisnęła pod stół. Na koniec bez wstydu i zażenowania wytarła go do sucha. Widać było, że mocno się poobijał, ale niczego sobie poważnie nie uszkodził.

Emma pobiegła na górę do swojej sypialni, zrzuciła kołdrę ze swojego łóżka i zbiegła z powrotem. Znowu przełożyła sobie przez ramię nagie ciało i wniosła po schodach. Następnie delikatnie zsunęła go z ramienia na łóżko i starannie okryła. Raz jeszcze sprawdziła puls, posłuchała oddechu. Wyglądało na to, że z mężczyzną jest wszystko w porządku. Po prostu nadal był nieprzytomny. No więc na początek zostawiła go samego.

Na dole ponownie włożyła pelerynę i wróciła do wraku, żeby poszukać jego rzeczy. Nie miał żadnej torby podróżnej, żadnej walizki ani aktówki. Tylko plastikową reklamówkę na siedzeniu obok kierowcy, do której bez wahania zajrzała.

„Panie Boże, spraw, abym była bogata albo szczęśliwa”, modliła się co wieczór przy otwartym oknie. Przez długie lata, zawsze wznosząc spojrzenie wysoko w niebo, ostatnio już tylko z przyzwyczajenia. I nagle proszę! Zaniósła reklamówkę do izby, gdzie biła świnie, bo tam było sucho i jasno. Otworzyła ją raz jeszcze, zajrzała do środka. Jakieś obce banknoty, dolary! THE UNITED STATES OF AMERICA było na nich napisane. I twarze jakichś mężczyzn, których nigdy nie widziała na oczy, ale dolary знаła z telewizji. Banknoty ułożone w paczki grubości książki. Jak miło było trzymać coś takiego w ręku!

I co teraz? Wołać Henna, prosić o pomoc?

O, nie. Nigdy.

Bogata albo szczęśliwa? Ledwie pół godziny temu się obudziła, a już ma torbę pełną pieniędzy w ręku i nagiego mężczyznę w łóżku. Bogata i jednocześnie szczęśliwa! Nie do wiary! Potrzebowała pieniędzy i życzyła sobie mężczyzny. Teraz miała jedno i drugie, i niech tak zostanie.

Wzięła reklamówkę i schowała w chlewie za korytem knura. Zwierzę było groźne, nikt nie miał odwagi się do niego zbliżyć poza nią. Teraz trzeba tylko zadbać, żeby nikt się nie dowiedział o kradzieży.

Z szopy na narzędzia przyniosła dwa kanistry mieszanki benzyny z olejem, oblała samochód nieznanego i podpaliła. Płomienie buchnęły w niebo.

Wszyscy mieszkańcy wsi spali, tylko matka Henna jak zawsze cierpiała na bezsenność. Usłyszała więc te dziwne trzaski i strzelania, podeszła do okna i zobaczyła czerwoną łunę na nocnym niebie nad gospodarstwem Emmy.

Twarz wykrzywił jej nienawistny uśmiezek. Czyżby zwarcie instalacji elektrycznej? A może to znowu ktoś ze straży pożarnej? Ochotnicza straż pożarna w tej okolicy najczęściej sama podkładała ogień, by móc gasić.

Matka Hennera widziała szalejący pożar i ani myślała wszczynać alarm. To by mogło przecież obudzić jej syna! Z zaciekawieniem przyglądała się zmiennemu blaskowi płomieni. Uważała Emmę za zdzirę, już choćby ze względu na ten motorower. Musi chronić swojego Hennera przed takimi jak ona, to jej obowiązek jako kochającej matki. Bo Henner cierpiał na astmę, już od małego. Wiejski lekarz ostrzegał, że szczęśliwe małżeństwo może go zabić. A więc w gospodarstwie Emmy jest pożar. Matka Hennera zapaliła papierosa. Henner jest jej. W bólach wydała go na świat i sama wychowała. Do dzisiaj pierze mu koszule i ceruje skarpetki. Jest najlepszą kobietą dla swojego synka, więc po co mu jeszcze jedna? No właśnie. Więc niech się pali. Dobranoc!

W kuchni Emma wytarła włosy do sucha. Zdjęła ze sznurka T-shirt. Na wszelki wypadek narzuciła jeszcze kolorowy fartuch, gdyby mężczyzna mimo wszystko miał otworzyć oczy.

W sypialni na górze przysunęła krzesło do łóżka, usiadła i zaczęła przyglądać się nieznanemu. Raz jeszcze trąciła go palcem, ale się nie poruszył. Ponownie sprawdziła mu puls i oddech. Spał głęboko. Jeszcze nigdy nikt obcy nie leżał w jej łóżku. No, może Henner, ale jego znała przecież od zawsze.

Ostrożnie przyłożyła palce do męskiej głowy i przesunęła je wzdłuż wysoko zaczynającej się nasady włosów. Przyjrzała się im, były jeszcze zupełnie brązowe. Obejrzała skórę głowy, nie znalazła brudu ani łupieżu.

Palcem wskazującym przejechała po każdej bruzdzie na jego czole. Miał ich dużo, sześć czy siedem. I były głębokie. Nie był to pogodny człowiek, raczej taki z kłopotami. Skóra pod oczami była napuchnięta, obrzeża lekko sine. Jak lekarz Emma odchyliła dolną powiekę, odkryła czerwone żyłki na żółtawej gałce ocznej. Musiał mieć problemy z wątrobą. Czyżby za dużo pił?

Potem uniosła górną wargę i oceniła uzębienie, zupełnie jakby był koniem, którego ma zamiar kupić. Z jego zębów była dość zadowolona. Powąchała. Nie było czuć mu z ust.

Zajrzała do uszu, wsadziła tam nawet mały palec, ale nie znalazła woskowiny pod paznokciem. Zajrzała do nosa, w tym celu wstała i pochyliła się, żeby dokładnie obejrzeć dziurki. Wystawało z nich parę włosków, ale nie dostrzegła żadnych gilów. Z zadowoleniem odchyliła się na oparcie i patrzyła z oddalenia na twarz mężczyzny.

Ujęła w dłonie jego prawą dłoń. Pogładziła jej wewnętrzną stronę, odwróciła, przesunęła ręką po grzbiecie. Żadnych nagniotków, żadnej popękanej skóry. Dłonie nieznanego były miękkie i delikatne. Przeniosła wzrok na swoje, były szerokie, mocne i spękane. W porównaniu z nim miała istne łapska. A więc człowiek z miasta.

Odsunęła na bok kołdrę i przejechała dłonią od okrągłych ramion przez mizerne włosy na klatce piersiowej aż do brzucha. Wyczuła niewiele mięśni, ale też nie za dużo tłuszczu. Raczej średniej grubości miękką warstwę, równomiernie rozmieszczoną na całym ciele, przez co wydawał się lekko zaokrąglony. Emma przysunęła się tak blisko, że włosy na jego piersi muskały jej twarz. W tym samym momencie znalazła się pod wręcz magicznym urokiem jego zapachu, zaczęła szukać nosem i znalazła jego najwspanialsze źródło w niewielkim zagłębieniu nad obojczykiem, w miejscu, gdzie zaczyna się szyja. Tu zapach był tak cudowny, że wsadziła tam nos, wężąc i wciągając w nozdrza aromat, nie mogąc się wręcz oderwać. Poznała go po tym zapachu. To był jej mężczyzna.

Ponownie przykryła go kołdrą i oddała się rozmyśleniom. Potem gwałtownie podniosła drugi koniec kołdry i zajęła się jego stopami. Rozchyłała mu palce nóg, wachając miejsca między nimi. Obmacała nasady paznokci,

przesunęła dłonią po piętach. Wszystko było gładkie, czyściutkie i wypielegnowane.

Emma zawsze chodziła po dworze bosą, oczywiście latem. Podniosła prawą nogę i położyła dla porównania przy jego. Jej stopa była brudna i zrogowaciała. Jego biała i miękka, tak jak dłonie.

Zdjęła nogę z łóżka i ponownie rozsiadła się wygodnie na krześle. Przesunęła spojrzeniem po kołdrze, jej wzrok zatrzymał się pośrodku jego ciała.

Wpatrywała się w grubą puchową kołdrę i nagle uśmiechnęła się tak samo zadziornie, jak wtedy w kukurydzy, kiedy była sześciolletnią dziewczynką. Powoli odchyliła kołdrę na tyle, żeby mieć swobodny widok na jego ciało. Tak dyskretnie, jak to możliwe u wieśniaczki, popatrzyła na nie.

Jego penis też był nieprzytomny, leżał bezwładnie na lewym udzie. Emma wyglądała na usatysfakcjonowaną; na jej twarzy błąkał się czuły uśmiezek zadowolenia. Ostrożnie opuściła z powrotem kołdrę i wstała z krzesła. Strzepnęła kołdrę z boku, żeby nie była taka zbita, czule przesunęła dłonią po czole mężczyzny, złożyła leciutki pocałunek na ustach, a potem zgasła światło i opuściła swoją własną sypialnię, lekko kołysząc biodrami. !

Emma miała swoje ulubione miejsce na sianie, tam dzisiaj spała. Wokół okienka w stodole ustawione były trzy ściany z bel siana, podłoga wysypana była świeżą słomą.

Już jako dziecko tu sypiała. Strasznie złościło to jej dziadka, bo jego złościło wszystko. Jeśli podejrzewał, że Emma leży gdzieś w słomie, darł się na całe gardło i groził ostrymi widłami. Twierdził, że przez te swoje zabawy niszczy bele siana. Nawet będąc już w podeszłym wieku, wspinał się po wąskiej drabince na górę, ale Emmie zawsze udawało się zawczasu uciec. Wyskakiwała przez okno na znajdującą się trzy metry niżej kupę gnoju.

Tyran wygrażał jej z góry, a ona siedziała w gównie, śmiała się i robiła miny, co zapewniało staremu codzienną dawkę wzmacniającej krążenie adrenaliny.

– Ty wiedzmo jedna! Szlag jasny, spiorę cię na kwaśne jabłko. Przekonasz się, kto rządzi w tym domu, jak cię dopadnę.

Dzisiejszej nocy zostawiła okienko stodoły otwarte, ponieważ przed snem uwielbiała patrzeć w rozgwieżdżone niebo.

Noc jednak była chłodna a senne koszmary, regularnie nawiedzające Emmę, dręczyły ją również. Niespokojnie przewalała się z boku na bok, skopywała koc. Przez to właśnie się przebudziła. Zmarzła. Sny zapomniała, gdy tylko otworzyła oczy. Pozostała jedynie żalność. Poczucie, że jest czemuś winna. Naciągnęła na siebie koc i dodatkowo przykryła się jeszcze wonnym sianem, aż się jej zrobiło ciepło. I tak sobie leżała, a jej myśli mknęły za ciemny horyzont.

Każda gwiazda to jeden dolarowy banknot! Gdzie tu wymienić te obce pieniądze?

Co ma zrobić z tym mężczyzną?

Musi iść do banku w mieście. Ale nigdy tam jeszcze nie była! We wsi był tylko bank pocztowy, a zajmowała się nim jak na złość akurat piekarszowa.

Jak to możliwe, że on ma takie czyste uszy?

Gdyby tak za jednym zamachem zapłaciła wszystkie raty za gospodarstwo, Henner na pewno by zapytał, skąd ma pieniądze. Był przecież nie tylko jej przyjacielem, ale też policjantem.

Ciekawe jak często wycina sobie włoski z nosa?

Lotto! Powie, że wygrała w lotto. Ale przecież nigdy nie grała. Nie wie nawet, jak to się robi.

Pogładziła piersi, wyobrażając sobie, że robią to jego dłonie. Jakie to podniecające – obcy mężczyzna w jej łóżku. A jeśli jutro sobie pójdzie? Musi zostać.

No to może dostała? Tylko że nie miała nikogo, kto mógłby jej coś podarować. A jeśli Henner wszystko odkryje?

Czy ten nieznajomy jest inny od Hennera? Emma była ciekawa, tak bardzo ciekawa! Już sobie wyobrażała, co będzie mogła robić z tym nowym nieznajomym mężczyzną.

Ale co, jeśli on wcześniej odejdzie? Nie może odejść, w żadnym razie!

Znalazła! Po prostu znalazła te pieniądze!

No, ale wtedy ten mężczyzna może powiedzieć, że to jego. I z pieniędzy nici, a znaleźne nie wystarczy na spłacenie gospodarstwa. Skąd on w ogóle ma tyle pieniędzy? I czemu w plastikowej reklamówce? Może wygrał w lotto? Albo dostał w prezencie? A może znalazł?

Nie, on to ukradł! To on jest złodziejem, nie ona. Chociaż może najpierw on, a potem ona.

Czyli złodziej. No, to by było coś! Przestępcy podobno są bardzo biegli w miłości. Tak mówili w telewizji.

Z tym samochodem to dobrze zrobiła. Że go spaliła. Więc torba z pieniędzmi też mogła się spalić. On sobie tak pomyśli. Będzie przekonany, że tak się stało!

Chciała, żeby okazał się złodziejem. Wtedy mogłaby zatrzymać pieniądze. A on musi u niej zostać, ona go ukryje i zatrzyma dla siebie. Będzie miała pieniądze i mężczyznę.

Jutro napali mu w saunie, to mu się spodoba. Zrobi wszystko, żeby mu się tu podobało.

Powieki Emmy zrobiły się ciężkie. Mężczyzna i pieniądze. Idealnie.

Jedno i drugie było tylko jej. Usnęła uspokojona w wonnym sianie i miękkiej słomie. Dziadek już nie żył, na szczęście. Wszyscy już nie żyli, na szczęście.

Gdy Maks się przebudził, zobaczył, że leży w nieznanym łóżku. Gruba puchowa kołdra wgniatała go głęboko w miękki materac. Byle jaka pościel w fioletowe kwiatki była stara i sprana. Musiał być cały czas w głębokim omdleniu, ponieważ nie słyszał piania koguta, które już parę godzin temu obudziło Emmę.

Leżał bez ruchu pod ciężką kołdrą i gapił się w sufit. Nad jego głową bawiły się w berka muchy, latały na wszystkie strony, skręcając pod ostrymi kątami, gwałtownie zmieniały kierunek, leciały przed siebie, żeby zaraz zawrócić, i tak bez końca. Przyglądał się ich zabawie bardzo długo; nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział.

Poruszał tylko oczami. Skierował je w prawo. Zauważył przy łóżku starą torbę lekarską bez zamknięcia. Wysypywały się z niej gazety, prospekty reklamowe i listy. Cały ten stos przyciskała lampa bez abażura. Na podłodze dojrzał filiżanki wypełnione pleśnią, od białej do zielonej, w najróżniejszych stadiach dojrzałości, oraz inne śmieci. Do tego otwarte pudełko kremu, próbki perfum, dziwnie poskręcane korzenie i zaszuszonego muchomora.

Naprzeciwko łóżka zobaczył resztki szafy, z której wysypywały się jakieś stosy odzieży, wszystkie bez wyjątku rozpaczliwie kolorowe. Po lewej leżała przewrócona butelka piwa w kałuży. Bynajmniej nie czerwone wino. Dywan, na którym leżała butelka, też nie był w żadnym razie tak piękny, jak u niego, tylko wydeptany i bury. Ze swojego miejsca w łóżku nie mógł się zorientować, czy to był jego oryginalny kolor, czy też brud z ostatnich stu lat. No, ale piwo nie zostawia śladów.

Udręczony, zamknął z powrotem oczy. Aha, to znaczy, że trafił do piekła. Umarł i wylądował w piekle. Tak szybko.

Kiedy się jednak poruszył, coś poczuł. Stłuczenia. Głowę. Kark bolał piekielnie. Ból?

To znaczy, że wciąż żyje! Odrzucił kołdrę i zobaczył, że jest nagi. Ciało usiane sinymi i zielonymi plackami. Ktoś musiał go rozebrać. Przytaszczyć tutaj. Wyciągnąć z samochodu. Miał wypadek. Obrabował Hansa, ukradł ferrari, chciał lecieć do Meksyku i był nieuleczalnie chory. No i nędznie umrze. Ktokolwiek położył go do tego łóżka, nie był jego zbawcą, tylko idiotą.

Gdyby tak już nie żyć!

Maks spróbował wstać. Jego zebra! Bolało piekielnie. Mimo wszystko usiadł, podpierając się o kant łóżka. Poszukał czegoś, w co mógłby się ubrać, odsunął na bok poźółkłą i porwaną firankę i wyjrzał przez okno. Czy ta czarnobrzowa kupa złomu to może ferrari?

Emma siedziała w saunie, kiedy usłyszała, jak mężczyzna zatrzaskuje drzwi domu. No, zaczyna się. Stała przy progu sauny i obserwowała go przez małe szklane okienko.

Miał na sobie jeden z jej fartuchów, ten żółty w czerwone kwiaty. Aż zakryła dłonią usta, żeby się w głos nie roześmiać. Spod kitla wystawały porośnięte szczeciniastym włosom nogi. Wyglądał jak karzełek Titelitury z baśni braci Grimm, i tak samo podskakiwał.

Był na bosaka i widać było, że nie jest do tego przyzwyczajony. Brzydził się błota i chodził zygzakiem, stawiając nogi jak bocian, zupełnie, jakby przez to stopy mniej mu się miały pobrudzić. Skutek był wręcz odwrotny: wdeptywał w kałuże, ślizgał się na kurzej kupie, burczał i przeklinał. Wyglądało to prześmiesznie. Emma była ubawiona do łez jego widokiem.

Wreszcie Maks odkrył to, co zostało z czerwonego samochodu. Zaczął podskakiwać jeszcze gwałtowniej, wykrzykując piskliwym głosem:

– No, nie, to przecież... to przecież... no, nie! Dlaczego zawsze ja... dlaczego... co teraz... jak ja...

Emma zwijała się ze śmiechu. Po policzkach ciekły jej łzy. Facet w jej fartuchu!

Szukał czegoś w samochodzie. Pieniądzy! Kiedy się zorientował, że wszystko spłonęło, zaczął tak przeraźliwie krzyczeć, że przestało to być zabawne. Emma zapięła porządnie fartuch, wsadziła stopy w wielkie zielone gumki i ruszyła przez podwórko w jego stronę.

Czy te fartuchy tak samo idiotycznie wyglądają na niej? Po raz pierwszy zobaczyła swoje ubranie na kimś innym: zupełnie jak pochlapana farbą skórka od kiełbasy, z której wystaje głowa i ręce i dyndają nogi. Nigdy dotąd nie wstydziła się swojego stroju, a teraz nagle zaczęła.

Stała przed nim. Miał piękne, brązowe oczy.

– Co się stało? Co się tutaj stało? – spytał, gwałtownie machając w powietrzu wychudzonymi rękami i szlochając bez żadnych zahamowań.

Głos miał miękki i nie wstydził się łez. Emma jeszcze nigdy nie widziała płaczącego mężczyzny.

Bardzo chciała wziąć go w ramiona i oddać mu pieniądze. Ale sama gwałtownie ich potrzebowała. Tak więc z konieczności uciekła się do kłamstwa i powiedziała, że samochód sam się zapalił, kiedy ona go z niego wyciągnęła.

– Jak to się zapalił? Jak to możliwe?

Emma wzruszyła ramionami i powiedziała, że też nie wie.

– I nic więcej tam nie było? Nic nie leżało na fotelu obok kierowcy? – spytał mężczyzna.

– A co miało być? Grzebała gumiakami w błocie.

– No, cokolwiek.

Nie powiedział „pieniądze”. Nie powiedział „plastikowa reklamówka”. A więc ukradł, był złodziejem. Doskonale. To znaczy, że sobie nie pójdzie, będzie musiał się ukrywać. W jej gospodarstwie. Jeśli ona sprytnie to rozegra, on na pewno zostanie.

– Lało jak z cebra, kiedy pana wyciągałam. A kiedy zaniiosłam pana do domu, auto nagle się zapaliło, tak samo z siebie.

Jego oczy rozbłysły:

– Padał deszcz i auto się paliło?

Emma wzruszyła ramionami.

Mężczyzna opadł ciężko na pień, na którym Emma obcinała kurom głowy. Siedział na zakrzepłej kurzej krwi. Jak to dobrze, że o tym nie wie... pewnie tak by go to zdenerwowało, że znowu wybuchnąłby płaczem. Emma stopniowo odzyskiwała pewność siebie. W zasadzie mógłby chociaż podziękować, przemknęło jej przez głowę. W końcu uratowała go zeszłej nocy.

– Coś pana boli? – spytała.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– Zabrać pana do lekarza, albo go tu sprowadzić?

Mężczyzna znowu pokręcił głową.

– Może chciałby się pan odprężyć? Mam saunę, już napalone. Leży tam też przygotowane ubranie dla pana. Przebierze się pan?

Mężczyzna kiwnął potakująco, ale nie ruszał się z miejsca.

– Proszę ze mną, pokażę panu.

Ruszyła przodem, a on za nią, całkowicie apatyczny.

Emma zrobiła, co mogła. Usmażyła mu jajka na słoninie. Postawiła na stole świeże mleko, obok pachnący chleb i kawę. Malinowa marmolada była z owoców z jej ogrodu.

Mężczyzna wszedł do kuchni w ubraniu jej zmarłego ojca, usiadł sztywno przy stole, ale niczego nie tknął.

– Proszę się częstować!

Pokręcił głową.

Emma patrzyła na Maksa w oliwkowym roboczym drelichu i miała przed oczami ojca, który nosił jeszcze do tego kaszkiet w tym samym kolorze. Ten męski odpowiednik fartucha dostarczył obwoźny handlarz Flachsmeier. Wszyscy chłopcy w tej okolicy nosili tę tanią zieloną bawełnę, niczym mundury.

– Jak tam sauna, wystarczająco gorąca?

Maks znowu pokręcił głową.

Kiedy nikt nie widział, ani jego żona, ani dziadek, ojciec zdobywał się niemalże na czułość. Głaskał ją wtedy dłonią po głowie. Rzadko wprawdzie się to zdarzało, ale jednak. To były jej najpiękniejsze chwile. A teraz przy kuchennym stole siedzi mężczyzna w ubraniu jej ojca, mężczyzna, którego nagie ciało już widziała.

– Chyba pan był w środku, znaczy, w saunie?

Milczenie.

– Nie? Szkoda. Nie ma pan żadnych poważnych zranień, które by na to nie pozwalały. Nawet dobrze by to panu zrobiło na stłuczenia.

Maks siedział nieruchomo, jakby był z kamienia. Patrzył przed siebie stężalym wzrokiem. Potem spojrział w stronę węglowej kuchni, w stronę spiżarni, na stół, w końcu na podłogę.

– Ubranie pasuje? Wygodne?

Maks wymamrotał coś jakby „Mao”. Emma nie miała pojęcia, co by to miało znaczyć. Guma do żucia Maoam? Ale to bez sensu. Zaczęła się trochę denerwować. Co się z nim dzieje?

Maks przycupnął na krawędzi krzesła, ręce na kolanach, nogi ściśnięte, ramiona skulone i podane do przodu, zupełnie jakby kuchnia była dla niego za ciasna.

Emma jadła, wytarła zabrudzone marmoladą palce w fartuch, pogłaskała kota, ugryzła chleba i znowu wsadziła palce, którymi przed chwilą czochrała zwierzę, w marmoladę, żeby zaraz z lubością je oblizać. Maks aż się wzdrygnął.

– Może jednak trzeba sprowadzić lekarza, tak pan dygocze.

– Tylko nie lekarz. W ogóle nikogo. Nie chcę, żeby...

...Mnie złapali, dopowiedziała w myślach Emma.

W końcu przecież ucieka, jest złodziejem. Będzie musiał tu zostać. Wspaniale. Co za piękne oczy.

– Nie jest pan głodny? Może kawy? – świergotała, robiąc wszystko, żeby mu się w końcu spodobać. Na Boga, czemu on się nie cieszy? Ma przecież wszystko: śniadanie, ubranie, nawet życie! Wszystko to zawdzięcza jej, a tymczasem nawet się nie cieszy.

Zrobiła ruch dzbankiem z kawą w jego stronę. On jednak nie zareagował. Siedział skulony, jakby był w klatce, w końcu zapytał niepewnie:

– A kto tu te wszystkie rzeczy tak... tak zostawił?

– Jakie rzeczy?

– No, te śmieci.

Emma rozejrzała się po kuchni. Nie widziała żadnych śmieci.

– Tu są jakieś śmieci? – spytała bez troski.

Powędrował spojrzeniem po izbie, którą ona nazywała kuchnią. To, co normalnie trzyma się w szafkach, stało byle gdzie. Wszystko było pootwierane, a nie zamknięte. Wszystko leżało bez ładu i składu. Było przewrócone, wylewało się, zasychało, kruszyło, kapało, lepilo, śmierdziało, pleśniało albo gniło. Ile czasu potrzebowała, żeby doprowadzić do takiego stanu? To nie były tygodnie czy miesiące. To musiały być lata, całego życia potrzebowała, żeby to osiągnąć. Oceniał ją na jakieś trzydzieści lat, może trochę więcej. A więc tyle potrzebowała.

Jaką musiała mieć duszę, skoro jej to nie przeszkadzało. Skoro tutaj jadła, zamiast wymiotować. Spojrzał na nią pytająco.

Emma poczuła się nieswojo i wstała od stołu.

– No cóż, skoro nie smakuje... Nic na to nie poradzę – powiedziała i wyszła na podwórko.

Maks rozpoznał ten obraz. Tę samą kuchnię, tę samą kobietę, jak ta, która właśnie wyszła drzwiami, już kiedyś widział. Ten wypadek to nie był przypadek. Jego dusza od samego początku wiedziała, gdzie skończy. Tutaj. U tej brudaski. Stąd właśnie jego koszmary, jego lęk przed brudem. Ten lęk był po prostu lękiem przed śmiercią. Było wiadomo, że kiedy zacznie rządzić chaos, przyjdzie po niego śmierć.

Wyrzwał przez okno i popatrzył na Emmę, która goniła jakąś kure. Gdakała jak ona, naśladowała jej chód.

Potem złożyła wizytę psu w budzie. Podeszła do niego na czworakach, szczekała razem z nim, przewalała się po ziemi. Na koniec pocałowała świnię, która do niej podeszła, prosto w brudny, mokry ryj.

Odwróciła się w stronę Maksa, który gapił się na nią, siedząc przy kuchennym oknie. Wiedziała, że ją obserwuje. Zaśmiała się. Zaśmiała mu się prosto w twarz.

Henner odpakował kanapkę z wątrobianką, chociaż Emma jakoś nie zjawiała się na swoim motorowerze. Co się stało? Czemu dzisiaj nie jeździ? Czyżby groźba eksmisji odebrała jej radość z jazdy? Rozwiązanie zagadki pojawiło się bardzo szybko, gdy tylko zajechał wielkim czerwonym dźwigiem ogniomistrz Karl i pojawił się w malutkiej izbie posterunku.

Karl był postawnym mężczyzną, wyglądał jak cesarz Wilhelm bez brody, za to łysy i z brzuchem. On sam na pewno by się upierał, że to, co wystaje mu z przodu poniżej klatki piersiowej, to mięśnie.

Karl zakomunikował, że na terenie gospodarstwa Emmy był wypadek, spalił się jakiś samochód, trzeba zrobić oględziny wraku i go zabrać.

Henner był zaskoczony. Włożył bluzę mundurową, nasadził na głowę policyjną czapkę i opuszczając posterunek, spytał:

– A skąd ty to wszystko wiesz? Ja nie mam o niczym pojęcia.

– Jak zawsze.

– Emmie coś się stało?

– Nieee.

– A skąd się mogło wziąć płonące auto na jej terenie?

– Zjechało po zboczu z szosy. Gajowy oglądał to miejsce rano. Poszło parę mniejszych drzewek.

– Emmie na pewno nic się nie stało?

Karl zmarszczył czoło, popatrzył surowo na Hennera i rzekł:

– Weź ją w końcu do siebie, głupku jeden.

– Łatwo ci mówić – jęknął Henner.

Przyczyna tego jęku siedziała w kłębach dymu na tylnym siedzeniu jego radiowozu, czekając, kiedy ruszą.

Henner wsiadł do wozu. Karl jechał dźwigiem za nim. Zupełnie niepotrzebnie Henner włączył syrenę, a Karl, który nie chciał być gorszy,

włączył wszystkie swoje błyskające niebieskie światła i klaksony. Jak mali chłopcy przejechali z tymi szykanami przez całą wieś.

Nareszcie coś się dzieje! Wszyscy wylegli z ciekawości na drogę, dzieciaki wrzeszczały z radości a matka Hennera wniebowzięta machała z tylnego siedzenia, jak pozdrawiająca swój lud królowa.

W tym samym czasie parę kilometrów dalej Hans przeszukiwał szosę. Jeszcze w nocy doszedł do przekonania, że Maks musiał mieć wypadek. Tak się martwił o Maksa, ale też o pieniądze i o ferrari, że przez całą noc nie mógł zasnąć. Gdy tylko zaczęło świtać, rozpoczął poszukiwania. Od miejsca, w którym widział samochód po raz ostatni, kawałek po kawałku sprawdzał asfalt, ale nie znalazł ani śladów hamowania, ani części wraku – nic. Gdyby Henner i Karl nie włączyli syren, nigdy by Maksa nie znalazł. A tak, pojechał w stronę sygnałów, zatrzymał się, nasłuchiwał przez chwilę i wreszcie znalazł świeżo obłamane gałęzie na zboczu powyżej gospodarstwa Emmy. W dole umilkły właśnie syreny.

Hans zszedł kawałek w dół, aż zobaczył samochody, które zajechały pod zabudowania... i spalony wrak. Zawstydził się, że pierwsze, co w myślach zarejestrował, to stuprocentowe zniszczenie samochodu, a dopiero potem zaniepokoił się o życie przyjaciela. Nie, Maks nie mógł umrzeć, jest na to za młody. Miał przecież tyle samo lat, ile on. A Hans wiedział, że jeszcze długo nie umrze. Nie miał na to czasu, w dodatku czekał dopiero na wielki sukces.

Ukrył się za pniem starego dębu. Gdzie się podział ten padalec, no bo chyba nie zginął?! Był na Maksa tak wściekły, udusi go własnymi rękami, bo zginąć na pewno nie zginął. Maks? Nie, na pewno nie.

Jak to w ogóle możliwe, że samochód spłonął? Wyłącznie na kiepskich filmach tak się dzieje, że samochód się pali tylko dlatego, że spadł ze zbocza. W dodatku wczoraj w nocy lało. Coś tu nie gra!

Obserwował, co dzieje się na dole. Z radiowozu wysiadł malutki policjant i jakaś starsza kobieta kopcząca papierosa, która chciała iść za nim, ale policjant odesłał ją z powrotem do samochodu. Pojawił się też postawny strażak. I wieśniaczka.

Maks, niezauważony przez nikogo, siedział trochę dalej nad strumieniem i obmywał wodą buty. Kiedy nadjechały samochody, rzucił się do ucieczki. Ukrył się na werandzie przy saunie, co widziała tylko Emma. Był to dla niej ostateczny dowód, że Maks musi być w tarapatach, a w każdym razie unika spotkania z policją.

Tu cię mam, bratku, pomyślała i z uśmiechem ruszyła w stronę Hennera i Karla, którzy właśnie wysiedli. Już ona mu pokaże za to, że ośmielił się uważać jej kuchnię za wysypisko śmieci.

– Cześć, Henner. Witam w tak cudowny dzionek, Karl.

Henner podrapał się po głowie. Co to ma znaczyć? Głos Emmy był melodyjny jak fletnia Pana.

– Witam panią, pani Schulze. Jak tam woreczek żółciowy? – ciągnęła Emma.

Karl rzucił Hennerowi pytające spojrzenie. Co się z nią dzieje? Henner tylko wzruszył ramionami. Znowu nie miał pojęcia. Kiedy Henner z Karlem zaczęli pytać o przebieg wypadku, Emma, nie wiadomo dlaczego, zaczęła się cofać w stronę sauny, wabiąc ich za sobą. Kierowca? Nieee, nikogo nie było.

Maks z ulgą i wdzięcznością słuchał, jak Emma go ochrania. Podchodziła jednak coraz bliżej, jeszcze trochę i tamci dwaj zobaczą go na tej werandzie. Czemu ona to robi?

Maks nie widział innego wyjścia, jak tylko uchylić drzwi do sauny i ukryć się za nimi. Jeszcze były otwarte, a tamta trójka ciągle się zbliżała. Maks

był w potrzasku. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko wejść do tego gorącego wnętrza i zamknąć za sobą drzwi.

Emma usłyszała, jak to robi, i zaśmiała się bezgłośnie ze złośliwą satysfakcją. Stała teraz z obydwoma umundurowanymi mężczyznami bezpośrednio pod sauną, opowiadając jedno, a wiedząc zupełnie co innego.

W środku Maks zdejmował po kolei ubranie. Na początek koszulę, potem spodnie i gumki. Wokół niego kłęby pary. Ze strachu pocił się i dygotał jednocześnie.

Emma pozwoliła, żeby się trochę pomęczył, nawet dołożyła razem z Hennerem trochę drewnianych szczap.

W tym czasie Karl dokonywał oględzin spalonego wraku, ale nie znalazł ciała. Kierowca zniknął bez śladu. Karl wąchał spalone blachy, oglądał dokładnie lakier na dachu i z drugiej strony, pod maską. Ruchem ręki przywołał Hennera.

– Słuchaj, dach jest spalony i całkiem zardzewiały, ale im niżej, tym więcej nietkniętego lakieru. Cały samochód cuchnie benzyną, pożar wcale nie zaczął się w komorze silnikowej.

– Działanie osób trzecich – skonstatował Henner.

– Bez wątplenia – przytaknął Karl.

– Czemu kierowca miałby podpalić samochód po wypadku?

– Albo Emma – rzucił Karl.

– Emma miałyby...? A po co?

Karl wzruszył ramionami.

Henner zdecydował, że można już zabierać wrak.

Hans stał za daleko. Nasłuchiwał, ukryty za dębem, ale niczego nie słyszał. Niemniej wyciągał wnioski. Gdyby znaleźli martwego kierowcę, wezwaliby kryminalnych z miasta. A więc Maks żyje. Bogu dzięki! A

pieniądze? Po co podpalił samochód? Czyli że pieniądze wciąż ma ze sobą. Trwało w nieskończoność, zanim dźwig załadował resztki wspaniałego ferrari. Hansowi mało nie pękło serce. Biada Maksowi, kiedy go dorwie!

Maks tymczasem leżał na podłodze gorącej sauny, łapiąc powietrze przez szparę w drzwiach.

Karl i Henner otworzyli drzwi swoich pojazdów i zamierzali odjechać. W Maksa wstąpiła nadzieja, bo czuł się już ugotowany na miękko. W tym momencie Emma spytała, czy nie mieliby ochoty na herbatę!

Na herbatę?! Te słowa aż przeszły Maksa.

– Na herbatę? – spytali równocześnie Henner i Karl. Jeszcze nigdy Emma nie robiła dla nikogo herbaty, nie mówiąc o tym, żeby sama ją piła.

Tylko matka Hennera podskoczyła na tylnym siedzeniu radiowozu, zaczęła się z niego gramolić i krzyknęła:

– Na herbatę? Ja chcę na herbatę!

Henner bardzo się zmartwił o Emmę. Ona i herbata?! Z pewnością potrzebuje spokoju, i to jak najszybciej, bo inaczej gotowa całkiem zwariować.

– Nic z tego. Żadnej herbaty – powiedział do matki i bezpardonowo wepchnął ją z powrotem na tylne siedzenie.

– Kiedy ja chcę.

– Dosyc tego.

Karl skinął głową z uznaniem.

Henner wszedł do radiowozu i ruszył; Karl swoim dźwigiem za nim.

Hans zobaczył nagle, jak coś spowitego w kłęby pary wypada z sauny i pędzi w stronę strumyka. Coś nagusieńkiego i czerwonego jak rak jednym susem wskoczyło do wody i głośno wrzasnęło. Kiedy się zanurzyło, rozległ się syk. Emma była tak rozbawiona, że zaczęła tańczyć, a potem turlała się po

ziemi, zanosząc się śmiechem. Przybiegł ze szczekaniem pies, kury podskakiwały, trzepocząc skrzydłami.

Hans rozpoznał Maksa. A więc jest tutaj! Co to wszystko miało znaczyć? Nie potrafił tego wszystkiego połączyć w całość. Wróci w nocy i zrobi z nim porządek. Wspiął się szybko zboczem. Maks w saunie? W brudnym strumyku? Maks, który okradł przyjaciela i zrobił z ferrari kupę złomu? Dotychczas wydawało mu się, że dobrze zna Maksa. Najwyraźniej jednak bardzo się mylił.

*

Maks zdążył się w tym czasie ochłodzić. Siedział w strumieniu, który wypływał wprost ze źródelka w lesie. Woda była bardzo czysta, ale też bardzo zimna. Maks był nagi i nie miał odwagi wyjść, bo na brzegu stała Emma i patrzyła na niego z uśmiechem. Też się uśmiechnął. I wreszcie był dla niej miłszy. A więc sauna zrobiła swoje.

- Zapomniałem powiedzieć: jestem Maks.
- A ja Emma.
- Miło mi.
- To dobrze – odrzekła Emma. – Mnie również.
- Dziękuję, że mnie nie zdradziłaś.
- Masz kłopoty?
- No, tak jakby.
- Nic nie szkodzi.
- Dziękuję.
- Proszę.
- A sauna dobra. Tak.
- Prawda? I taka zdrowa.
- O, naprawdę?

Skóra Maksa zrobiła się w saunie czerwona, teraz powoli zaczęła zmieniać kolor na siny. Maks zaczął dygotać, zęby mu dzwoniły. Emma dała mu w końcu spokój i ruszyła do domu. Po drodze spotkała koguta. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego od ostatniej nocy. Jego formułka „nic szczególnego nie zaszło” dzisiaj już nie miała zastosowania.

– Melduję posłusznie: auto, wypadek, obcy mężczyzna, paliło się. Gd gda?

Kogut był zbity z pantałyku. Emma pochyliła się i pogłaskała go po grzebieniu.

– Bez obawy, on nie potrafi pisać.

– Tak nam było dobrze bez niego. Z nim już nie będzie dobrze – skarżył się kogut.

Emma się uśmiechnęła:

– Nie martw się, będzie dobrze.

– Ludzie są źli!

– Ale nie on.

Zostawiła koguta tam, gdzie stał, i weszła do domu. Grzebień koguta aż napęczniał z zazdrości.

Narodziny Emmy były prawdziwą katastrofą dla gospodarstwa. Jej matka całe lata czekała, żeby wreszcie zajść w ciążę. Miała nadwątloną macicę i mogła urodzić tylko jedno dziecko: zdarzyła się dziewczynka. Oznaczało to zniknięcie nazwiska rodzowego i upadek gospodarstwa. Wraz z Emmą przyszedł koniec.

Dziadek przypisywał winę swojemu synowi. Nic nie potrafił porządnie zrobić, nie umiał się nawet postarać o prawdziwego spadkobiercę.

Emma jednak rozwijała się wspaniale, była wciąż głodna, zdrowa i ciekawa. W duchu ojciec był dumny z takiej córki. Dziewczynka pomagała

mu, jak tylko mogła. Obcięła sobie włosy na krótko, chodziła ciągle brudna, nosiła wyłącznie spodnie, wspinała się na drzewa wyżej od wszystkich chłopaków, jakich znała. Nigdy nie bawiła się lalkami, już w wieku siedmiu lat umiała prowadzić traktor i w ogóle harowała jak koń.

Mimo wszystko ojciec bez przerwy powtarzał z goryczą:

– Żebyś tak była chłopcem!

To zdanie burzyło w Emmie wszelką nadzieję. Robiła wszystko, żeby był z niej dumny, ale płci zmienić nie mogła. Kiedy zaczęły rosnać jej piersi, ojciec w ogóle przestał się do niej odzywać.

Dziadek traktował ją w dwojaki sposób: z jednej strony nią gardził, z drugiej zaś tresował jak wnuka.

Każdej wiosny demonstrował Emmie, na jakie naraża się niebezpieczeństwa, jeśli będzie się zachowywać jak baba, wołać o pomoc, okazywać słabość. Jeśli nie będzie tu pracować, jak wszyscy pozostali: tuczyć i szlachtować. Po wsze czasy miało się wryć w mózg wnuczki, gdzie jest jej miejsce, co stanowi o sensie jej życia. W tym celu dziadek posługiwał się wróblami.

Gdy tylko zaczynało się robić ciepło, przyglądał się, jak te rzekomo nieprzydatne do niczego ptaki budują gniazda w rynnach, blokując odpływ wody. Mógłby usuwać te gniazda bez wielkiego szumu, ale jemu wcale nie chodziło o drożność rynien, jemu chodziło o to, żeby dać nauczkę Emmie.

Ona bowiem z zachwytem przyglądała się, jak wróble rodzice świętowali wesele, potem się kochali, a wróble mamy dumnie znosiły jajka. Dziadek potrafił tylko szydzić ze starań wróblích ojców, którzy troskliwie karmili samiczki, żeby mogły wysiadywać w spokoju.

Nawet teraz dziadek miałby szansę usunąć gniazda bez wielkiej szkody, skoro zatykały rynny. Ale on czekał.

Czekał, aż wyklują się małe wróbelki i zaczną popiskiwać, domagając się jedzenia. W tym czasie ptasi rodzice szczególnie troszczyli się o swoje potomstwo. Było wielkie dawanie i branie, wielkie troszczenie się i dbanie, aż dziadkowi zbierało się na wymioty z obrzydzenia. Ta idylla to było dokładnie to, czego potrzebował.

Niskim głosem rozkazał:

– Emma, chodź tu.

Dziewczynka bardzo się go bała. Czy znowu chce jej spuścić lanie? O co mu chodzi?

– Dziadku, ja nie chcę – prosiła żałośnie mała. Jego głos brzmiał tak, jakby tresował psa:

– Do mnie, mówię.

Emmie nie zostawało nic innego, jak posłuchać. Zobaczyła, jak ojciec z przerażoną miną chowa się za drzwi obory.

Dziadek przystawił drabinę do ściany i kazał Emmie trzymać. Zaczął się wspinać. Dziewczynka przeczuwała, w jakim wróble są niebezpieczeństwie i błagała:

– Przecież one nic nie zrobiły, są takie malutkie.

Ale dziadek już sięgnął swoim wielkim łapskiem do gniazda, chwycił wszystkie świeżo wyklute wróble i trzymając je w dłoni zszedł po drabinie na dół. Ptasi rodzice wydawali przeraźliwe piski, błagając o życie dzieci.

Dziadek podetknął Emmie pięść pod nos i rozwarł palce. Na dłoni widać było maluteńkie ptaszki o nagiej skórze, tak cieniutkiej, że prześwitywały przez nią narządy wewnętrzne. Ptaszki miały szerokie, żółte dzióbki.

– A teraz słuchaj uważnie, co powiem – zaczął dziadek. – One wyżerają wszystko, co z takim trudem wysiałem i zebrałem własnymi rękami. Same ani sieją, ani zbierają!

Kiedy Emma była mała, płakała i błagała, żeby dziadek oszczędził ptaszki. Kiedy chodziła do szkoły, próbowała wyjaśniać i argumentować. Daremnie. Potem już tylko milczała. Zagryzała zęby i odwracała wzrok.

–Ty!

Dziadek szturchał ją brutalnie w żebra. Okrutny rytuał z popiskującymi w dłoni dziadka wróblami powtarzał się każdej wiosny.

– Każdy, kto chce żyć i jeść z nami w tym gospodarstwie, musi też pracować. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze. A kto tego nie robi...

Głos dziadka nabrał groźnych tonów i ostatnią częścią zdania był już czyn. Dziadek zrobił potężny zamach ręką i cisnął ptakami o ścianę domu, tak że się o nią roztrzaskały. Przez ciało Emmy przeszedł dreszcz. Dziadek rozkoszował się przerażeniem, jakie wzbudził u dziecka. Jednocześnie chciał też zranić swojego dorosłego syna, który stał za drzwiami obory i wbijał zęby w grzbiet własnej dłoni. Jako mały chłopiec doświadczał dokładnie tego samego, a teraz nie umiał uchronić swojej córki.

Jeszcze przez kilka dni dziadek odczuwał nienawistną i złośliwą radość, przypominając sobie przerażenie na twarzy małej Emmy i obraz syna gryzącego własną rękę. Po prostu rozkoszował się przemocą.

Zalewając się łzami, Emma patrzyła na porozrywane ciała ptaków. Nie miała mocy, by poskładać je z powrotem i przywrócić im życie. Jej rysy twardniały potem na wiele dni, a niekiedy tygodni. Nocami zdejmował ją paniczny strach, krzyczała przez sen i płakała, błąkała się po domu, niczego następnego dnia nie pamiętając. Tak było zawsze, kiedy nadchodziła wiosna. Emma wiedziała dokładnie, gdzie jest jej miejsce.

Despotyczny dziadek umarł niezwykle spokojną śmiercią, na przekór elementarnemu poczuciu sprawiedliwości. Po prostu zasnął, bez bólu, nigdy wcześniej nie chorując, w słusznym wieku osiemdziesięciu pięciu lat. Ojciec

Emmy natomiast zginął w wypadku motocyklowym. Pożyczył motor, żeby poczuć większą moc koni mechanicznych, niż można było wydobyć z jego małego zündappa. Poza tym pił.

Ojciec wypadł z drogi na zakręcie i roztrzaskał się w sąsiedniej wiosce o czerwony mur kościoła. Impet urwał mu prawą nogę, gałki oczne pękły, a mózg wylał się na drogę. Emma zawsze powtarzała, że zginął tak jak tamte wróble.

Ledwie dwa tygodnie później matka Emmy padła martwa na podłogę kuchni. Nawet lekarz nie umiał powiedzieć, co jej było. W tej okolicy nikogo nie obchodziło, na co kto umiera.

Emma miała wtedy siedemnaście lat i wciąż jeszcze nie dostawała okresu. Zaczęło się akurat na pogrzebie matki. Pierwsze jajczkowanie miała więc dwa tygodnie wcześniej, czyli dokładnie w dniu, kiedy o kościelny mur roztrzaskał się ojciec. Za każdym razem, kiedy miała miesiączkę, przypominała sobie śmierć rodziców. Nie dało się tego zmienić.

Została sama na gospodarstwie. Ze wszystkich sił tuczyła świnie, które potem sama sztachtowała. Kto chce jeść, ten musi pracować.

A pracy było pod dostatkiem. I już od dawna nie potrzebowała dziadka, który by jej to musiał powtarzać. Emma była przykuta do swojego gospodarstwa – przykuta niewidocznymi łańcuchami.

Dlatego stała teraz w swojej izbie rzeźnej, patrzyła na wyczyszczone urządzenia i naostrzone noże, czekające w nieskazitelnym porządku na moment użycia; przygotowała wszystko starannie na dzień uboju. Przyprawy zostały świeżo zmielone, maszynka do mięsa i kielbaśnica wymyte i zmontowane.

Wszystkie narzędzia i żeliwne urządzenia były w rodzinie od pokoleń. Niektóre noże należały jeszcze do pradziadka. Kielbaśnicę kupił dziadek, elektryczną maszynkę do mięsa ojciec.

Cztery razy do roku przychodził stary Flachsmeier i ostrzył noże. On też przywoził do domu fartuchy, swoim dostawczym piaggio ape, czymś w rodzaju trójkołowego skutera z blaszaną kabiną i skrzynią ładunkową z tyłu. Taki dwusuw, który przywiózł sobie z Włoch. Aż trudno uwierzyć, ale Flachsmeier rzeczywiście kiedyś był we Włoszech, za młodych lat. Bez przerwy coś majstrował przy tym swoim ape, co po włosku znaczy „pszczołka”.

Kiedy na świat przyszła Emma, dostarczał im tym pojazdem tetrowe pieluchy. Do dzisiaj zresztą przyjeżdżał, przywożąc szare mydło, szczotki, sznurówki, gumiaki, muchołapki, tłuszcz mlekowy, naboje do strzelb, barchanową bieliznę i właśnie fartuchy.

Flachsmeier był ostatnim obwoźnym handlarzem i jego zawód był równie staromodny, jak jego charakter. W okolicy, w której mieszkała Emma, wszystko było starsze niż gdziekolwiek indziej, zacofane albo nie takie, jak potrzeba. Nadeszło nowe tysiąclecie, ale niczego to nie zmieniło w życiu Emmy, tamtego chłopca od kartofli, Hennera czy Flachsmeiera. Henner miał radiowóz, którym nie jeździł już żaden policjant. Chłop od kartofli tak jak dawniej własnymi rękami wygrzebywał z ziemi owoce swojej pracy, Flachsmeier miał swoją trójkołową pszczołkę, a Emma, jak to się robiło od tysiącleci, podrzynała gardła swoim świniom, przerabiając je na kielbasy.

Dzisiaj jednak patrzyła na te swoje urządzenia z niechęcią i zdecydowała, że przełoży krwawe zajęcie na następny dzień. Było już prawie południe, w ogóle za dużo się dzisiaj wydarzyło i miała wszystkiego dosyć. Absolutnie nie była w nastroju do świniobicia. Wyszła na dwór i oparła się plecami o drzwi.

Spojrzała w stronę sauny, gdzie drzemał obcy mężczyzna. Teraz może bardziej mu się podobało, kiedy sobie leżał w hamaku. Emmie podobało się, że jemu może się spodobać. Wtedy zostanie. A ona bardzo chciała, żeby został.

Czuła nieprzyjemne ciśnienie powiek. Czemu ma taką zaciśniętą krtani? Czemu tak często czuje ucisk w obu skroniach? Czemu nigdy nie doskwierał jej nadmiar pracy? Czemu potrafiła zasnąć dopiero wówczas, kiedy przeharowała czternaście godzin i całe ciało bolało ją jak po ciężkim pobiciu?

Czemu robi to, co robi? Czemu się stąd nie wyniosła i nie robiła czego innego? Była tutaj i robiła, co było do zrobienia. Sama i codziennie. Bez urlopu. Nie jeździła nawet do miasta. Bo i po co? Miała swój motorower. Swój dom. Swój fartuch. Swoje świnie.

Całe szczęście, że ma te świnie.

Pełna tęsknot i nowych marzeń poszła na górę na siano. Nie do swojego kącika do spania, tylko jeszcze dalej, w głąb. Tam podniosła ciężką klapę w podłodze stryżku. Bezpośrednio pod nią była przegroda starej maciory, która już od dawna się nie oprosiła. Emma dawno już powinna ją zaszlachtować, ale za nic nie mogła się przemóc, żeby to zrobić.

Zrzuciła na dół belę słomy. Potem usiadła na krawędzi, zwiesiła nogi i skoczyła w dół, do świńskiej przegrody. Wyjęła scyzoryk z kieszeni fartucha, rozcięła sznurek i rozsypała słomę. Starej maciorze bardzo się to spodobało. Wcisnęła w słomę wilgotny ryj wyglądający jak gniazdko kontaktu, rozgarniała ją na boki, obwąchiwała, a w końcu zaczęła się po niej tarzać z lubością swoim tłustym cielskiem.

Emma robiła wszystko to, co ona: obwąchiwała i tarzała się. Położyła się na słomie przy maciorze i przywarła do jej ciała, które było o wiele większe od jej ciała i cztery, albo nawet pięć razy cięższe.

Świńska skóra jest bardzo podobna do ludzkiej.

Także narządy wewnętrzne są bardzo podobne, i zarówno u świni, jak i u człowieka, znajdują się niemal dokładnie w tych samych miejscach. Nie ma drugiego zwierzęcia, które byłoby tak podobne do człowieka, jak świnia.

Przysunęła się jeszcze bliżej zwierzęcia, żeby przyłgnąć jeszcze mocniej. Obydwu im bardzo to odpowiadało. Zwierzęta unikają lekkich dotknięć, natomiast mocne poklepanie po grzbiecie czy boku, albo mocne przytulenie uspokaja je.

Tutaj, na świeżej słomie, przy tłustej maciorze, Emma się odprężyła. Tutaj nie przejmowała się ani grożącym jej zlicytowaniem, ani matką Hennera, ani dolarowymi banknotami. Jeszcze niedawno obawiała się, że mężczyzna odejdzie. Tutaj, w oborze, powróciła nadzieja, że jednak zostanie. Na zawsze.

Maks zasnął w hamaku. Kiedy się ocknął, pozbierał ubranie, ciągle jeszcze leżące w wychłodzonej już saunie.

Obejrzał sobie teraz to pomieszczenie trochę dokładniej, podziwiając rzeźbienia na futrynach okien. Okrągłe, regularne ornamenty, przypominające listki mleczu i margarytki. Pomalowane były na żółto, czerwono i różowo, podczas gdy same futryny były zielone. Ten domek wyglądał tak, jakby zabłądził tu przypadkowo. Wyruszył w podróż z Rosji i tutaj utknął. Maks aż się uśmiechnął, kiedy sobie uprzytomnił, że on też tutaj utknął; nie pasował do tego miejsca, zdecydowanie nie.

Domek z sauną był przepiękny, a ogród to jedna wielka wspaniałość. Czemu więc, zastanawiał się Maks, w domu jest taki śmietnik? Czemu obora jest otwarta, czemu wszędzie łążą kury, robiąc te swoje gówienka? Czemu nikt nie odgrodzi jakoś kupy gnoju? Aż się wzdrygnął. Zobaczył, jak świnię drzemią w błocie pod dającym cień bukiem. Na szczęście łąka była ogrodzona płotem, inaczej zaraz uciekłyby stąd ze strachu. Te świnię były o wiele większe,

niż sobie kiedykolwiek wyobrażał. W gruncie rzeczy, nigdy w życiu żadnej nie widział, znał je tylko w postaci kotletów, zapakowanych i zbitych na płasko.

Maks jadał też jajka, nawet chętnie. Ale nigdy nie widział na własne oczy, jak kura je znosi. Kury Emmy były brązowe. Grzebały w ziemi, wydziobywały z niej coś i robiły kupy. Gdyby jakaś zapędziła się aż do sauny, przepędziłby ją. Teraz był to jego teren.

Rozglądał się, szukając Emmy, ale nigdzie nie było jej widać ani słychać. Cicho otworzył drzwi do wielkiej obory. W środku było chłodno i ciemno. Przez zakurzone okna wpadały snopy słonecznego światła. Niezliczone drobinki kurzu tańczyły w świetle, połyskując jak mikroskopijne diamenty w powietrzu.

Zobaczył bronę i pług. Wóz i mały traktor. Worki. Pestycydy do opryskiwania roślin. Piętro wyżej, nad przegrodami dla zwierząt, leżała słoma. Można tam było wejść po przystawionej drabinie. W stronę stryszku ze słomą ciągnęły się grube metalowe liny. Maks przyglądał się temu wszystkiemu, ale nie miał pojęcia, do czego to służy.

Przypuszczał, że słoma jest czysta. Nie zauważył myszy, które ciekawie zerkały na niego brązowymi oczkami. Była też sowa, a pod sufitem wisały nietoperze. Maks widział wprawdzie delikatne siatki pajęczyn, ale na szczęście nawet się nie domyślał, jak obrzydliwie tłuste są pająki czyhające w swoich kryjówkach. Obrzydzenie wzbudziłby też w nim szczur, mieszkający za workami przygotowanych do sadzenia kartofli; był to szczur albinos, którego nawet Emma tylko raz widziała.

Maks wspiął się na bele słomy i zjechał na siano. Pachniało cudownie, trochę jak sól do kąpieli u niego w domu.

Oczywiście kłapa w podłodze wciąż była otwarta, bo skąd Emma mogła przypuszczać... zresztą nie była przyzwyczajona, żeby ktokolwiek tutaj był i

łaził po jej słomie. Maks był bardzo dumny, że tak daleko się wypuścił, był dumny, że tak zupełnie nie przejmują się kurzem.

Stał na skraju otworu wychodzącego na przegrodę maciory, widok zasłaniała mu belka biegnąca na wysokości jego twarzy i podpierająca drugą belkę. Puchata sowa, która na niej spała, obudziła się wskutek ruchów intruza i wydała z siebie niewinne: „uhu”.

Maks skamieniał. Sowa siedziała dokładnie na wprost niego, dwadzieścia centymetrów od jego twarzy. Doznał takiego szoku, jak po ciosie w żołądek.

Wrzasnął jak opętany.

Od jego krzyku obudziły się nietoperze. Wzbiły się na moment w powietrze, zamieniając się miejscami. Ale odgłos był niepokojący. Maks znowu wrzasnął, z przerażenia zachwiał się, stracił grunt pod nogami i spadł przez otwór w podłodze prosto na grzbiet starej maciory. Maciora zakwiczała z bólu i przerażenia i dokładnie takim samym tonem jak maciora zakwiczał Maks.

Emma zareagowała błyskawicznie. Poderwała Maksa w górę i z nieprawdopodobną siłą przerzuciła przez ogrodzenie boksu, żeby był bezpieczny. Nawet ona musiała się teraz obawiać maciory, bo jeśli zwierzę tak bardzo się przestraszy, staje się nieobliczalne. W takiej chwili maciora potrafi nawet zagryźć swoje młode. Emma szybko wyskoczyła z boksu za Maksem.

Maks był kompletnie dezorientowany. Emma złapała go za rękę i wyciągnęła na dwór. On cały dygotał, był blady z przerażenia, a jej brakowało tchu.

Nogi odmówiły Maksowi posłuszeństwa i osunął się na ziemię. Emma uklękła przy nim i położyła sobie jego głowę na kolanach, głaszcząc go uspokajająco.

– Pani mną rzuciła! – powiedział drżącym głosem.

– Ma się te muskuły! – Uśmiechnęła się z dumą i napięła biceps.

– Ja chcę do domu – zaszlochał.

Po raz pierwszy w życiu Emma trzymała na kolanach człowieka. Dotychczas były to zawsze zwierzęta. Henner w ogóle nie pozwalał się głaskać, nigdy. Szczęśliwa, że mogła go obronić, głaskała Maksa po głowie. Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie czuła, nigdy z czymś takim nie miała do czynienia. Już go stąd nie wypuści, nigdy. Musi tu zostać. U niej.

Kiedy Maks doszedł jakoś do siebie, zachciało mu się wrócić do sauny. Zrobiła mu tam posłanie z materacem, poduszkami i kołdrą, postawiła świeczkę, przyniosła karafkę soku jabłkowego i zostawiła samego. Nie odezwał się już ani słowem.

Później, już po południu, zobaczyła, że znowu leży w hamaku. Przyniosła jarzyny i owoce z ogródka, oczyściła i pokroiła na drobne kawałeczki, pełny talerz. Postawiła talerz obok niego na stole werandy. Skinął głową bez słowa, jakby dziękował.

Kiedy wróciła wieczorem, talerz był pusty, a hamak osierocony. Usiadła na werandzie, a Maks rzeczywiście wyłonił się z sauny, która była teraz jego sypialnią. Zatrzymał się w drzwiach.

Przyniosła mu latarkę i nowe świece. Prosiła tylko, żeby uważał, bo drewniany domek szybko może się zająć ogniem.

Maks dość niezdarnie wydusił z siebie:

– Bardzo dziękuję za gościnność, z której niestety nie będę mógł dłużej korzystać. Jutro zamierzam... och...

Upadł na ziemię, zwinął się w kłębek i zawył z bólu. Doskoczyła do niego, pytając zatroskanym głosem, czy może jednak w czasie tego wypadku odniósł jakieś rany. Kiedy złapał znowu oddech, odmówił przyjęcia pomocy,

nie chciał, żeby go podtrzymała. Wciąż jednak stał zgięty, trzymając się futryny i stękając.

– Dziękuję, ja... nic się nie stało. To tylko brzuch, stara historia. Już w porządku. Rano wyruszę w drogę. Serdecznie dziękuję za wszystko. Dobranoc.

Nie dał jej żadnej szansy na odpowiedź. Drzwi się zamknęły.

Emma poszła do swojej sypialni i obwąchała kołdrę. Wciąż jeszcze utrzymywał się na niej jego zapach. Żywicznego drewna i cynamonu. Dlaczego mężczyzna o pięknych brązowych oczach chce teraz odejść?

Kobieta ratuje mężczyznę, zamiast odwrotnie, i pociesza go, a potem on się tego wstydzi? Czy dlatego jest taki małomówny? Dokąd się wybiera? Bez pieniędzy?

Na lewym skrzydle drzwi od szafy wisiało lustro, w którym tego wieczoru Emma przyglądała się sobie, gdy się rozbierała. Związała brązowe włosy i zebrała je do góry. Zapomniała się w swoim własnym odbiciu i rozmarzyła o jakichś obcych dłoniach, które by rozpuściły jej włosy. O czystych, białych dłoniach, które spoczęłyby na jej ramionach. O męskich dłoniach, które by powoli rozpięły ten idiotyczny fartuch, objęły piersi, gładziły je i drażniły, zsunęły fartuch z ramion, tak żeby opadł na podłogę.

Jej dłoń ześliznęła się na brzuch, okrążyła pępek, w końcu palce zatopiły się we włosach łonowych. Zostawiła tam dłoń, drugą zakryła piersi. Nago podeszła do otwartego okna i spojrzała na wspaniale czyste, rozgwieżdżone niebo. Sauna była daleko, w dodatku po drugiej stronie domu, więc na pewno nie mógł jej widzieć. Gdyby ją jednak zobaczył, może ten obraz coś by mu przypomniał. Emma stała w oknie jak Wenus Botticellego, brakowało tylko muszli. Za to wiał zachodni wiatr.

– Co mam zrobić, dobry Boże, żeby go zatrzymać? – spytała naga w niebo.

Milczenie.

Tylko świerszcze cykały, chrobotwały polne myszy. Kręcił się wiatr. Modlitwa Emmy była błagalna, ale nic się nie wydarzyło.

Czasami odczuwała głód, taki prawdziwy. Kiedy na przykład była w polu, żeby przetrząsnąć siano, i zapomniała ze sobą śniadania. Głód narastał i pęczniał, domagał się zauważenia. Potem zmieniały się proporcje jej ciała. Brzuch stawał się królem. Punktem centralnym. Robił się przeogromny i pusty. Co chwilę krzyczał: „Napełnić, najeść, proszę, boli!”.

Pragnienie też takie było. Kiedy manierka była pusta, a pot wykradał z Emmy ostatnie krople wilgoci, wówczas jej usta krzyczały o cokolwiek mokrego. Język się lepiał, obrzmiewał. Całe ciało zdawało się być zagrożone, nic nie było ważne, oby tylko w końcu znalazła się woda. Wszystko biło na alarm, zmysły szalały.

A teraz, w jednej chwili dopadła ją żądza, którą odczuła dokładnie tak samo, jak głód i pragnienie. To było coś nowego. Lekkie podniecenie, owszem, знаła, ale to pragnienie było bezmierne. Poczwała rozpacz, jak ktoś, kto lęka się o życie. Bo rzeczywiście tak było. Tyle że nie chodziło o jej własne życie, tylko o nowe, które by z niej wyszło. Emma była zdrową kobietą w odpowiednim wieku, jej ciało domagało się zapłodnienia. Wybuchło w niej pożądanie, którego nie dało się już zatrzymać. Niepohamowana żądza, żeby mężczyzna wziął w ręce to, co mu w nie wpadnie. Żeby ugniatał jej piersi, żeby przybliżył je do warg. Żeby je lizał i ssał. Żeby wślizgnęły się w nią jego mocne palce, żeby ścisnęły i gniotły, pieściły i pocierały. I żeby zdarł z niej ten fartuch, proszę bardzo. I żeby zatopił w niej język, i wreszcie ją posiadł. Wielkie nieba, gotowa była oddać za to życie.

Och, mężczyzno, kto cię rzucił do mojej zagrody tamtej nocy? Przyjdź tu i posiadź mnie wreszcie. Ale jak miałby wysłuchać jej błagań? Jak go

otworzyć, tego zamkniętego w sobie mężczyznę? Jak zatrzymać kogoś, kto chce odejść?

Emma ubrała się z powrotem i poszła w ciemną noc, bez latarki. Nie chciała, żeby ktoś ją zobaczył, a znała tu przecież każdy kamień, każdy piének, każdą ścieżkę. Przeszła kilkaset metrów przez łąkę w stronę wsi. Potem drogą obok małego kościółka i w prawo, mijając starą szkołę. Na skraju wsi mieszkał Henner.

Obudziła go, gwizdząc na palcach.

Zaspany, ale przyjazny, wyjrzał przez okienko w dachu.

– No?

Spojrzał w ciemne niebo i dorzucił:

– O tej porze?

– Powiedz mi, Henner, jak się gra w lotto?

Henner nabrał głęboko powietrza. A więc jednak zwariowała...

– Poczekaj, otworzę.

Zszedł po schodach, skradając się, żeby nie obudzić matki. Tego by mu jeszcze teraz brakowało. Wpuścił Emmę. W kuchni bez pytania otworzył dwie butelki piwa i postawił na stole. Stuknął swoją butelką o butelkę Emmy, chociaż ona jej nawet nie tknęła. Dostrzegł jej szklane spojrzenie. Wydała mu się bardziej nabuzowana niż zwykle. Głos też miała zmieniony.

– Miałam takie widzenie, niedawno. Spada na mnie deszcz pieniędzy, banknoty, dużo banknotów.

– Aha.

Henner postanowił dać jej się po prostu wygadać.

– No, ale przecież nikt mi nic nie podaruje, spadku też nie dostanę, bo nikogo nie mam. A żeby ukraść, to nie wchodzi w rachubę, co nie? Henner?

– I dlatego uważasz, że wygrasz, tak?

Emma jednak sięgnęła po piwo. Wypiła duszkiem prawie pół butelki, otarła usta i oświadczyła raz jeszcze:

– Miałam to widzenie, wiesz. No, a teraz mi powiedz, jak to się robi, znaczy tego lotka.

– Kupon mogę ci przywieźć, kupuje się w tym kiosku, gdzie zawsze kupuję słodycze. Jutro po południu, może być? Wtedy pokażę ci, jak się wypełnia i zobaczymy.

– Henner, jutro po południu to za późno, w mojej wizji było, że muszę to zrobić wcześniej rano.

– Wszystko jedno, czy rano, czy po południu, bo losowanie jest dopiero w sobotę.

– Ale, Henner, chodzi o to, żeby były właściwe cyferki. Bo co mi po tym całym lotku, jak wybiorę nie te cyferki?

– No tak, wtedy przegrasz. Jak skreślisz nie te, co trzeba.

– No właśnie. A ja muszę wygrać, a właściwe cyferki mogę skreślić tylko całkiem rano. Mam takie przeczucie. Dlatego przyszłam o tej porze, żeby z tobą o tym pogadać.

Brzmiało to wszystko jak w głupawej sztuce z wiejskiego teatrzyku: parobek i dziewczka rozmawiają pod oborą – mniej więcej na tym poziomie. Ale, po pierwsze, Emma uważała, że Henner jest umyślowo nie za bardzo lotny, a po drugie, musiała udawać głupią, żeby nadal mu się wydawało, że z jej nerwami jest nie w porządku. Wtedy coś dla niej zrobi. A taki miała cel. Emma w ogóle nie była zainteresowana graniem w lotto. Chciała tylko, żeby Henner jutro z samego rana pojawił się w jej gospodarstwie, i to koniecznie radiowozem.

– No to jak? – Opróżniła butelkę do końca. Może przy okazji będzie to jakieś wyjaśnienie, skąd u niej nagle tyle pieniędzy. Wygrana w lotto, wizja.

– Skoro uważasz, że trzeba. – Henner uśmiechnął się ukradkiem i w przyływie odwagi dorzucił: – Kochanie.

Emma, której ciało nadal było głodne, poczuła przyływ nadziei, że doczeka się przynajmniej odrobiny zainteresowania:

– Naprawdę jestem twoim kochaniem?

– No, pewnie – przytaknął Henner zmieszany.

– Henner, chciałbyś czegoś ode mnie?

Usiadła mu na kolanach, zaczęła majstrować przy piżamie. Ale Henner zaczął się krygować i wiercić niespokojnie na krześle na wszystkie strony:

– Lepiej nie tutaj, nie teraz.

– A jeszcze przed chwilą byłam dla ciebie „kochanie” – rzuciła gniewnie.

– Chciałem tylko powiedzieć, jaka jesteś kochana. Nie musisz od razu myśleć nie wiadomo co. No wiesz. Chciałem powiedzieć coś miłego, skoro masz takie kłopoty.

– Aha, czyli gadać tak, ale zrobić coś miłego to już nie, co?

Henner kręcił głową na wszystkie strony, zupełnie jakby głowa była zbyt luźno osadzona na szyi:

– Ona się zaraz obudzi i rano będę musiał wysłuchiwać. Będzie mnie pytała: „A czemu to, a czemu tamto”, i w ogóle. Nie chcę.

Emma była sfrustrowana i wściekła. Wściekła! Tak jak potrafią ludzie w tej okolicy.

– Dobra, to rano chcę cię zobaczyć u mnie. Z kuponem lotka, jasne?

Henner musiał zmienić swoje plany. A przychodziło mu to z trudem, jak wszystko, co wybijało go z codziennego rytmu.

– W takim razie pojedę po słodycze z samego rana. Normalnie nigdy tego nie robię, więc Flachsmeier się zdziwi, jak nagle przyjdę tak rano. I jeszcze poproszę o lotka. Nigdy tak nie robiłem.

Emma zaczęła go strofować jak rozeźlona pielęgniarka:

– No i co z tego? To się raz zdziwi i tyle! Wielka mi rzecz.

Henner otworzył jej drzwi. Zaczęło padać, a Emma nie miała nic, czym mogłaby się osłonić. Dał jej więc jedną z wielkich chust matki. Wyglądało to głupio, ale Emma zawiązała ją pod szyją i jeszcze nasunęła głęboko na czoło.

– Wyglądasz w tym jak czarownica.

– Dzięki, Henner.

Nawet nie zauważył jej sarkazmu.

– Dziękuję za komplement i wspaniały wieczór. Wracam do mojego domku z piernika. Dobranoc.

Kroczyła teraz energiczniej, niż idąc tutaj. Osiągnęła, co chciała osiągnąć. Ale poza tym? Skoro już powiedział do niej „kochanie”... Była wściekła.

Oswojony kruk siedział na polnej drodze prowadzącej do jej gospodarstwa i czekał.

– Cześć, kuku – pozdrowiła go.

Znalazła go dawno temu, kiedy jeszcze nie umiał latać. Wypadł z gniazda i złamał sobie skrzydło. Udało jej się go wyleczyć i odchowić. Dzisiaj przylatywał i odlatywał, kiedy mu się podobało. Emma bardzo się z tego cieszyła. Kruk wskoczył jej na lewe ramię, żeby towarzyszyć w drodze.

Opowiedziała mu o tym okropnym Hennerze i o tym, jak się przez niego wściekła. Kruk zakrakał, że coś takiego nie godzi się nawet w kruczych kręgach. Odtrącić kobietę, kiedy szuka miłości? To grzech.

– No właśnie, prawdziwy grzech – powiedziała Emma.

Tymczasem Hans wrócił do zagrody Emmy i wśliznął się do domu. Najpierw nasłuchiwał w ciemności oddechu śpiącego Maksa albo tej wieśniaczki, ale dom wyglądał na pusty. Nie było nikogo. Ale przecież Maks

musi gdzieś tu być! Hans zapalił latarkę. Zdumiał go bałagan panujący we wszystkich pomieszczeniach. Zastanawiał się, jaki samochód mógłby sprzedać komuś, kto tak mieszka. Citroena 2 CV za bardzo szkoda, jego elegancja byłaby tu nie na miejscu. Pewnie raczej renault 4 z ręczną skrzynią biegów, w mysim kolorze, jakiś z pierwszej serii. Normalnie dbał o to, żeby jego używane wozy były starannie umyte i wypucowane do połysku. W przypadku tego klienta, bardziej wskazane byłoby przejechać się z wielką prędkością leśną drogą po gwałtownej burzy, żeby samochód nabrał właściwej barwy.

O ścianę stał oparty przedpotopowy zündapp. Taki z kołem zamachowym. Od dawna ich już nie produkowano. Mógłby go wziąć w rozliczeniu, a potem podszykować do sprzedaży na rynku oldtimerów. W tym momencie latarka zamigotała, wreszcie zgasła. Bateria. Hans zaklął.

Poszedł do obory. Na zardzewiałym gwoździu wbitym w belkę znalazł małą lampę naftową, którą teraz zapalił. Za przegrodami dla zwierząt były jeszcze dodatkowe pomieszczenia. Całą jego uwagę zaabsorbowały skarby, jakie się tu znajdowały. Staroświeckie maszyny rolnicze, zakonserwowane warstwą smaru, dlatego doskonale zachowane. Dębowe belki konstrukcji, prastare. Poszukiwane przez architektów restaurujących stare domy. Pod workami z nawozem znalazł stare krzesła i wspaniały stół. Najwyraźniej tego gospodarstwa nie ogołocili jeszcze handlarze, którzy parę lat temu ciągnęli przez tę okolicę, wykupując od chłopów wszystko, co wartościowsze. Hans dokonał właśnie wielkiego odkrycia, co do tego miał pewność.

Im dokładniej jednak oglądał gospodarstwo, tym mniej rozumiał, jak to możliwe, żeby jego przyjaciel się tutaj ukrywał. Czysty do bólu Maks nigdy w życiu nie spałby w jakimś chlewie, nie mówiąc już o zasyfionym wiejskim domu. Z drugiej strony, ten gnojek ukradł mu pieniądze i doszczętnie rozbił jego ferrari. Tego też by się po nim nigdy nie spodziewał. Co w niego

wstąpiło? Zupełnie jakby go ktoś zaczarował. Z dnia na dzień zmienił się nie do poznania!

Po powrocie do domu Emma usłyszała, że zwierzęta są zaniepokojone. Czyżby łasica? A może to Maks po przygodzie z maciorą postanowił znowu zajrzeć do obory? Zajrzała po kolei do wszystkich boksów, a potem zobaczyła otwarte drzwi do pomieszczeń z tyłu. I światło latarki. Hans przeraził się nie na żarty, kiedy zobaczył cień na pobielonej wapnem ścianie: kobieta w chuście na głowie i z krukiem na ramieniu. Na kilka sekund odebrało mu mowę.

Kruk odezwał się „krrra”.

Emma też zobaczyła swój dziwaczny cień i zareagowała odrobinę szybciej niż nieznajomy, mówiąc zaczepnie chrapliwym głosem:

– Chrupu, chrupu, chrupu, chrupki, kto przyszedł do mej chałupki?

Hans gapił się oniemiały. No nie, to chyba jakieś żarty!

– Chodź tu, chłopczyku, żebym cię mogła zabić i zjeść! – odgrywała dalej czarownicę Emma.

Hans doszedł już do siebie i mrugał oczami w słabym świetle:

– Dobra, dobra, mamuśka – powiedział. – Od ciebie nic nie chcę, tylko czegoś szukam.

Nie widział dokładnie jej twarzy, było zbyt ciemno.

– Szukasz Małgosi, tak? Jest już w piecu.

Hans nie zamierzał pozwolić, żeby jakaś starucha robiła z niego głupka. Ruszył w jej stronę. Kruk się przestraszył, rozpostarł czarne skrzydła i poderwał się w powietrze.

Odwróciło to na moment uwagę Hansa, co Emma skrzętnie wykorzystała, łapiąc go sprawnym chwytem za ramię i wykręcając je do tyłu tak wysoko, że Hans zawył z bólu. Nie miał najmniejszych szans. Emma popychała go przed sobą aż do komórki na ziarno siewne i tam go zamknęła. Stąd na pewno nie

ucieknie. Było to miejsce, w którym dorośli od pokoleń zamykali dzieci, kiedy chcieli je ukarać. Emma nienawidziła tej komórki.

– Niech mnie pani stąd natychmiast wypuści! Nic pani nie zrobię! Proszę mnie wypuścić, ale już!

Emma milczała.

– Szukam przyjaciela. Widziałem go dzisiaj nad strumieniem. Ma na imię Maks. Chcę z nim tylko porozmawiać i już mnie nie ma.

Ale Emma wsadziła klucz do kieszeni fartucha i odeszła. Mężczyzna darł się za nią:

– Hej, jak mnie tu pani tak zostawi, to będzie to bezprawne ograniczenie wolności! To porwanie, za to się idzie do więzienia, zapuszczają panią na lata! Niech pani natychmiast otwiera!

Emma udawała, że nie słyszy. Na dworze sama sobie nie mogła się nadziwić. Co ona najlepszego zrobiła? Uwięzić człowieka? Co w nią wstąpiło?

Maks nie mógł słyszeć tych krzyków. Komórka znajdowała się daleko za oborą. Jakże często sama krzyczała w niej jako dziecko i nikt jej nie słyszał.

Co do tego gadania jak czarownica z bajki, to sam ją do tego sprowokował. Zwykły włamywacz, ot co. Henner na pewno to zrozumie, jeśli będzie musiała się tłumaczyć, dlaczego go zamknęła.

A więc przyjaciel Maksa. Chyba że kłamie. A może to wróg?

Wyjęła następne kołdry. Kolejnego materaca już nie miała, wzięła więc worki na kartofle, nieznajomy może je sobie podłożyć. I zaniósła mu butelkę piwa. W końcu nie ma serca z kamienia.

Hans wściekał się i szalał, ale ona nie reagowała, tylko wyszła bez słowa. Nie zdjęła z głowy chusty. Za każdym razem, kiedy będzie do niego wchodziła, założy chustę. Ze względu na tę czarownicę.

Hans siedział w ciemnościach. Czarnych jak smoła.

Okay, powiedział do siebie, a więc przechodzimy do zarządzania kryzysowego.

Priorytet numer jeden: wolność.

Priorytet numer dwa: zemsta. Podpunkt A: na Maksie. Podpunkt B: na tej wariatce.

Priorytet numer trzy: ...pozostał na razie otwarty.

Wracamy do sprawy wolności. Jak? Dagmara.

Sięgnął po omacku i z małego etui, które miał przy pasku, wyjął komórkę. Kiedy ją włączył, rozblysnął wyświetlacz.

Bateria! Wczoraj nie naładował. Błąd.

Czy wystarczy na rozmowę? Może na dwie? Musi się streszczać. No, ale przynajmniej jest zasięg. Dagmara nie odbierała. Lepiej więcej nie próbować ze względu na baterie! Przesunąć na jutro. Noc przespał niespokojnie na swoim byle jakim legowisku.

Kogut piał i piał, że mało nie wyzionął ducha, ale tego ranka Emma za nic nie chciała się obudzić. Dumny podwórkowy oficer stał więc na kupie obornika i był głęboko urażony i zbity z tropu. W ogóle przez ostatnie dni parę rzeczy wymknęło mu się spod kontroli. Kiedy Emma wstała godzinę później, był śmiertelnie obrażony. Tego dnia nie naprzykrzał się już żadnej kurze. Jego harem tak był tym rozsierdzony, że wybuchł spór o to, która z niosek mogła mu zwarzyć humor. Panie były tak zestresowane tymi niesnaskami, że żadna nie zniosła jajka.

Emma nie zwróciła na to uwagi, tego ranka nie miała ochoty ani doić krowy, ani smażyć jajeczniczy. Dla niej liczył się dzisiaj tylko jej występ w trzech aktach.

Akt pierwszy:

Dwie godziny po wschodzie słońca na podwórko zajezdża Henner swoim policyjnym garbusem. Emma wie, że Maks ich obserwuje. Zaprasza Hennera do domu. Przyniósł kupon lotto, na którym Emma pośpiesznie zakreśla liczby od jednego do sześciu i oddaje bez słowa, jakby nagle przestało ją to interesować. Henner nic nie rozumie.

Kiedy Henner żegna się z nią na podwórku, Emma nagle bez żadnego związku kręci przecząco głową. Henner patrzy na nią zdziwiony. Naprawdę coś z nią nie w porządku. Henner wsiada do garbusa i odjeżdża. Kurtyna.

Akt drugi:

Emma w drodze do sauny z tacą śniadaniową pełną surowych jarzyn. Puka, wita się. Z powrotem w drzwiach, odwraca się mimochodem i mówi niewyraźnie:

– Rano była policja. Szukają kogoś, kto miał podobno coś ukraść. Wszędzie blokady na drogach i w ogóle. Zamierzają przeczesać okolicę.

Zgodnie z oczekiwaniem Maks nadstawia uszu.

– Powiedziałam policji, że nie wiem, żeby ktoś się tu kręcił. To chyba dobrze?

Wypowiedzieć kwestię i wyjść, nie czekając na odpowiedź. Kurtyna. Akt trzeci:

Maks przychodzi do niej do ogrodu. Ze spuszczoną głową. Mówi:

– Jestem winien pewne wyjaśnienie.

– Hmm?

– Ten samochód, ukradłem...

– Hmm?

– Ukradłem też dużo pieniędzy, bo gwałtownie ich potrzebowałem. Spaliły się, znaczy pieniądze. W tym samochodzie.

– Ach!

– To mnie szuka policja. Ale spokojnie, nie jestem żadnym przestępcą, jestem całkowicie niegroźny.

– Też tak myślę.

Pauza. Pauza. Nie może sama tego powiedzieć, to musi wyjść od niego.

– Chciałem zapytać – zaczyna mężczyzna, który znalazł się w jej gospodarstwie – czy nie mógłbym tu ewentualnie zostać do czasu, aż powietrze znowu będzie czyste.

– To żaden kłopot.

– Dziękuję, bardzo mi ulżyło. W tej chwili wszystko zniosę, tylko nie pobyt w więzieniu, tylko nie to.

– Rozumiem. A kto by zniósł.

– Raz jeszcze bardzo dziękuję.

– Ależ proszę, proszę.

Ze spuszczoną nadal głową mężczyzna wraca do sauny. Tylko się teraz nie ruszyć, spokojnie przeczekać. Powolutku przejść za róg domu, tam powietrze jest czyste. Kurtyna.

Brawa! Emma tańczy jak szalona z radości. Ma go w garści! W doskonałym humorze wyciągnęła motorower, przepchała go połą drogą w górę, zapuściła silnik, dodała gazu i wystrzeliła przed siebie jak z procy.

Maks słyszał warkot motoru na swojej werandzie. Najpierw się przestraszył, że to ktoś po niego przyjechał. Lękliwie, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki, popatrzył w tamtą stronę i zobaczył Emmę na zúndappie. Nic z tego nie rozumiał. Kobieta pędziła prosto przed siebie, sztywna jakby połknęła kij od szczotki... a potem wróciła powolutku slalomem.

Maks aż podszedł do drogi, żeby lepiej widzieć. Zobaczył, że asfaltowa nawierzchnia zaczyna się gdzieś w środku łąki i kończy jakieś tysiąc metrów dalej przed samym drzewami. Nic z tego nie rozumiał.

Tego ranka o godzinie dziewiątej Hans znowu sięgnął po komórkę. No, nareszcie:

– Salon samochodowy Hansa Hilfingera. Przy telefonie Dagmara Stadtler, dzień dobry.

– Dagmara, słuchaj, mówi Hans.

– O, cześć, Hansi. Co to, nie będziesz dzisiaj w pracy?

– Nie, ja...

– Bo wiesz, chciałam zapytać, czy nie mogłabym trochę wcześniej skończyć, wybieram się ze swoim do kina, wiesz.

– Dagmara, posłuchaj mnie przez chwilę, bo...

– Mamy dzisiaj rocznicę ślubu, wiesz, trzynastą, Boże, jeśli to nie jakiś znak, to...

– DAGMARA, POSŁUCHAJ MNIE TERAZ.

– No przecież słucham, nie? Mów, co się stało? Pip.

– Zaraz mi bateria padnie. Dorwała mnie tu taka jedna czarownica i zamierza mnie upiec. Jej się wydaje...

Pip.

– ...że jestem Jaś. Zamknęła mnie w komórce.

– Aha, czarownica, niezły numer. Aaaa, pewnie sprzedajesz jakiś samochód? Teraz już rozumiem. Chciałabym mieć twoją fantazję.

– Nie, nie, Dagmara, tym razem nie zmyślam. Pip.

– Nie sprzedaję żadnego samochodu! Pip.

– ...Dagmara? Słuchaj, musisz to zgłosić, żeby ktoś mnie stąd uwolnił, to takie chłopskie gospodarstwo na 52 kilometry drogi krajowej na północ.

Dagmara?

Pip.

– DAGMARA?

Połączenie przerwane. Wokół Hansa znowu zapadły ciemności. Czarne jak smoła. Hans uzupełnił punkt „Priorytet numer trzy”: udusić Dagmarę.

Pierwszą rzeczą, jakiej nauczyła się Emma, było mieszanie krwi. Nie czuła obrzydzenia do krwi, nie bała się zabijania. Matka włożyła rączkę Emmy do ciepłej krwi, kiedy Emma była jeszcze malutka. I robiła tak za każdym razem, kiedy zarzynano świnie.

Inne dziewczynki uczyły się szydełkować. Emma brzydziła się szydełkowaniem.

Kiedy Emma miała cztery latka, po raz pierwszy pozwolono jej samej trzymać miskę, do której spływała krew dopiero co zarżniętej świni.

Świnia kwiczała, kiedy przychodzili mężczyźni, krępowali ją i siłą wyciągali na postronkach z chlewu. Wyrywała się, chciała wracać do swoich. Dziadek szedł za nią z naładowanym pistoletem bolcowym w rękę, ojcu wreszcie udawało się ją unieruchomić. Świnia kwiczała ze strachu, kiedy jeden z nich ją przytrzymał, a drugi strzelał w czoło i bolec rozwał jej mózg.

Bolec tylko ogłuszał zwierzę, które wcale nie umierało od tego. Padało na ziemię i wypuszczało kał. Robił się smród.

– Chodź no tu! – wołał ojciec córkę.

Emma musiała podejść z miską tam, gdzie śmierdziało. Trzymała ją przy szyi nieprzytomnego zwierzęcia, które leżało we własnych odchodach.

Ojciec wbijał wielki nóż w szyję świni i otwierał tętnicę. W ten sposób świnia w końcu umierała, wykrwawiając się. Emma oduczyła się obrzydzenia, bać się też nie było małej wolno. Kto nie pracuje, ten nie je. dzielnie trzymała miskę pod dziurą w świńskiej szyi. Przypominała sobie głównie barwy: krew była czerwona, ostatnia świńska kupa brązowa. Skóra świni była różowa i brudna, dopóki zwierzę żyło. Kiedy nie żyło, skóra była biała. Miska miała niebieską emalię w drobniutkie cętki. Do niej właśnie spływała krew,

wypełniając ją po brzegi. Nie płynęła równo, jak z kranu, tylko chlustała rytmicznie, jakby ktoś ją pompował. Emma za każdym razem zadawała sobie pytanie, kiedy świnia jeszcze żyje, a kiedy jest już martwa. W którymś momencie tak było, ale kto wie, kiedy dokładnie?

Strumień krwi zanikał, nic już nie wypływało. Matka stawiała teraz miskę parę metrów dalej na kamiennej podłodze. Ponieważ krew ważyła parę kilo, była za ciężka dla dziecka. Emma podwijała wysoko rękaw na lewej ręce i już bez nakazu matki zanurzała ją głęboko we krwi. Krew była ciepła. Pływało w niej to coś niewidzialnego, dzięki czemu krew krzepła. Zadaniem Emmy było sprawić, by to coś stało się widzialne i można je było wyjąć, żeby krew pozostała płynna. Wlewano ją później do mielonego mięsa i do gotowanych podrobów, które przerabiano na kaszanke.

Emma rozczapierzała małe paluszki i poruszała nimi we krwi tam i z powrotem. Szybko, nie powoli. Do palców zaczynały się lepić drobne strzępy, czepiały się skóry. Kiedy czuła, że jest ich już dosyć, wyjmowała dłoń i strzępywała galaretowate, czerwone strzępki wprost na ziemię. Potem znowu zanurzała dłoń we krwi, potrząsała nią, wyjmowała i strzępywała strzępki. Robiła to tak długo, aż nic już nie przyczepiało się do palców. Była bardzo dumna, że wolno jej pomagać w tej ważnej pracy. W nagrodę dostawała zakrecony ogonek martwej świni. Razem z innymi dzieciakami biegała z nim po wsi. Każde z nich miało od czasu do czasu przyczepiony do spodenek z tyłu taki ogonek. Takie dziecko było wówczas swinią, wszyscy się z nim droczyli, wyszydzały je i gonili. Musiało się ratować ucieczką, żeby nie zostało zakłute nożem. A potem samo mogło się droczyć, szydzić i grozić, kiedy inne dziecko miało świński ogonek i ratowało się ucieczką.

Największa frajda była wtedy, kiedy jakiemuś dziecku udało się niepostrzeżenie przyczepić ogonek dorosłemu. Jeśli taki ktoś znalazł się na

żartach, było wesoło. Jeśli nie, robiło się groźnie, ale i bardzo podniecająco. Raz Emma odważyła się przyczepić świński ogonek dziadkowi. Omal jej nie zabił ze złości. Ale satysfakcja, jaką miała, widząc go paradującego ze świńskim ogonkiem, była warta strachu.

Każde dziecko, które przeszło pomyślnie tę próbę odwagi, dostawało zrobioną specjalnie dla niego kielbasę. W tym celu trzeba było pozwolić przeciągnąć sobie przez usta oczyszczone i wymoczone w soli śliskie jelito świni. Dorosły przykładął jeden koniec takiego jelita do lewego ucha dziecka, przeciągał je wzdłuż policzka i przez otwarte usta do prawego ucha. Tyle ile mierzyła ta odległość, tyle miała też kielbasa dla dziecka. Jelito napełniano mieloną i doprawioną mięsną masą i zawiązywano.

Kiedy ktoś we wsi bił świnie, każde dziecko dostawało od niego swoją własną kielbasę, zrobioną z jelita, które przedtem przeciągano mu przez usta. Te osobiste kielbasy opatrywano imieniem dziecka i suszono na powietrzu razem z dorosłymi kielbasami. Dziecko mogło sobie zjeść swoją kielbasę, kiedy tylko miało na to ochotę.

Maks, który zmęczony kołysał się w hamaku, nie miał o tym wszystkim zielonego pojęcia. Jego myśli krążyły wokół tego, czy znajdzie go policja albo Hans. Czy powrócą bóle i kiedy to się stanie. Przypuszczalnie kiedyś się stanie. Ale jaka to teraz różnica? Póki był żywy i leżał w tym hamaku, wszystko było w najlepszym porządku.

Kogut dumnym krokiem podszedł do sauny, przystanął, obrócił się prawym bokiem do Maksa i mierzył wzrokiem nowego mężczyznę w swojej zagrodzie. Ich spojrzenia się spotkały. Kogut odwrócił się, ustawił lewym bokiem, żeby poobserwować Maksa także lewym okiem.

Następnie pokazał mu szeroką, barwną pierś. Stał wyprostowany, w niemalże wielkopańskiej pozycji, niby na posterunku kontrolnym. Maks miał

wrażenie, jakby kogut pytał go o dokumenty, o zezwolenie na pobyt. Przez długą chwilę obaj patrzyli na siebie w milczeniu. Grzebień koguta napeęczał i wyprężył się. Następnie ptak wstrząsnął piórami i obrażony odszedł. Maks patrzył za nim. Wtedy kogut zatrzymał się raz jeszcze, podniósł na moment barwny ogon i strzyknął kupą w stronę Maksa.

Emma kochała każdą ze swoich świń. Nadawała im imiona, głaskała je codziennie bardzo długo i niezwykle czule. Bawiła się z nimi, tak jak ludzie bawią się z psami. I świnię kochały swoją panią, ufały jej. Od kiedy Emma rządziła w tym gospodarstwie, nie życzyła sobie słyszeć żalosnego kwiku świń w dniu uboju. Każdego roku zmuszona była patrzeć, jak rozpaczliwie świnię próbują się bronić, jak długo żyją w śmiertelnym strachu, kiedy dwóch czy trzech silnych mężczyzn wywleka je na postronkach z chlewu. Nie chciała ich kwiku i nie chciała żadnych mężczyzn, którzy wrzeszczą i szarpia zwierzę. Zarzynała świnię sama.

Przeszła przez podwórko w męskich spodniach, wielkich zielonych gumiakach i w bardzo długim, białym fartuchu gumowym, którego czarne paski były dwukrotnie owinięte wokół jej ciała. Na brzuchu dyndał specjalny rzeźniczy pas ze skórzanym futerałem na noże i ostrzałką.

Emma mlasnęła cicho językiem i świnię grzecznie podreptała za nią.

Maks podszedł trochę bliżej, zatrzymał się nad strumieniem pod wierzbą płaczącą i patrzył w ich stronę. Domyślał się, co się stanie, i lękał się tego zarazem. Widział przecież wielokrążek, wielką drewnianą wannę i drugą mniejszą, a obok wiadra i emaliowane miski. Rzeźniczy topór. Z pomieszczenia ubojowego wydobywał) się kłęby pary.

Emma usiadła na kamiennych bazaltowych płytach pod wielokrążkiem. Świnię stała obok. Emma pogłaskała zwierzę po głowie, po długim grzbiecie. Powtarzała to w nieskończoność. Głaskała mocnymi, zdecydowanymi ruchami,

klepała, przemawiała. Maks nie mógł zrozumieć słów. Podszedł jeszcze parę kroków bliżej, żeby lepiej widzieć całą scenę. Świnia położyła się na ziemi przy Emmie, jak pies. Emma ostrożnie obwiązała tylne nogi zwierzęcia skórzanym rzemieniem, który przymocowała do stalowego haka wmurowanego w posadzkę.

Prawą ręką ujęła mocno przednie nogi zwierzęcia, nadal do niego przemawiała, a potem pocałowała w czoło w tym miejscu, w które mężczyźni wstrzeliwali zwierzęciu bolec w mózg.

Maks odważył się podejść jeszcze bliżej. Miał poczucie, że powinien jej pomóc. Ale jak? Co ona chce zrobić? Przecież nie da rady sama!

Świnia nadal spokojnie leżała, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Przemawiając czule do zwierzęcia, Emma delikatnie przewróciła je na grzbiet. Teraz wszystko poszło już szybko: Emma wyciągnęła długi, ostry nóż i bez chwili wahania, jednym precyzyjnym ruchem poderznęła zwierzęciu gardło. Trysnęła krew, zwierzę nadal leżało bez ruchu, ale Emma mocno trzymała je za przednie nogi. Zaczęła głośno liczyć:

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem.

Oddech zwierzęcia spowolniał, stał się płytki. Krew tryskała rytmicznie z rany na kamienie i płynęła dalej. Zwierzę patrzyło na Emmę wielkimi ze zdziwienia oczami. Teraz już się poruszyło, zaczęły się skurcze mięśni.

Maks znalazł się tuż za Emmą i słyszał, jak cichym głosem czule przemawia do zwierzęcia:

– Moja kochana świnko, moja ty siostrzyczko. Dziękuję ci, że ze mną byłaś, bardzo, bardzo cię kochałam. Widzisz, wcale nie bolało. Przecież ci obiecywałam, że nie będzie bolało. Do zobaczenia, świnko. Do zobaczenia.

Strumień krwi zanikał coraz bardziej, spokojnie i powoli zwierzę oddawało życie, objęte mocnym ramieniem Emmy.

Maks przyglądał się temu jak skamieniały, dygocząc na całym ciele. Emma wstała wyczerpana i poszła do miski napełnionej ciepłą wodą. Obmyła ręce. Zmyła krew. Obmyła też nóż i odłożyła na bok. Wytarła ręce, połała wodą zakrwawiony fartuch, wzięła wąż i splukała posadzkę. Martwe zwierzę leżało bez ruchu z ziejącą na szyi raną.

– Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem – wyszeptał Maks.

Tak naprawdę chciał powiedzieć, że jeszcze nigdy nie widział tak silnej kobiety, jak Emma. Nigdy.

W milczeniu poszła do ogrodu i zerwała jabłko. Wyjęła nóż, ustawiła go na wysokości piersi Maksa, ostrzem do góry. Upuściła jabłko na nóż – owoc spadł na ziemię rozcięty gładko na dwie połówki.

– Nie wolno naciskać noża. Musi sam z łatwością przejść przez szyję. Ciekawi cię, czemu to robię w ten sposób?

Maks skinął głową.

– Najgorszy dla zwierząt jest strach przed śmiercią, nie sama śmierć.

– Śmierć nie jest straszna? – spytał Maks.

– Nie jest, jeśli się je mocno obejmuje. Nie jest, jeśli szybko i prawidłowo poderżnie się im gardło. Taka śmierć jest jak naturalna śmierć w przyrodzie. Na przykład, kiedy wilk porywa owcę. Organizm umierającego zwierzęcia wydziela wtedy hormony, które działają jak narkotyk. Są tak silne jak morfina i zwierzę umiera bez bólu.

– Kto tak mówi?

– Brodziarz mi opowiadał. Taki pustelnik, który tu dawniej mieszkał. Sam nie jadał mięsa, ale wszystko mi wyjaśnił.

– A przedtem? Co ze strachem?

– Moje świnie mnie znają. Nie przeczuwają nic złego, idą za mną, mają zaufanie. To właśnie wykorzystuję.

– Wykorzystujesz to, tak? One ci ufają, a ty je zabijasz!

– Świnie żyją u mnie po to, żeby zostać zabite. Żyją wspaniale, żeby mogły umrzeć zdrowe i zamienić się w kielbasy. Żyją bez żadnych trosk, a ja zapewniam im również szczęśliwą śmierć.

– Jaka śmierć może być szczęśliwa?

Emma podniosła oczy na Maksa, uchwyciła jego spojrzenie i przytrzymała go wzrokiem, powiedziała:

– Śmierć z mojej ręki.

Maks popatrzył znowu na martwą świnie i milczał przez chwilę.

– Właściwie powinienem zaoferować teraz moją pomoc, ale nie dam rady. Nie dam teraz rady.

– Wiem. Zrobię wszystko sama, jak zawsze.

– Czy mogę się przyglądać?

– Jak chcesz.

Maks poczuł miękkość w kolanach i przysiadł na małych kamiennych schodkach przed jej domem. Było mu niedobrze, w brzuchu czuł skurcze. Nie wiedział, czy to z powodu choroby, czy od tego krwawego umierania, któremu przed chwilą się przyglądał.

Przybiegły dzieciaki piekarskiej i chłopca od kartofli. Emma odcięła kręcony ogonek świnie i dała im. Dzieciaki biegały z nim po całym podwórku.

Na ten widok Maksa ogarnęła wielka żalność. Jako dziecko nigdy tak nieskrępowanie nie wrzeszczał i nie pokrzykiwał. Najczęściej przebywał sam z rodzicami. Byli cudownie troskliwi, ale nigdy nie darli się razem z nim z radości, nie pokrzykiwali ze szczęścia. Rodzicom Maksa wyszarpano radość z duszy, kiedy byli dziećmi. Ich dziecinne radosne okrzyki zginęły pod gradem bomb. Głód i chłód w latach powojennych udręczyły dusze. Byli dla niego

wspaniałymi rodzicami, do czasu, aż wydorował. Wtedy nie mieli już więcej siły i po prostu odeszli, tak po prostu. Razem.

Maks się rozplakał. Po raz kolejny! Skąd tyle łez? Nie chciał, żeby widziała, jak płacze, wstał i poszedł na pola, mijając dojrzałe zboża.

Przez te godziny spędzone w zagrodzie Emmy żył i odczuwał intensywniej niż przez całe swoje wcześniejsze życie. Na skraju pola rosły czerwone maki, bławatki i trawy. Pięknie pachniało, a jego rozgrzewało słońce. Dłonią przesuwiał po kłosach.

Brodziarz nosił tylko niefarbowaną, tkaną przez siebie lnianą odzież i pozwalał rosnąć włosom i brodzie, na jaką długość chciały. Stąd jego przezwisko.

Swoją chatę zbudował nad płynącą wodą, ponieważ potrzebował mieć pod stopami nurt. Emma była jeszcze wtedy za młoda, żeby to wszystko pojąć, ale Brodziarz strasznie ją ciekawił, bo był całkiem inny niż wszyscy.

Chodził po polach i zrywał, co tam rosło na drzewach i krzakach. Wchodził także do ogrodów mieszkańców wioski i brał sobie, czego potrzebował do zjedzenia. Jeśli ktoś próbował mu zabronić, powiadał: „Przypatrzcie się ptakom podniebnym: nie sieją ani żną i nie zbierają do spichrzów, a Ojciec wasz niebieski je żywi”. Wyjadanie cudzego nie było dla niego przestępstwem.

Czasami Brodziarz przychodził do gospodarstwa rodziców Emmy narąbać drewna. Jako zapłatę otrzymywał ser camembert, który matka Emmy musiała specjalnie dla niego kupować. Dwa całe pudełka! Kiedy robił sobie przerwę w pracy, odpakowywał je i zjadał ser bez chleba. Emma siedziała na kasztanie i patrzyła na niego wielkimi oczami. Było to coś nadzwyczajnego, bo w ich domu nigdy nie jadło się sera, nie mówiąc już o tym, żeby jeść go bez

chleba. Tylko Brodziarz robił coś takiego. Oczywiście nie pił też piwa ani wody gazowanej. Tylko czystą ze źródła.

Pewnego dnia przyszedł ktoś z jakiegoś urzędu i zakazał mu mieszkania w chacie nad nurtem wody, bo podobno było to wbrew jakimś przepisom. Sprawa ciągnęła się i ciągnęła. Brodziarz za nic nie chciał ustąpić. Wtedy przyjechał wujek Karl ze swoim strażackim dźwigiem, żeby przestawić chatę. Wszyscy przyszli się gapić.

Brodziarz został w chacie, kiedy dźwig unosił ją w górę. Ktoś twierdził, że słyszy, jak Brodziarz śpiewa. Ktoś inny, jak się modli. Jeszcze inny, jak płacze. Chata została odstawiona tylko 50 metrów od wody. Brodziarz mógłby tam mieszkać, bo chata była nienaruszona. Ale od tej chwili Brodziarz nie przychodził już rąbać drewna, nie kradł owoców i nie zjadał camemberta. I parę tygodni później umarł. Ludzie powiadali, że życie z niego uciekło, bo nie miał już pod sobą płynącej wody. Wujek Karl robił sobie wyrzuty.

– Żadnej krwi – pouczał Brodziarz Emmę. – Krew musi wrócić do ziemi, musi w nią wsiąknąć. Nie wolno jej pić, nie wolno jej jeść. Żadnej krwi.

Pewnego gorącego lata, będąc jeszcze dzieckiem, Emma spadła ze schodów prosto w krzaki róż, kiedy Brodziarz akurat przyszedł rąbać drewno. Płakała, krwawiła. Nikt się nią nie zajął, wszyscy byli w polu. Przyszedł do niej Brodziarz.

W jej małej rączce tkwiło kilka kolców, które starał się usunąć, podczas gdy ona, siedząc mu na kolanach, szarpała się i płakała z bólu.

Brodziarz zwilżył jej dłoń śliną, żeby rozmiękczyć miejsca, gdzie wbiły się kolce, przyłożył do nich swoje grube wargi. Czują ciepło. Brodziarz nie odzywał się ani słowem. Ale kiedy oblizywał jej dłoń, usuwając kolce róż, przyjrzał się dokładniej układowi linii na jej dłoni, które były niemal identyczne, jak na jego dłoni. Jego linia życia i jej linia życia, jego i jej linia

serca, jego i jej linia losu, jego i jej pagórki, zagłębienia i zmarszczki, kręgi i wstęgi. Jego linie stare i wyraziste, jej młode. Ale jakże zdumiewająco podobne!

Po raz pierwszy popatrzył wtedy małej w oczy. Dopiero co przed chwilą była dla niego pozbawioną imienia wiejską dziewczynką. Teraz zwrócił się do niej:

– Jak masz na imię?

Emma milczała.

– Ile masz lat?

– Chodzisz już do szkoły?

Emma skinęła głową nieśmiało.

– I coś czasem mówisz?

– Jakie jest twoje ulubione słowo?

– Słowo.

Wtedy Brodziarz się roześmiał. Wciąż trzymał jej dłoń. Kolców już nie było, mała przestała płakać. – Jesteśmy tacy sami.

Położył jej dłoń obok swojej i pokazał jej linie i pagórki, wstęgi i wybrzuszenia. Emma słyszała od niego słowa, których nie słyszała nigdy dotąd. Już samo brzmienie głosu było inne. Nikt jeszcze nigdy tak z nią nie rozmawiał, zawsze słyszała tylko: „Zrób to”, „Nie rób tego”, „Stul pysk” albo „Nie teraz”.

Z ust Brodziarza padały tysiące słów, miękkich, miłych, smutnych. No i miał książki.

Spotkała w nich słowa takie jak „ciemny”, „księżyc”, „zwierzęta”, „huśtawka”, „dzieci” i mnóstwo nazw. Nigdy niesłyszanych, nigdy niewidzianych. Gdzie są te wszystkie dzieci? Czy one tu przyjdą? Nie. A gdzie

są? W brzuchu? Nie, tam daleko. Za górami, za miastem. Tam dalej jest świat. Emma nie chciała mu uwierzyć.

A któregoś razu Emma była w jednej z jego książek. Przeczytał jej o Emmie.

Płonęła ze szczęścia, z dumy. Skoro jest w książce, to znaczy, że jest dwa razy. Jedna Emma jest w zagrodzie, ale ta druga, z książki, jest zupełnie gdzie indziej!

Brodziarz napisał wierszyk o Emmie i Emma promieniała szczęściem. Zawisała spojrzeniem na jego ustach, kiedy czytał. Jej własne słowa pojawiły się zaraz potem. Z dzieciaka siedzącego na drzewie, którego uważał za niemego, zrobiło się mówiące dziecko.

Emma mówiła jak on. Była dziecięciem jego świata, przeznaczoną mu przez los córką. Każdego dnia przyglądał się jej dłoniom, nie przestając się dziwić. Jej dłonie były mocne, umięśnione. Kłęb kciuka wykształcony, wybrzuszenie zewnętrznej krawędzi dłoni zachodziło niemalże na staw nadgarstka. Kciuk i palec wskazujący niezwykle mocne.

– Jesteś bardzo silna. Kiedyś będziesz robić coś bardzo ważnego, nie tylko myśleć.

Jej linia życia rozdzielała się, z czego wywnioskował:

– Ty też odejdziesz pewnego dnia. Gdzieś daleko. I na zawsze. Tak samo, jak ja.

I tak Emma wyrodziła się spośród swoich. Mówiła inaczej, myślała inaczej. Czytała.

Kiedy Brodziarz umarł, Emmie odebrało mowę. Od tego czasu wszelki brud był jej bliski jak najlepszy przyjaciel, a kamienie wносиły lekkość do jej życia. Zwierzęta do niej przemawiały, a rośliny rosły i kwitły na wyścigi tylko dla niej.

Emma wcisnęła ostrze szpiczastego noża między ścięgno i kość tylnych nóg świni i zrobiła w ten sposób dwa otwory, przez które przepchnęła krępulec. Przypominał on wieszak na ubrania, tylko o wiele grubszy i większy, a na końcach miał metalowe haki. Z pomocą wielokrażka mogła na nich podciągnąć świnię w górę, a potem zawiesić. Zreżnie nakierowała ciężkie ciało na drewnianą wannę i tam złożyła.

Sparzyła skórę świni wrzątkiem, potem wyszorowała rozmiękczoną skórę szczotkami i zeskrobała jej wierzchnią warstwę. W tym celu posługiwała się specjalnym metalowym, bardzo ostrym skrobakiem, który nazywano dzwonkiem. Wyglądało to jak golenie z całej siły szczeciniastego zarostu olbrzyma. Śmierdziało martwą skórą, wrzątek potęgował jeszcze ten smród. Nawet jeśli biło się świnię co tydzień, tak jak Emma, to i tak za każdym razem śmierdziało równie przeraźliwie. Na koniec musiała oskrobać brzuch zwierzęcia, zdzierając sutki, i za każdym razem sama odczuwała przy tym ból. Jeszcze w dzieciństwie najgorszy był dla niej moment, kiedy mężczyźni zdierali świńskie sutki. Przyciskała wtedy dłonie do swoich własnych cycuszków, jakby chciała je ochronić. Bała się, że któregoś dnia i ją oskrobiają na płasko.

Na zakończenie hakiem, znajdującym się na cieńszym końcu dzwonka wyrywała racice. Kiedy zwierzę było już całkiem gładkie i czyste, podciągała tłuste ciało za pomocą wielokrażka i wieszala za krępulec na szerokiej drabinie, głową do dołu i brzuchem do przodu. Co chwila oparzała zwierzę wrzątkiem. W końcu poczekała aż całkiem obcieknie.

Kiedy zakończyła tę część pracy, usiadła osłabiona z wyczerpania na brzegu drewnianej wanny i oddychała ciężko. W wannie stała brudna woda pełna szczeciny i strzępów skóry. Była to brudna robota, męska robota. Taka, która mogłaby wyczerpać nawet dwóch mężczyzn.

Maks przyniósł jej schłodzone piwo. Sam też pozwolił sobie na jedno. Chętnie przysiadłby się do niej, ale panujący smród był dla niego tysiąc razy bardziej obrzydliwy niż dla niej. Zawartość wanny zrobiła na nim wrażenie zupy z trupa. Poprosił Emmę, żeby usiadła z nim na kamiennych schodkach.

Tam stuknęli się butelkami. Emma była zdumiona. A więc jednak Maks odważył się wejść do kuchni, otworzyć lodówkę. Niby mimochodem spytała:

– A właściwie to dlaczego okradłeś przyjaciela?

– Był pewien powód, ale nie potrafię o tym mówić. Przedwczoraj wydawało mi się, że koniecznie potrzebuję tych pieniędzy.

– A teraz?

– Teraz już nie.

– Dlaczego?

– Chciałem mieć swój hamak w najpiękniejszym miejscu na świecie. I już mam.

Uśmiechnął się, wyciągając rękę z butelką w stronę domku kąpielowego.

– To ma być najpiękniejsze miejsce na świecie? – zdumiała się Emma, która знаła tylko to jedno miejsce.

– Och.

Maks tylko w taki sposób odpowiedział na jej pytanie.

– Czyli, że już nie potrzebujesz tych pieniędzy?

– Nie. Ale mój przyjaciel potrzebuje. Chętnie bym mu je oddał, ale się spaliły.

Emma przytaknęła.

Bo ona ich potrzebowała, żeby zachować to jedyne miejsce na świecie, jakie miała, obojętne, czy jest najpiękniejsze, czy nie. Musiała je zachować.

Butelka piwa była pusta i Emma wróciła do pracy.

Maks przyglądał się, jak obcina łeb świni, a potem krótkim energicznym cięciem otwiera brzuch, na początek od odbytu do pierwszych sutków. Nie mogła ciąć za daleko, bo wtedy cała zawartość jamy brzusznej wypadłaby naraz, uderzając z plaskiem o brudną podłogę.

Emma ciałem przycisnęła do brzucha świni wanienkę. Jedną ręką odcięła jelita, drugą próbowała wyciągać najpierw jelito grube, potem cienkie. Wycinała i aż się zachwiała, utrzymując wanienkę w równowadze samym brzuchem. Ta praca była zdecydowanie za ciężka dla jednej tylko osoby.

Po raz drugi Maks zobaczył, jak Emma traci równowagę, i wreszcie pośpieszył jej z pomocą. Przytrzymał wanienkę obiema rękami, żeby jelita mogły do niej spokojnie trafić. Wspólnie odciągnęli potem wanienkę na bok. Leżało w niej kilka metrów jelit wypełnionych kałem.

– Dziękuję – powiedziała Emma.

Maksowi zrobiło się niedobrze, poczuł kwaśną, piekącą treść podchodzącą mu do gardła. Szybko wyszedł na dwór i wrócił na swoje schodki.

Małą siekierką Emma rozrąbała mostek świni, ostrożnie wyjęła płuca i włożyła do wody. Wyjmowała w ten sposób po kolei wszystkie narządy wewnętrzne. Maks przyglądał się temu uważnie. W końcu przemógł się i zainteresowany podszedł bliżej. Najpierw zatykał sobie nos, ale nawet zdecydował się zajrzeć do otwartego wnętrza ciała. Kazał sobie wszystko pokazywać i objaśniać: jak wygląda żołądek, nerki, śledziona, wątroba, woreczek żółciowy.

– A gdzie trzustka? – spytał.

– Yyy – zaczęła niepewnie Emma. – Muszę najpierw poszukać, ona jest chyba gdzieś za żołądkiem. A może bardziej koło śledziony? Jest bardzo mała, wygląda jak spłaszczona gruszka, wiesz? O, to chyba to. Tak mi się zdaje.

Maks widział tylko jakąś tkanę.

– A czemu interesuje cię akurat trzustka?

– Och.

Emma się uśmiechnęła. To chyba takie jego dziwactwo. Gdy mówi „och”, ma to oznaczać, że nic nie powie.

Teraz wycięła serce, znajdujące się po lewej stronie ciała. Było jeszcze ciepłe. Żyłki i tętnice odstawały na wszystkie strony, skapnęło jeszcze trochę krwi.

Emma wyciągnęła serce w stronę Maksa. Zafascynowany, obejrzał ten sprężysty, czerwony narząd. Czegoś takiego nigdy jeszcze nie widział. Emma wyjaśniła mu wszystkie wchodzące i wychodzące rurki. Rozcięła serce, pokazała zastawki, komory, sam mięsień sercowy.

– Ono jest jak ludzkie serce, nasze wygląda dokładnie tak samo. I na wielkość też podobne. Jak zaciśnięta pięść, z kciukiem w środku. Mniej więcej takie duże jest nasze serce.

Ścisnęła w pięść swoją prawą, zakrwawioną dłoń. Maks zrobił to samo ze swoją lewą dłonią.

– Naprawdę? To jest wielkość mojego serca? Rzeczywiście taka?

– No pewnie. Moje jest mniejsze od twojego.

Wyciągnęła krwawe, ciepłe jeszcze serce w jego stronę.

– Potrzy masz na moment? Maks gwałtownie pokręcił głową.

Emma zaskoczyła go, wtykając palec wskazujący głęboko w świńskie serce, z jeszcze wilgotną krwią. Uśmiechnęła się do Maksa i maznęła mu krwią po koszuli, tam, gdzie miał serce. Pobrudziła go! Spojrzał na nią z przerażeniem w oczach, ale ona zdążyła się już odwrócić i odłożyć serce do miski z innymi narządami. Maks był pobudzony krwią i uśmiechał się.

Emma wyjęła wszystko ze świni, dokładnie oczyściła wszystkie narządy i opróżniła bardzo dokładnie jelita i pęcherz. Myła poszczególne części jak sztuki odzieży, szorowała je od środka i od zewnątrz. Potem włożyła jelita do soli i odstawiła je pod przykryciem do chłodnej izby.

Czuła się zupełnie jak na teatralnej scenie, podobało jej się, kiedy widz wstrząsał się z obrzydzenia albo się zdumiewał, co też ona potrafi, co wie, co robi. Prowokacyjnie odwróciła się w jego stronę, nadmuchując świński pęcherz jak balon, i zawiązując go.

– Bueeee – powiedział, tak jak się spodziewała, i spytał żartobliwie: – Piłka nożna? Piłka ręczna? W co się zmieni w następnym życiu?

– W salceson – zaśmiała się. – W tym się robi salceson.

I rozgadała się, paplając, jak to weterynarz ostatnio był na operacji w mieście, miał przeszczep pęcherza.

– I wiesz, od kogo ten pęcherz? Właśnie od świni! Weterynarz ze świńskim pęcherzem moczowym.

Emmę strasznie to rozśmieszyło. Wciąż chichocząc, rozrąbała opróżnioną świńską tuszę toporem na dwie połowy wzdłuż kręgosłupa, przez kości.

Drugie piwo dodało Maksowi jeszcze więcej odwagi. Wziął od Emmy ciężki topór i sam rąbał dalej. Z początku z ociąganiem, potem coraz mocniej i dokładnie w ślad poprzedniego uderzenia.

Emma pochwaliła jego siłę. Maks wiedział, że kłamie. Po kilku uderzeniach wrócił wyczerpany do swojej sauny. Ale jednak pomógł w świniobiciu!

Kiedy Maks sobie poszedł, Emma zakradła się do przegrody knura i wyjęła ze słomy reklamówkę z pieniędzmi, obejrzała banknoty i przeliczyła pobieżnie. Upchała je z powrotem w reklamówce, przebiegła z nią przez

podwórko do pomieszczenia ubojowego. Ukryła ją w maszynie do mielenia mięsa.

Jeden dolarowy banknot został w słomie. Leżał zapomniany za korytem, prawie niewidoczny.

Hans szarpał i kopał deski komórki, ale drewno było za mocne. Szukał wśród worków z ziarnem, które tam stały, jakiegoś narzędzia czy drąga, żeby wyważyć drzwi, ale nie znalazł niczego, co mogło się nadać. Nie miał szans się wydostać, pozostało mu tylko wykorzystać właściwy moment, żeby jakoś obezwładnić tę kobietę. Tak więc czekał na Emmę. Rankiem miał nadzieję na jakieś śniadanie, koło południa dopadły go pierwsze wątpliwości, czy ona w ogóle jeszcze się pojawi, po południu ogarnęło go przerażenie, że przyjdzie mu tutaj umrzeć z głodu i pragnienia. Wyglądało na to, że albo o nim zapomniała, albo specjalnie chce go przetrzymać.

Przez całe życie Hans uważał się za człowieka, który potrafi znaleźć rozwiązanie dla każdego problemu. Człowieka, który w sytuacjach stresowych osiąga najwyższą formę. Za nic nie chciał sobie pozwolić na rozpacz, chociaż w tym zamknięciu wpadł w taką panikę, że tak jak zaczął od przekleństw i wrzasków, tak skończył na płaczu.

Hans i Maks podzielili się atutami i słabościami jak stare małżeństwo: jeśli jedno coś potrafiło, to drugie nawet nie próbowało się do tego zabierać. I tak Maks ciągle się czegoś bał, Hans nigdy. Maks się wahał, Hans działał. Maks nigdy nie miał przez to okazji do ryzyka, podczas gdy Hans nie pozwalał sobie na żadne troski czy wątpliwości.

Kiedy Hans usłyszał kroki kobiety, zdecydował, że w żadnym razie nie może pokazać po sobie strachu. Postanowił zachowywać się z równą zręcznością, jak w trakcie nierokującej powodzenia rozmowy z arcytrudnym klientem. Wreszcie udało mu się wrócić do dawnej formy. Ustalił nowy

priorytet: fraternizacja, spoufalenie się. Tak właśnie podejdzie do sprawy. Takim siebie zna. Tylko się nie rozklejać!

Emma znowu obwiązała głowę chustą od matki Hennera i nasunęła ją na czoło. Przyszła do ciemnego więzienia Hansa z lampą naftową i koszem pełnym piwa, kielbas, świeżego chleba i kwaszonych ogórków.

Wyglądało na to, że jest dobrej myśli.

– Dzień dobry – powiedział, siląc się na wesoły ton, chociaż w środku wszystko w nim dygotało.

– Trochę późno przyszedłam, przepraszam – zaskrzeczała Emma w odpowiedzi.

Co tu zrobić z tym facetem?

– Ma pani piękne gospodarstwo, szanowna pani.

Emma nie miała ochoty na kontynuowanie idiotycznej zabawy w czarownicę.

– Doskonale rozumiem, że wczoraj mogła się mnie pani przestraszyć. W końcu zachowałem się jak włamywacz. Miała pani absolutną słuszość, zamykając mnie tutaj.

Wsunęła mu jedzenie pod prętami boksu i zostawiła zapaloną lampę.

– Bardzo proszę przekazać Maksowi, że nie musi się mnie obawiać. Nie mam do niego żalu.

A więc on wie, że Maks tu jest, u niej. Tylko skąd? A jeśli ona stąd natychmiast nie wyjdzie, to zaraz go wypuści, taki jest uprzejmy. Tylko najpierw musi się zastanowić. Bez słowa wyszła z komórki.

Musiał go widzieć nad strumieniem, już wczoraj o tym wspominał. A więc go obserwował z jakiegoś miejsca. Potajemnie, z lasu. I to ma być przyjaciel?

Emma zdecydowała, że na razie go jednak nie wypuści.

Hans natomiast podsumował na swój użytek:

Nie mówiła już bezładnie. To dobrze.

Miał co jeść i co pić. To dobrze.

Żeby się nie załamać, musi sobie znaleźć jakieś zajęcie. Zobaczył pająka, który przeszedł mu drogę. To dobrze.

Wieczorem pierwszego dnia świniobicia Emma przygotowała w kuchni „weckewerk”. Tak się nazywał ten regionalny przysmak. Żaden Niemiec ze Szwabii, żaden hanzeata ani Saksończyk nie byłoby w stanie go strawić. W tym celu w wielkiej patelni topi się gigantyczne ilości sadła z brzucha i od nerek świni, podsmaża cebulkę i słoninę, używa się też kwaśnej śmietany. Dodatkiem mogą być domowej roboty kopytka ziemniaczane.

Maks czuł się wypoczęty, znowu chciał się na coś przydać. Podobało mu się dzielenie świni rzeźniczym toporem. Podobną siekierę znalazł przy pieńku do rąbania drewna. Ujął ją w obie dłonie, zamachnął się, opuścił; była to ciężka siekiera, niezwykle ostre narzędzie.

Maks kładł na pieńku pocięte odpowiednio polana i rąbał. Początkowo nie trafiał w drewno albo uderzał za lekko. Sił wystarczyło mu zaledwie na trzy, cztery próby, potem musiał odpoczywać. Im dłużej jednak ćwiczył, tym częściej mu się udawało i w końcu rzeczywiście narąbał drewna. Zniósł szczapy do sauny i ułożył pod ścianą.

Potem zabrał się do motoroweru Emmy. Ale się ucieszy, pomyślał.

Było już ciemno, weterynarz ze świńskim pęcherzem zdążył zbadać mięso i przybić pieczętkę, kiedy Emma po ciężkim dniu pracy wyciągnęła motorower i zaczęła go pchać pod górę na swoją drogę. Tęsknie dodała gazu, żeby silnik się rozgrzał. Późno się do tego zabrała, we wsi wcześniej chodziło się spać. Mieszkańców obudził warkot silnika, siadali wyprostowani na łóżkach, zadając sobie pytanie:

– Teraz? Po nocy? Dlaczego nagle po nocy?

Chłop od kartofli wciągnął rękę do swojej grubej Berty:

– No, wróbelku, jak to z nami będzie?

– Chyba masz nie po kolei w głowie! – warknęła w odpowiedzi żona. – Przecież dzisiaj nie sobota!

Emma przyśpieszyła. Nic. Pochyliła się do przodu, wyciągnęła rękę, usztywniła plecy. Nic. Dotarła do jodeł, zawróciła. Znowu dodała gazu. Nic się nie działo.

Czy dlatego nie czuje wibracji, że w jej zagrodzie jest mężczyzna, czy też dlatego, że motorower się zepsuł? Zdecydowała się na jeszcze kilka testowych przejazdów, jeździła tam i z powrotem, w końcu zrezygnowała.

Henner pomyślał, że jeden przejazd Emmie już nie wystarcza. Tak jak u nałogowca, który od czasu do czasu musi zwiększać dawkę. Martwił się o Emmę, bardzo się martwił. Chyba nadszedł czas, by coś się stało. Najwyższy czas. Henner wstał, w środku nocy. I napuścił wody do wanny. W drzwiach do łazienki pojawiła się jego matka z potarganymi włosami, zapaliła papierosa i spytała:

– To dziś sobota?

Henner milczał, nie miał ochoty czegokolwiek jej wyjaśniać.

Piekarzowa leżała, nie mogąc zmrużyć oka i domyśliła się, że Emma nie doznaje już na motorowerze zaspokojenia. Ta myśl spłynęła na nią jak balsam.

Z zachwytu, że sama jest mężatką, jak pan Bóg przykazał, odwróciła się do piekarza i przystąpiła do płodzenia czwartego dziecka.

Emma zirytowana przypchała zúndappa z powrotem na podwórko, z wściekłością kopnęła plastikowe wiadro, które znalazło się na jej drodze i trafiła nim w Maksa. Maks stał akurat na podwórku i spytał ją, czy teraz lepiej.

– Co lepiej? – warknęła.

– Naprawilem motorower, bo strasznie wibrował.

Nawet po ciemku Max zobaczył, że Emma o mało się nie zagotowała z wściekłości. Zaczęła krzyczeć histerycznie, wygrażać mu pięścią, zupełnie, jakby chciała go pobić:

– Jak mi natychmiast nie zrobisz, tak jak było, to popamiętasz!

Po czym odeszła sapiąc, z wściekłości.

Maks zniknął w swojej saunie, kręcąc z niedowierzaniem głową. Spodziewał się podziękowań, ale ta kobieta zawsze reagowała całkiem odwrotnie.

Emma zrobiła to, do czego popycha kobiety niezaspokojona namiętność: pochłonęła porcję weckewerka o wartości mniej więcej czterech tysięcy kalorii. Przyniosło to niewielką ulgę. Hansowi też trochę dała. Rzucił się na jedzenie zachłannie:

– To ma więcej cholesterolu niż tona jajeczniczy, ale, niestety, jest bardzo smaczne.

– Co to były za pieniądze, które ukradł Maks?

Hans zwrócił uwagę, że nie zapytała, ile pieniędzy ukradł Maks, tylko, co to za pieniądze. A więc musi coś wiedzieć.

– Dolary, amerykańskie.

– A ile to jest dolar na euro?

– W tej chwili? Mniej więcej tyle samo, co euro.

– Gdzie to się wymienia?

A więc ma pieniądze!

– W banku. Ale tych pieniędzy, które ma Maks, lepiej nie wymieniać. Bo one zostały ukradzione z banku. I są zarejestrowane. Każdy banknot.

Było to wierutne kłamstwo. W rzeczywistości pieniądze pochodziły ze sprzedaży futer, które przemycał Białorusin.

– Co to znaczy „zarejestrowane”?

Ma pieniądze! Na pewno!

– Wszystkie banki znają numery tych banknotów. Każdy, kto pójdzie je wymienić, zostanie aresztowany, bo jest w posiadaniu kradzionej rzeczy. I zacznie się wypytywanie.

– Ojej! To co można zrobić?

– Ja bym dał komuś, kto się na tym zna. Taki ktoś wie, jak sobie poradzić. Mógłbym od niego dostać może ze trzydzieści centów za dolara.

– Tak mało?

– Cóż, tak to, niestety, jest. Ale przynajmniej nie idzie się do aresztu.

Emma była zmęczona.

– To dobranoc.

– Dobranoc. Już pani wie, że mam na imię Hans.

A pani?

– Emma.

– Dobranoc, Emmo.

– Dobranoc, Hans.

Drugi etap fraternizacji zakończony powodzeniem. Wolność w zasięgu, zachować spokój. Czas spędzony w niewoli wypełniał sobie tresowaniem pająka. Do jutra powinien już umieć skakać przez płonące koło.

Emma była potwornie zmęczona, kiedy na podwórko zajechał Henner, tym razem w misji cywilnej. Miał na sobie garnitur od konfirmacji, który wyjmował z szafy także na pogrzeby. Już w wieku czternastu lat był tak samo mały i gruby, jak dziś. Na wysokości brzucha trzymał kilka astrów ze swojego przydomowego ogródka i po raz kolejny oświadczył się Emmie, wypowiadając zręcznie ułożoną formułkę:

– Skoro motorower już nie pomaga, skoro i tak jesteś taka samotna, a ja i tak znam cię od zawsze.

Emma nie mogła już tego słuchać, po prostu nie mogła:

– Henner, jesteś moim najlepszym przyjacielem. I niech tak zostanie.

– Ale teraz, kiedy mają ci zlicytować gospodarstwo?

– Zarznię pierwszego, który wyciągnie po niego rękę. Przecież wiesz o tym, Henner.

– Twoje żarty nie są już śmieszne, Emmo.

Wzięła od niego astry.

– Dziękuję ci, Henner. Za wszystko. Jesteś swój chłop.

– Jak sobie chcesz...

– Mam weckewerka, chcesz trochę?

Wioskowy policjant usiadł w kuchni i żarłocznie pochłaniał jedzenie.

– Że też musisz bić te świnię sama, tak bez nikogo! Czemu sobie nie weźmiesz kogoś do pomocy, jakiegoś Polaka.

– Nikogo nie potrzebuję.

– Wiesz, że tak nie wolno, jak ty to robisz, znaczy nożem przez gardło i w ogóle.

Emma zabrała mu sprzed nosa talerz z weckewerkiem.

– A ty co, Henner, protokół będziesz mi tu spisywał, czy jak? Jak tak, to muszę sprzątnąć ze stołu, bo inaczej papiery się zatłuszczą.

– Nie, nie.

Henner poprosił gestem, żeby oddała mu talerz i Emma postawiła go z powrotem na stole. Henner mlaskał i od niechcienia mówił dalej:

– Ktoś twierdzi, że po twoim gospodarstwie kręci się jakiś mężczyzna.

– Musiałabym coś o tym wiedzieć.

– Karl powiedział, że samochód został podpalony. Emma nic na to nie powiedziała.

– I co ty teraz zrobisz, jak nie będziesz miała gospodarstwa?

– No przecież wiesz, Henner. Będę grała w lotto.

Henner pokręcił głową. Był już najedzony i podniósł się z miejsca.

– To dobranoc, Emma. Fajna z ciebie kobita. A twój weckewerk jeszcze lepszy. Jak ci się zachce zamażpójścia, daj mi znać.

*

Maks żywił się owocami i warzywami z ogrodu, jadł je na surowo. Popijał wodą ze źródła. Kiedy następnego dnia Emma w pojednawczym geście chciała go poczęstować weckewerkiem i Maks zobaczył kopytka pływające w tłuszczu, znowu musiał walczyć z odruchem wymiotnym. Nie mógł jeść tłuszczu, jego chory organizm gwałtownie się przed tym bronił. Emma natomiast odebrała jego odruch wymiotny jako atak na swoje umiejętności kulinarne. Obrażona zaproponowała, że w takim razie niech sobie sam coś przygotowuje, ale on nie potrafił się pogodzić z brudem panującym w kuchni.

Teraz z kolei głód stał się nie do wytrzymania. Podczas kiedy Emma kawałkowała świnie, którą tak kiedyś kochała, on postanowił zająć się kuchnią.

Mył wszystko, pucował i szorował. Wyrzucał i sortował. Ta praca wypełniła go najgłębszym zadowoleniem, był uszczęśliwiony, kiedy wyszorował do czysta blat stołu, odsłaniając żywe drewno. Posortował puszki i słoiki: rzeczy kwaszone na jedną stronę, słodkie na drugą. Miała wspaniałe przetwory, ogórki kwaszone w słoikach, słodko-kwaśną dynię, cukinie, cebule, konfitury. Teraz znowu było je widać i nawet dawało się rozpoznać, co jest w słoiku. Wymył okna, futryny, zdjął stare poźółkłe firanki.

W tym czasie Emma rozebrała obie półtusze, napelniła mięsem elektryczną maszynkę do mielenia. Wkrótce miała całe wanny mielonego

mięsa, doprawiła je ogromną ilością czosnku, cebuli, majeranku, gałki muszkatołowej, pieprzu i soli. Miesiła gołymi muskularnymi rękami. Napęliła mięsną masą kielbasiarce. nawlokła jelito, wypełniła je masą i powięzała kielbasy. Jedna, druga i jeszcze jedna, i jeszcze jedna.

Musiła zatrzymać pieniądze, cokolwiek się zdarzy. Wyjrzała na podwórko, nie było widać nikogo. Wyjęła torbę. Tę z pieniędzmi. Zwijała każdą paczkę dolarów w ciasne cygaro, pakowała w przezroczystą folię spożywczą, i wpychała do jelita w miękką kielbasianą masę. Zawięzywała kolejne pęto. Przyjrzała się dokładnie od zewnętrz: nic nie było widać. Pieniędze całkowicie zniknęły w kielbasie, którą zawięzała od góry. Nikomu nie przyszłoby do głowy szukać w tej kielbasie dolarowych banknotów. Nigdy w życiu. W ten sposób skręcała kolejne dolarowe cygara i wpychała je w swoje kielbasy. Zrobiła ich kilkadziesiąt, powiesiła na długich drewnianych drągach przymocowanych pod powalą chłodnej izby do suszenia wędlin, gdzie kielbasy schły w tradycyjny sposób na powietrzu, razem z szynkami.

Po wielu godzinach ciężkiej pracy przerobiła całe mięso ze świni. Tyle samo czasu potrzebował Maks, żeby pozbawić nędznego wyglądu jedno pomieszczenie w jej domu.

Zmęczona Emma wyszła z pomieszczenia ubojowego i udała się do Maksa do kuchni. Spodziewał się, że przynajmniej tym razem się ucieszy. Ale ta kobieta znowu zareagowała całkowicie odwrotnie. Zachowywała się zupełnie tak, jakby wszystko zabrudził, a nie wyczyścił. Rozdarła się jak furia:

– Jezusie Nazareński, no, nie wierzę! Najpierw motorower, teraz znowu kuchnia! Coś ty narobił?! Jak to teraz wygląda?! Gdzie wszystkie moje rzeczy?

Maks cierpliwie otwierał drzwi szafek. Wszystko stało na swoich miejscach, naczynia tutaj, przyprawy tutaj, przetwory w spiżarni. objaśniał spokojnie, że tylko oddzielił dobre od zepsutego. Trochę rzeczy wyrzucił,

trochę poukładał i uporządkował. Do tego wszystkiego jeszcze gadał jak pastor w adwent.

Emma zawyła:

– A kto o tym decyduje, czy coś jest dobre i zostaje?! Albo czy jest zepsute i do wyrzucenia?! No kto, ja się pytam?!

Maks też podniósł w tej sytuacji głos, zupełnie jak nie on, i powiedział, że zrobił to wszystko w dobrej wierze i nie spodziewał się takiej reakcji z jej strony. Co więcej, zdecydował się na pierwszy nieśmiały opór:

– A tak w ogóle, co to za głupie pytanie. Śmieci się po prostu wyrzuca, od tego są!

– Ale dlaczego?! Dlaczego?!!

Teraz Maks zrobił coś, czego nigdy dotąd nie zrobił, przez całe swoje życie: naprawdę podniósł głos.

– Dlaczego?! A dlatego, że brzydzę się, kiedy muszę jeść z brudnego talerza, kiedy muszę dzielić ser z myszami! Brzydzę się szcurzych kup na kuchence i brzydzę się, kiedy gryząc rzekomo chrupiący chleb, w rzeczywistości gryzę karalucha!

Z przejęcia dygotał na całym ciele. Aż musiał się przytrzymać krawędzi stołu.

Teraz z kolei Emma zrobiła coś, czego nigdy dotąd nie zrobiła, przez całe swoje życie: nic na to nie odpowiedziała. Patrzyła na niego, ale dzielnie zagryzła wargi. W głębi ducha wiedziała, że w domu zachowuje się jak świnia. Co tam, świnia! Świnie są czystsze, niż ona w kuchni. W gospodarstwie wszystko potrafiła ogarnąć, ale tutaj?!

Maks wyczuwał jej pojednawcze wysiłki, zaczął więc mówić bardziej miękko:

– Jestem tu gościem i odczuwam głęboką wdzięczność, że mnie przyjął. To dla mnie wielka pomoc, ponieważ mnie szukają, a ja nie chciałbym, żeby mnie ktoś znalazł. Ale nie mogę przez cały czas chrupać samych marchewek. Chciałbym też coś ugotować. Mogę też ugotować dla ciebie, bo całkiem dobrze mi to wychodzi. Ale błagam, na miłość boską, pozwól mi przynajmniej przekopać się do kuchenki. Inaczej tam nie dotrę.

Głos Emmy drżał:

– Przekopać się? Musisz się przekopywać przez moją kuchnię?

Maks aż się rozpląnął ze współczucia. Oto ta silna kobieta drży na całym ciele.

Odezwał się tak łagodnie, jakby zarazem chciał ją czule pogłodzić:

– Tak, właśnie tak. Nie gniewaj się.

Ale Emma wyszła bez słowa.

Była kompletnie zbита z tropu. Nie dlatego, że Maks uznał ją za flejtucha, nie dlatego, że na nią nakrzyczał. Nie. Chodziło o coś zupełnie innego: otóż nagle ktoś był dla niej miły. I było to strasznie męczące. Ktoś coś dla niej zrobił. To było coś zupełnie, ale to zupełnie nieznanego.

Mówi, że coś jej ugoruje! Tego nie zrobiła dla niej nigdy nawet własna matka! Gotowała, gdy miała na to czas i Emma musiała czyhać na ten właściwy moment, kiedy jedzenie pojawiało się na stole. Nie było stałej pory posiłków. Nawet w przybliżeniu.

Jeśli pojawiła się bodaj pięć minut za późno, to nie miała już czego szukać. Jedzenie było już zjedzone przez innych. Tak wyglądało tutejsze życie: najsilniejszy jadł pierwszy, potem samica, na końcu młode. Tę chłopską zagrodę pełną spokojnych zwierząt zamieszkiwali prawdziwie dzicy ludzie, którzy gryźli, żarli, bili i parskali wściekle. Nigdy nie mogłaby oddać się pod ich opiekę, bo oznaczałoby to pewną śmierć.

Zawsze wszystkiemu musiała stawić czoło sama, sama przetrwać każdą niepogodę. Nigdy nie mogła powierzyć czegokolwiek drugiej osobie, zostawić jej, oddać pod opiekę. Wszystko było wyłącznie jej własną sprawą. Jako osoba dorosła nadal uważała to za coś całkowicie normalnego. Kiedy urwał się jeden koniec rynny, to Emma musiała ją naprawić. Kiedy w sypialni pojawiło się robactwo, kiedy uderzył piorun, kiedy przyszli złodzieje, kiedy szalał pożar albo kiedy zrujnowała ją świńska zaraza; kiedy pękły rury wodociągowe, nadeszła plaga szczurów, maciora urodziła młode i stała się niezdolna – wszystko było wyłącznie na głowie Emmy. Cała odpowiedzialność zawsze spoczywała na jej barkach, co sprawiło, że stała się twarda.

Kiedy wszyscy już w końcu pomarli i Emma uwolniła się od konieczności codziennego zapewnienia sobie bezpieczeństwa, odpuściła sobie wszystko. Wszystko, co miało związek z jej osobą. Odpuściła sobie wszystko w miejscu, w którym zawsze coś jej groziło: w swoim domu.

Szklanka z wczoraj przypominała jej, że było jakieś wczoraj. I że będzie jutro. Jak miałyby poczuć, że minął już tydzień, gdyby nie pleśń, która narosła w tym czasie? Brud stał się dla niej kalendarzem. Wysokość stosu gazet była jej miarą czasu.

Emma otuliła się łagodną, delikatną skórą, którą inni nazywali brudem, a która ogrzewała ją i chroniła. Ten nieład to było jej wnętrze, stan jej duszy. Ale za to poza domem, w ogrodzie, teren był pozbawiony obciążeń, tam mogła żyć tak, jak jej się podobało. Ogród był dowodem, jak chciała mieć naprawdę w życiu. Stan domu natomiast był żywym dowodem na to, z czym sobie nie umiała poradzić w życiu.

A ten mężczyzna zniszczył jej piękny brud. Zrozumiała, że w jej domu nie ma miejsca dla kogoś drugiego, dla mężczyzny. A jednocześnie chciała

tego drugiego mieć, mieć przy sobie. Zarówno w kuchni, jak i w łóżku. Musi pozwolić mu stworzyć dla siebie przestrzeń, żeby pozostał.

Z tym nastawieniem ruszyła z powrotem. Przez wymyte okno widziała Maksa, z czułością patrzyła, jak stara się coś zrobić, żeby było jej dobrze.

Maks otworzył torbę z mąką i otwartą postawił na stole. Potem westchnął ciężko i z dużym oporem przewrócił na blat. Biała mąka rozsypała się po czystym stole. Teraz wziął jajko i wypuścił je z ręki, żeby wpadło w mąkę, razem ze skorupką. Jajko pociekło ze stołu na podłogę. Chciał, żeby była zadowolona. Chciał przywrócić ten piękny brud, tylko z jej powodu. Wzruszona stanęła w drzwiach i rzekła:

– Przedtem mimo wszystko było ładniej. Zaskoczony podniósł na nią wzrok.

– W ogóle jest tu dosyć ładnie. Maks zrobił wielkie oczy.

– I byłoby mi miło, gdybyś coś dla mnie ugotował. Dawno nikt tego nie robił. Nawet bardzo dawno.

Uśmiechnął się i podszedł do niej. Wciąż stała w drzwiach. Podszedł i ujął jej dłoń. Lewą, tę, którą podrzynała świniom gardła. Ucałował grzbiet dłoni, niemalże nie dotykając ustami skóry.

– Za godzinę będzie kolacja, zgoda?

Skinęła głową, otarła nos rękawem i poszła na górę do sypialni, żeby się przebrać.

Tylko nie myśleć, o niczym nie myśleć. Piękne to było i napełniało strachem. Bezmiernym strachem. A jednak było niewiarygodnie piękne. Nie dawało się nie myśleć. Inni przecież też to robią. Patrzą na siebie. Odnajdują się. Kochają. Żyją ze sobą. Ufają sobie. Czasem się rozstają. Emma tak bardzo się bała. Chciała to mieć, ale nie potrafiła wziąć. Pocałował ją w rękę.

Nie wpadaj w ramiona drugiego człowieka, bo pozwoli ci spaść. Staniesz się miękka w jego dłoniach, a wtedy cię zmiażdży. Kiedy ty stajesz się delikatna i mała, on staje się twardy i bezwzględny.

Nie szukaj bliskości, bo staniesz się zależna. A jeśli będziesz zależna, to zaczniesz błagać o miłość. A wtedy stracisz godność i rozum.

Nie wpadaj w ramiona drugiego człowieka, bo nie będzie cię chciał trzymać.

*

Emma wolno weszła na górę do swojego pokoju i w zamyśleniu rozebrała się przed lustrem, wiszącym po wewnętrznej stronie drzwi szafy. Zmierzyła się wzrokiem: nago nawet się sobie podobała. No, ale przecież nie może tak chodzić. Mimo wszystko chciała jednak, żeby zobaczył w niej coś więcej. Chciała, żeby zaczął się domyślać, jaka jest piękna. Tyle że fartuchy kazały się domyślać samych okropności. Koniecznie musi mieć coś innego. Co tam jeszcze jest w tej szafie?

Położyła wszystkie fartuchy na starym fotelu. Było ich zdumiewająco dużo. Najpierw te, które sama kupiła w ciągu ostatnich piętnastu lat. Głębiej znalazła te, które nosiła matka. A na samym dnie szafy pojawiły się fartuchy babki. Szafa była ogromna, sterta kolorowych fartuchów rosła i pęczniała, z pewnością była ich ponad setka. Flachsmeier i C&A zarobili na nich majątek!

Spod fartuchów wyłoniła się bielizna babki. Emma nigdy w życiu nie widziała tych rzeczy. Wyciągnęła białą koszulę, która pod szyją miała stare koronki. Koszula była krótka, kończyła się nad kolanami, tam też była wykończona koronką. Materiał był cienusieńki, ciało prześwitywało spod niego. Emma była umięśniona, wprawdzie przy kości, ale nie rozlana. Miała dobrą figurę. Rozpuściła włosy, dzięki czemu wyglądała o całe lata młodziej, niemalże jak dziewczyna.

Aż się zaśmiała. Przecież za nic się nie odważy i nie pokaże mu się tak na oczy, o nie! Ale wyglądała dobrze, halka była przyjemna, Iniana. Z pewnością babka sama ją utkała, bo wtedy uprawiali jeszcze len. Emma wydała się sobie jednak zbyt naga w tym stroju, zawstydzila się. Z niechęcią narzuciła na Inianą koszulę jakiś stary fartuch i markotna zeszła na dół.

Dzisiaj przyniosła Hansowi porządną tacę wędlin, ze świeżą wątrobianką i salcesonem. W ten sposób Hans dowiedział się o świniach i uboju. Był pod dużym wrażeniem, poprosił ją więc, żeby opowiedziała coś więcej. Ona jednak przesunęła rozmowę na następny dzień, ponieważ musiała jeszcze rozwiesić pranie, poza tym czekało na nią jedzenie.

Więzień jadł z lubością, poczęstował też odrobiną wątrobianki pająka. Od dwóch dni nie czuł chronicznego bólu głowy. Czyżby to porwanie miało się dla niego okazać czymś w rodzaju kuracji?

Ciemnica–Zdrój. A nuż odkrył nowy trend, a może wręcz sensacyjną terapię? *Retreat*, żadnego medytowania i milczenia, tylko zwykłe siedzenie w ciemnościach. Musi się jeszcze zastanowić. Może da się to jakoś sprzedać.

Hans jeszcze nie osiągnął tego, co chciał, czekał dopiero na jakiś przełom, na swój wielki dzień. Coś takiego musi kiedyś nadejść, był o tym przekonany. Tylko kiedy? I co to by miało być? Postawił kiedyś na akcje – spadły. Stawiał na konie, które okazywały się okulawione, i na kobiety, które go nie kochały. Kiedy Hans wyjeżdżał na południe – padało. Kiedy zapomniał nadać lotka, padły jego liczby. Nie upatrywał w tym czarnej serii, był tylko stuprocentowo przekonany, że za każdym razem rośnie dzięki temu statystyczne prawdopodobieństwo, że wkrótce będzie miał wielkie szczęście.

Czyżby właśnie nadszedł ten moment? Nie chodziło jedynie o te wszystkie staroświeckie sprzęty, ale o całkowicie nowy pomysł, na jaki właśnie wpadł. A więc nie było to żadne porwanie, przemknęło Hansowi przez

głowę. Nie, to była po prostu cezura. Przeznaczenie. Musiał przemyśleć sprawę Ciemnicy–Zdrój. Wspaniale, tak całkiem bez Dagmary.

Emma rozpięła w ogrodzie sznur do bielizny i zaczęła rozwieszać prześcieradła jedno obok drugiego. Był wczesny wieczór, ale jeszcze gorąco, za gorąco na fartuch i długą koszulę. Ukryta za wielkimi prześcieradłami zdjęła z siebie brzydki kolorowy fartuch, wiatr ochłodził jej skórę, przewiewając cienką lnianą koszulę babki. Lato było piękne i Emmie poprawił się humor.

Taką właśnie zastał ją Maks. Widziała jego niewyraźną sylwetkę przez prześcieradła, kiedy się zbliżał. Spojrzała po sobie i się zawstydzila. Maks stanął za prześcieradłem, które właśnie rozwiesiła. Nie mógł jej zobaczyć, gdyż sznur był bardzo wysoko. Ale nagle u góry pojawiła się jego dłoń i pociągnęła sznur do dołu. Ni stąd, ni zowąd ukazała się jego głowa. Zlustrował Emmę wzrokiem. Zrobiła się czerwona jak burak.

– Przygotowałem ratatuję, może być? – powiedział przyjaźnie.

Przytaknęła ruchem głowy. Cokolwiek to było. Uśmiechnął się i wskazując koszulę jej babki, powiedział:

– Bardzo ładnie w tym wyglądasz. Jeśli pozwolisz, poszukam sobie w szafie z ubraniami twojego ojca jakiejś marynarki. Inaczej nie będziemy do siebie pasować przy stole. Zgoda?

Emma znowu kiwnęła głową.

Nie wpadaj, biedaczko, w ramiona drugiego człowieka, bo pozwoli ci spaść, nieszczęsna.

– Za dziesięć minut możemy siadać do jedzenia. Poszedł sobie.

Pieniądze, musi zatrzymać pieniądze, cokolwiek się stanie. Żeby był nie wiadomo jak miły, musi zatrzymać jego pieniądze.

Jedli razem.

Maks powiedział, że szkoda, że Emma ma tylko telewizor, a nie ma wieży stereo, bo mogliby posłuchać przy kolacji muzyki.

Emma jeszcze nigdy nie słuchała przy jedzeniu muzyki.

– Haendel bardzo by pasował.

– Aha.

Wydała się sobie nagle taka mała, nie miała pojęcia o żadnym Haendlu. Poczula się obco we własnej kuchni, przy takim jedzeniu. Bo poza warzywami nic nie było. Był dzień uboju i nic porządnego do jedzenia. No cóż. I po rękach już nie całował. Emma poszła do łóżka głodna. Podwójnie głodna.

*

Hans był zupełnie inny niż Maks. Chyba nawet bardziej się jej podobał, był zwyczajniejszy, miło z nią rozmawiał. Jemu jej kielbasa smakowała nadzwyczajnie i była z tego dumna. Odcinała dla niego kawałek po kawałku i wspólnie opychali się w ciemnościach. W jednej ręce kawał świeżego żytniego chleba na zakwasie, w drugiej kawał kielbasy.

– Boska – mlaskał Hans.

Fraternizacja postępowała wielkimi krokami. Jeszcze to Hans był więźniem, a ona miała klucz, jeszcze dzieliła ich krata, ale Emma już nabrała do niego zaufania.

Kiedy usłyszał, jak tanio sprzedaje swoją kielbasę, aż pokręcił głową. Cena była za niska. O wiele za niska. We Włoszech, opowiadał, są kielbasy prawie tak samo dobre jak te Emmy i kosztują trzy razy tyle. A jeszcze te francuskie, z okami tłuszczu i chrząstkami, brrr. A jakie drogie! Aha, a Anglicy? Czy jadła ich kielbasy? Nie? W środku jest papier, oni robią takie kielbasy, że w środku jest przerobiony papier, a nawet tkaniny. Emma trzęsła się ze śmiechu. Hans chichotał. Oczywiście w angielskich kielbasach wcale nic

takiego nie było, ale Hans nie lubił angielskich kibiców, więc sobie wymyślił to z angielskimi kiełbasami.

Emma opowiedziała mu o świniach, o cenach, warunkach panujących na rynku. Na koniec nawet o grożącej jej przymusowej licytacji gospodarstwa. Hans siedział w swoim ciemnym więzieniu przy blasku świecy, dostał od Emmy papier i ołówki i zaczął opracowywać nową strategię biznesową dla jej gospodarstwa.

– Czyli że świnie chodzą luzem, tak?

– Tak, po łące.

– Ile metrów kwadratowych w przybliżeniu przypada na taką świnie?

– Do czego?

– **No**, do chodzenia, do życia.

– Aha. Bo ja wiem? Trudno powiedzieć. Dużo. Moje świnie nie mieszkają na metrach kwadratowych, tylko chodzą sobie od strumyka do swojego błotka pod dębem, a potem do chlewu. Tak to wygląda.

– No to weźmy dziesięć metrów kwadratowych na jedno zwierzę, okay? Do tego strumyk i błoto. Znaczący, naturalnie. I wspólne życie pod wspólnym słońcem? Mniej więcej tak, zgadza się?

Hans notował i szkicował, a Emma zdumiewała się banalnością jego pytań.

– Co jeszcze?

– Nic. Lubię je.

– W jakim sensie?

– No, rozmawiam z nimi, głaszczę.

– Wszystkie?

– No.

– Jak często?

– Codziennie.

– Czyli zwierzęta codziennie są głaskane i jeszcze się do nich mówi, tak?

– No.

– Niesamowite. Kto mi w coś takiego uwierzy? – Hans notował i notował, wykrzykując rzeczy w rodzaju:

– Super! Suuuper! Chodzą luzem. Szczęśliwe.

Myślał intensywnie, w końcu zakreślił grubo dwa słowa: szczęśliwe świnie. A obok napisał: *happy pigs*.

– Teraz dalej. Co dalej?

– Jak już są wystarczająco ciężkie, to się je zarzyna.

– Gdzie?

– Tutaj.

– Jak? Proszę jak najdokładniej, ze szczegółami.

I Emma opowiedziała mu dokładnie, jak to robi. Hans zrozumiał, pochwalił ją.

– Czy to takie szczególne? – spytała.

– Naturalnie, Emmo. Postępujesz ze zwierzętami bardzo przyzwoicie. To niezwykle specyficzna, całkowicie nowa metoda. Wręcz wynalazek. Dokonałaś prawdziwego wynalazku! Brawo!

Emma spąsowiała i wymamrotała podziękowanie. Powinna go teraz wypuścić. Powiedział do niej „ty”, jak przyjaciel. Pochwalił ją. Czy kiedykolwiek ktoś to zrobił? Jej dłoń ześlizgnęła się do kieszeni fartucha, ujęła klucz. Hans czekał w napięciu, choć udawał, że całkowicie pochłania go nowa idea. Notował coś na kartce. Jednak wypuściła klucz z ręki. Nie odważyła się jeszcze uwolnić Hansa.

Pomógł jej i odezwał się:

– W zasadzie to chyba się nawet cieszę, że mogę tutaj spokojnie przemyśleć to i owo. Niezły pomysł, taka praca w całkowitym odcięciu od świata.

W nocy Maks miał straszne napady bóleści. Całą okolicę brzucha trawił mu żywy ogień. Nogi miał silnie opuchnięte i ciągnęły go do dołu jak jakieś potężne ciężary. Przykuły go do posłania, prawie nie mógł zrobić ruchu. Dopiero gdzieś o świcie zasnął, kompletnie wyczerpany.

Następnego dnia fizycznie czuł się już lepiej, ale za to wpadł w tak poważny i rzeczowy nastrój, jak nigdy. Uznał, że musi opuścić to gospodarstwo najszybciej, jak się da. Miał wrażenie, jakby Emma była w nim odrobinę zakochana, ale uważał, że miłość to niekoniecznie to, w co powinien się akurat teraz wdawać, skoro już niedługo ma... w końcu w zasadzie jest już na wpół trupem, więc nie może wiązać się z kobietą, budzić w niej nadziei, skoro żadnej nadziei już nie ma.

Nie mógł przełknąć tłustej kiełbasy, którą go częstowała. Tłuszcz budził w nim obrzydzenie, a ona uważała, że nie smakuje mu jej kiełbasa. Warzywa mógł jeszcze jeść. Sałatki. Ale nie wieprzowinę. W końcu nie może jej wmanewrowywać w przyglądanie się, jak umiera ciężko chory człowiek. Będzie musiał pójść do kliniki zwalczania bólu, tak jak radził lekarz. Nie chciał jednak nic wyjaśniać Emmie, nie chciał się z nią żegnać. Co miałby jej powiedzieć? W końcu prawie się nie znali.

Tego dnia Emma miała z Hansem naradę w komórce. Pomysł nabrał kształtów, Hans chciał zostać jej menedżerem, podpisywać umowy. Dzwonić. I to do Ameryki! Z zachwytem roztaczał przed nią swoje pomysły, co też można zrobić z jej gospodarstwa, ale Emma nic z tego nie rozumiała. Twierdził, że może zrobić z niej bogaczkę, ale mu nie wierzyła. Na pewno chodzi mu tylko o

to, żeby się wydostać z tego więzienia. I tak miała zamiar go wypuścić. Przedtem jednak chciała wstawić się jakoś za Maksem.

– Jest tu u mnie i bardzo go lubię.

– O, Maks związał się z kobietą, to coś nowego.

– I strasznie mu przykro, że pieniądze się spaliły.

– Ależ, Emmo. – Hans się uśmiechnął, prezentując najwyższy kunszt aktorski. – Cóż to jest pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

– Nic?

– My we dwójkę wkrótce zarobimy o wiele więcej! Emma nie mogła w to uwierzyć.

– To nie jesteś na niego zły?

– Ależ skąd.

– No to cię teraz stąd wypuszczę, zgoda?

– Zgoda, Emmo.

Hans spojrział na nią ufnie. Emma wmawiała sobie, że w końcu to przecież przyjaciel Maksa, więc na pewno dotrzyma słowa. A może nie? Było pewne ryzyko, poza tym ona kompletnie nie знаła się na ludziach z miasta. No, ale przez cały czas Hans był przecież dla niej miły. Ani razu nie miał do niej pretensji, że go na tak długo zamknęła. Dlatego bez cienia niepokoju wyjęła klucz z kieszeni fartucha. Hans udawał całkowitą obojętność. Kiedy ona otwierała drzwi, on podniósł się i otrzepywał ubranie. Ledwie jednak drzwi się otworzyły, skoczył do Emmy, opasał ramieniem jej szyję i ścisnął.

– Ty zdiro jedna!

Emma była w głębokim szoku, z miejsca pożałowała swojej decyzji. Co ona zrobiła? Jak mogła być taka głupia! To przecież jasne, że jemu chodzi tylko o pieniądze!

Hans chwycił jej rękę i wykręcił. Emma wrzasnęła z bólu. Wepchnął ją do komórki i zamknął drzwi. Patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem i nie mogła wydobyć z siebie słowa. Od kiedy została sama na gospodarstwie, nikt nigdy tak jej nie potraktował. Była kompletnie oszołomiona.

– Gdzieś tam czeka na mnie białoruski bandyta –mówił zduszonym głosem Hans – i pała żądzą mordy. Ferrari – kupa złomu, forsa – zniknęła. Jak nie dostanie z powrotem kasy, to mnie załatwi.

Emma chciała coś powiedzieć, chciała mu oddać pieniądze ukryte w kiełbasach, ale nie mogła wydobyć głosu.

Ta komórka często była jej karcerem. Kiedy odłamała niechcący uszkodzonej filiżanki, wrzucono ją tutaj na długie godziny. Kiedy jakiś obrzydliwy sąsiad posadził ją sobie na kolanach, a ona się broniła – to samo. Kiedy przyszła w odwiedziny jakaś ciocia–babcia, a Emma nie dygnęła idiotycznie, kiedy nie pomogła matce, gdy przewróciła się jej konewka z mlekiem, kiedy Emma po prostu była albo akurat przypadkiem jej nie było – zawsze za karę wrzucano ją do tej komórki.

Ale teraz nie była już małą dziewczynką. Podniosła się powoli. Wzięła rozbieg i z całej siły uderzyła muskularnym ciałem w drzwi. Nic.

- Otwieraj! – wrzasnęła.
- Ja tam siedziałem parę dni.
- Ja nie chcę tu być – zaszlochała.
- Ja też nie chciałem.

Maks żegnał się z domem. Wsparty na drewnianym kołku wszedł do kuchni Emmy, do jej sypialni. Przesunął dłonią po łóżku, po fartuchach. Raz jeszcze oglądał po kolei pomieszczenia, żeby się pożegnać z Emmą. Im bardziej próbował się od niej oderwać, tym mocniej budziła się w nim

tęsknota. Lęk, że może ją utracić, zniknął. Dlatego że z całą pewnością ją utraci. Była kompletnie zwariowana, ale miała w sobie coś szczególnego.

Zastanawiał się, po co w ogóle ma stąd odchodzić, skoro niedługo i tak odejdzie? Przecież to kwestia tygodni.

Czemu ma sobie tego odmawiać? Przez całe dotychczasowe życie odmawiał sobie wszystkiego, więc dlaczego to robić przed śmiercią? Przecież wszystko przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Skąd więc skrupuły, skoro śmierć przyszła tak całkiem bez skrupułów? Tak niesprawiedliwie wcześnie. Życie jest za krótkie, żeby mieć skrupuły.

Za kurnikami był składzik na worki z karmą, usłyszał stamtąd głosy. Emma? Otworzył drzwi, zobaczył Hansa i Emmę.

– Hans! Co ty tu robisz? Emma...?

Hans poprzysiągł sobie, że spierze Maksa na kwaśne jabłko, gdy ten tylko się pojawi. Ale nawet w tych ciemnościach zobaczył, jak fatalnie Maks wygląda. Na chorego. Prawdziwa nędza. Dlatego spytał tylko:

– Dlaczego mnie okradłeś? Wiesz przecież dobrze, że ten Białorusin...

– Nie tutaj – przerwał mu Maks. – Wypuść Emmę, natychmiast!

Hans wyciągnął klucz z kieszeni.

– A pieniądze?

– Oddam ci... Jakoś.

Hans otworzył komórkę. Emma gapiała się na niego. On ją zaatakował. Wreszcie wróciła wściekłość. Złapała Hansa za kołnierz:

– Jak mnie jeszcze raz...!

Hans wyciągnął do niej pojednawczo dłoń i zapewnił:

– Jesteśmy kwita, okay?

Maks objął Emmę ramieniem i wyprowadził z komórki. Zorientował się, że cała drży.

Powinna powiedzieć, że to ona wzięła pieniądze. Ale wtedy straci Maksa. Za długo już temu zaprzeczała, więc i teraz nie powiedziała ani słowa.

Ponieważ Hans od paru dni nie widział słońca, musiał zmrużyć oczy, gdy wyszedł na wolność.

Maks chciał z nim porozmawiać sam na sam, dlatego zaprowadził go na werandę swojego domku kąpielowego. Tam zawiadomił go, że pieniądze spaliły się w czasie wypadku. Hans uznał to za nieprawdopodobne.

– W jaki sposób samochód miałby się zapalić tylko dlatego, że spadł po zboczu? I to w czasie ulewy?

– Ja w każdym razie ich już nie mam, przysięgam.

– Emma je wzięła.

– Nie, niemożliwe. Na pewno się spaliły.

Hans wiedział, że to Emma ma pieniądze. Maks zaproponował mu w ramach zadośćuczynienia swoją polisę na życie.

– No, świetnie. I będę czekał czterdzieści lat, aż wykitujesz.

Maks wymamrotał coś o paru tygodniach, ale zupełnie niezrozumiale. Tym razem jednak Hans słuchał go uważnie i przeraził się nie na żarty.

– Ona wie?

– Nie.

Obydwaj znali się całe życie, ale nigdy dotąd nie okazywali sobie serdeczności. Teraz Hans poklepał Maksa przyjaźnie po plecach i objął go. Maks wybuchnął niepohamowanym płaczem na ramieniu przyjaciela.

– Aż tak źle? To przez ten wypadek?

Maks pokręcił przecząco głową:

– Nie, już wcześniej.

– A po co ci były pieniądze?

– Miałem... chciałem wyjechać.

- Przecież bym ci pomógł.
- A co, jeśli nie?
- Tylko nie to, Maks! Nie zaczynaj od początku!

Hans raz jeszcze przytulił Maksa, tym razem niemalże z czułością.

– Brakuje jeszcze, żebyś mnie teraz pocałował – zażartował Maks ostatkiem sił i nawet się uśmiechnął.

Na pożegnanie Hans specjalnie skłamał, mówiąc:

- Nie martw się. Pieniądze się spaliły, po sprawie.
- Weź moją polisę.
- Pocałuj mnie gdzieś.

Hans powiedział to z uśmiechem.

Wielki knur, ten niebezpieczny, był na łące. Maks poszedł do obory i wyczerpany usiadł na słomie. Tak bardzo chciałby u niej zostać. Czemu po prostu nie zostanie? Popatrzył po sobie w dół, doprowadził się paroma ruchami do wzwodu i uśmiechnął się zawstydzony. Jeszcze nie był aż tak chory, żeby się nie dało. Czemu nie spróbować tego chociaż raz z kobietą? Spadł niespodziewanie na jej gospodarstwo, poznał kobietę, która żyła trochę jak zwierzę, a jednak była bardziej ludzka niż jakikolwiek człowiek, którego zdarzyło mu się spotkać. Maks widział Emmę przed sobą w białej koszuli babki, zaspokoił się przy tej wizji i zasnął w słomie knura.

Emma przyniosła dwie butelki piwa, Hans naładowaną komórkę. Obydwoje poszli do skrytki Emmy w sianie i otworzyli okno stodoły. Hans wyciągnął się rozkosznie na sianie. Znowu grał. Ani jednym gestem czy słowem nie zdradził się, że wie, co się dzieje z Maksem.

Dwiema butelkami piwa świętowali oswobodzenie i pojednanie. Potem Hans zadzwonił:

– Hallo, Jim. Hans speaking. Hilfinger, Germany. Yes, right. I've got a marketing idea, extraordinary. I tell you. Yes. Absolutely new. No, you never heard.

Listen: you eat eggs, for example. And all people want to have eggs from happy chickens. Animals, who can walk around and have nice air, fresh wind, on a farm, something like this. You understand?

Emma nie rozumiała ani słowa. W tym gospodarstwie nikt nie mówił po angielsku, w całej wiosce też nie. Nie pojawił się też dotąd nikt, kto chciałby w tym języku mówić. Tylko Flachsmeier popisywał się czasem paroma słowami po włosku i robił się przy tym sentymentalny. Ale Emma z przyjemnością słuchała Hansa, cokolwiek mówił.

– Here is someone, a woman, who has got pigs. She makes sausages made from her pigs. Really good ones. But, listen, the pigs, the animals have a better life than you and me. You understand? They can walk around, she speaks to them, touches them, loves them. Happily pigs, you realize? Then she kills them easily, they don't have any stress, nothing. Not like others, who are screaming and crying. They don't have fear. They, let's say, also die happy. Do you understand? No?

Hans zaczął teraz mówić trochę głośniej, zupełnie jakby jego rozmówca niedosłyszał:

– I don't care about pigs. But their meat is much better. Yes! So my idea is, to sell every kind of pork made from those happily pigs, and we call it, listen: Happy pork. You got it, Jim? We have to make sure to have the worldwide rights to *Happy pork!* Hans wybuchnął śmiechem i jego rozmówca z Ameryki najwyraźniej też się śmiał. Hans był strasznie podniecony, co chwila powtarzał „happy pork” i „worldwide rights” i śmiał się, śmiał bez końca. Aż w końcu akumulator w komórce znowu się wyczerpał.

Hans chwycił Emmę w ramiona i przycisnął do piersi.

– Będziemy bogaci, ty i ja. Maks i Jim. Bogaci! Ha, ha! Bogaci. Jim mówi, że z tego da się wycisnąć kupę szmalu! Kupę szmalu!

Emma wiedziała, że to wszystko przez to, że ten biedny człowiek tak długo był w zamknięciu, na pewno przez to. Hans tańczył jak Indianin na wojennej ścieżce i wykrzykiwał:

– Srać na Białoruś i na ferrari! Srać na to wszystko! – A potem usiadł z powrotem. – Na razie muszę wrócić do domu, zająć się tym. Przygotuję, co trzeba. Umowy i tak dalej. Okay? A jak już wszystko przygotuję, to tu wrócę, potrzebuję na to parę... no, trochę czasu.

Emma skinęła głową tylko po to, żeby go uspokoić. Jej też się zdarzało, że ponosiły ją nerwy, ale ten facet?! Na koniec Hans przypomniał sobie coś jeszcze:

– Aaa, no i Ciemnica–Zdrój też pójdzie pod ochronę, za jednym zamachem! Suuper.

Samochód Hansa, którym kilka dni temu przyjechał i zaparkował przy drodze, zniknął. Pewnie został odholowany. W tej sytuacji Hans zadzwonił po taksówkę, żeby przyjechała na słupek kilometrowy 52,5 drogi krajowej nr 7 w kierunku północnym. Dyspozytorka nie bardzo dowierzała temu zamówieniu:

– A co to ma być? Czy na drzwiach będzie nazwisko?

– To słupek kilometrowy, łaskawa pani. Tu nikt nie mieszka.

– Jeszcze nikogo stamtąd, co pan mówi, nie zabieraliśmy.

Zamówienie okazało się dla tej korporacji zbyt ryzykowne.

Emma twierdziła, że w tej okolicy nigdy jeszcze nie widziała żadnej taksówki. Nawet nie wie, jak coś takiego wygląda. I że sama zawiezie go do miasta. Z miejsca przeraziła się własnej odwagi – nigdy tam przecież jeszcze nie była.

– A czym pojedziemy?

Miłośnik motoryzacji Hans pędził z zawrotną prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę na twardym siedzeniu pasażera w przedpotopowym traktorze. Jedną ręką trzymał się kurczowo burty, bo maszyna podskakiwała i chwiała się na wszystkie strony. Drugą ręką ścisnął prosiaka, którego Emma koniecznie zapragnęła mu podarować – jako zadośćuczynienie za uwięzienie. Małego słodkiego prosiaczka, który siedział teraz obok niego i wystawiał ryjek pod pęd powietrza.

Dagmara stała w szklanych drzwiach eleganckiego salonu samochodowego Hilfingera, kiedy nowa zdobycz jej szefa, po dwugodzinnej podróży, z ogłuszającym warkotem zajęła traktorem na podjazd. Kilka ostatnich beztrudnych dni Dagmara spędziła na lekturze kobiecych czasopism z całego tygodnia.

A teraz zobaczyła na podjeździe pojazd w pełni odpowiadający najnowszym trendom rustykalnym. Sini barwa bluzowej sukienki kobiety była silnie, jakkolwiek nienagannie, skonstrastowana z żółto-białymi cętkami chusty na głowie. Cera modelki była zmatowiona świeżym powietrzem, niemal niezauważalny makijaż podkreślał zamierzoną naturalność, a gumki były zapożyczone z angielskiego stylu myśliwskiego. Prawdziwym ukoronowaniem całości był Hans, szef patrzącej. Zeskoczył z traktora, pomachał modelce, i już jej nie było. Sam natomiast z prosiaczkiem w objęciach podszedł do Dagmary.

– Ojej, masz prosiaczka! – pisnęła z uciechy. – Prawdziwy prosiaczek, tylko całkiem mały! Nie do wiary!

– Zgadza się – potwierdził z uśmiechem Hans. – Mam świński fart.

Przypomniał sobie Maksa i nostalgicznie dorzucił pod nosem, bardziej do siebie niż do Dagmary:

– Miałem świński fart.

Dagmara zmarszczyła nos.

– Trochę cię czuć.

Było to zdecydowanie łagodne określenie, ponieważ w rzeczywistości Hans cuchnął jak sto nieszczęść, bo przecież od kilku dni się nie mył. Prosiak zrobił resztę.

– No wiesz, nawet nie miałem czasu pomyśleć, żeby się umyć.

Jeszcze całe tygodnie później Dagmara odmalowywała sobie w myślach, co to musiały być za dni, które Hans spędził z tamtą traktorzystką i prosiakiem. Po głowie tłukły jej się najpiękniejsze obrzydlistwa, wyobraźnia hasała po lasach i polach, zaspokajając jej najśłodsze marzenia znaczone kolejnymi orgazmami. Dagmara kupiła swojemu Hasiemu lodenową marynarkę, ale nie na wiele się to zdało.

W czasie jazdy traktorem Emma bez przerwy paplała i śmiała się, w głębi duszy dygocząc ze strachu. Miasto, naprawdę miasto, a w samym jego środku ona. Boże jedyny, a czego tu się bać? W końcu przecież da się przeżyć. Ulica była asfaltowa, tak jak jej własna droga. A jak się człowiek zagubi, to zawsze można się zatrzymać i zapytać. Poza tym, takie znowu oszałamiające, jak to sobie zawsze wyobrażała, takie oszałamiające miasto wcale znowu nie było.

Hans sprawił jej ogromną radość. Kazał się zatrzymać przed prawdziwą ceglana fabryką czekoladek. Kupił jej całe sto sztuk w kartonowym pudełku. Świeżuteńkie i delikatne, rozpływające się na języku. Całą setkę pochłonie całkiem sama i w ten sposób nareszcie rozpocznie karierę prawdziwej bambaryły.

Odjechawszy spod salonu, szybko pochłonęła dwudziestą czekoladkę, była całkiem oszołomiona taką ilością cukru.

W mieście były sklepy, byli ludzie, były samochody. Autobusy. Wielkie skrzyżowania, które już jej nie przerażały.

Gdy przejeżdżała przez ostatnie skrzyżowania, trąbiła. Czuła, że już się nie boi! Śmiała się sama z siebie, wstała w czasie jazdy z miejsca i wyciągnęła w górę prawą rękę, jakby właśnie odniosła jakieś zwycięstwo.

Wykrzykiwała radość, jak pełna temperamentu Włoszka, która po wygranej przez narodową drużynę meczu paraduje z innymi po mieście, powiewając flagą. Zuchwale obrzucała przechodniów czekoladkami, pokrzykując z uciechy. Coś się działo. Emma była w mieście.

Maks znalazł banknot dolarowy! Kiedy usnął wyczerpany, skotłował słomę przy korycie. Banknot zobaczył, kiedy otworzył oczy. Wystawał tylko jego rozek; przed samym nosem Maks ujrzał girlandę listków wokół nominału. Hans miał rację.

Aż usiadł na krawędzi koryta, żeby się zastanowić. Zbierało mu się na wymioty. Trzymał banknot w dłoniach, obracając go na wszystkie strony. Nie było innego wyjaśnienia. Tylko ta jedna prawda. Czułby się lepiej z myślą, że pieniądze spłonęły. Złudzenie, że ta kobieta szczerze interesowała się jego osobą, rozwiało się.

Po długich rozmyślaniach wetknął banknot do kieszeni spodni. Miał boleści, szczególnie w okolicach żołądka. Nagle dopadło go silne wzdęcie, pierdział długo i głośno. Na szczęście, kiedy to się stało, był sam, i to w dodatku w chlewie. Coś takiego jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło. Bolały go nogi. Nie ma rady, musi znaleźć swoje pieniądze, które tak naprawdę należały do Hansa.

Przeszukał całe gospodarstwo, przekopał szafy i szuflady, zajrzał pod materac, do pieca. Zajrzał do spluczki w ubikacji, do doniczek i pod patelnie, do maszynki do mięsa, szukał w szopie z narzędziami, szukał między kiełbasami i szynkami, w bańkach na mleko i w słomie. U maciory i między prosiakami.

Jej dom to czysta rozpacz. Była w nim tysiąc i jedna możliwość ukrycia plastikowej reklamówki z pieniędzmi. Nigdy nie znajdzie tych pieniędzy, nigdy!

A było tu prawie pięknie, z Emmą. Ale samochód wcale sam nie spłonął, to ona musiała go podpalić, bestia jedna. Żeby pomyślał, że pieniądze też się spaliły. Ścierwo. Czy to od niej nauczył się przeklinania? Wściekłości?

W tym momencie jednak siły go opuściły i ledwie dowlókł się na werandę domku kąpielowego, gdzie upadł i zwymiotował. Odgłosy wymiotowania spłoszyły nawet kury. Szybkimi i wielkimi krokami przybiegł kogut. Stanął przy Maksie i nerwowo patrzył, co się dzieje.

Maks wymiotował od góry i robił pod siebie od dołu, bo jednocześnie dostał rozwolnienia. Raz trzymał się barierki, raz zwieszał się przez nią wycieńczony, a płyny fizjologiczne opuszczały go przez wszystkie otwory ciała jednocześnie. Z oczu ciekły łzy, z wysiłku oblewał się potem. Kiedy wymioty i rozwolnienie ustały, Maks leżał zwinięty w kłębek na ziemi w tym wszystkim, co z siebie wydalił. Spazmatycznie łapał ustami powietrze, kompletnie wykończony.

Już nigdzie nie da rady wyjechać, było za późno, nigdzie już nie pojedzie. I co teraz?

Powoli spróbował się podnieść. Nie potrafił ustać na nogach. Na czworakach wydostał się z kałuży swoich nieczystości i dowlókł do sauny, gdzie z najwyższym trudem, walcząc z bólem brzucha, zdjął spodnie i koszulę. Znowu osunął się na ziemię, ale w końcu jakoś udało mu się podnieść i ściągnąć z siebie zanieczyszczone odchodami majtki. A potem, tak jak stał, brudny, padł na swoje posłanie i natychmiast zasnął.

Tak właśnie zastała go Emma po powrocie z miasta. Widziała kał i wymiociny na werandzie, i bardzo przejęła się Maksem. Postanowiła, że nie

posprząta: wiedziała, że potem Maks by się wstydził. Nie chciała mu tego robić.

Cały wieczór i całą noc Maks przeleżał bez ruchu na swoim pościeliu. Wczesnym rankiem kogut zaordynował wszystkim regulaminowe budzenie i akurat w przypadku Maksa mu się powiodło.

Maks doszedł nieco do sił, przynajmniej na tyle, że mógł się umyć i sprzątnąć werandę. Zdjął pościel i schował ją do skrzyni, razem ze swoimi brudnymi rzeczami. Na razie brakło mu sił, żeby je wyprać.

Emma obserwowała wszystko z daleka, widziała każdy ruch w saunie i wokół niej.

Maks znowu leżał w hamaku, choć kompletnie wyczerpany i blady. No i rozczarowany, nadal głęboko rozczarowany. Okradła go i udawała zakochaną!

A jednak był jej wdzięczny, kiedy przyniosła mu ryż na mleku z cynamonem i cukrem. Zobaczyła, że jest strasznie wychudzony.

Tak to jest, jak się nie je mięsa! – zżymała się w duchu. Do Maksa nie odezwała się ani słowem, nie miała odwagi. Czuła, że coś się stało, ale nie wiedziała co.

Ciepła papka dobrze zrobiła mu na żołądek. Cukier go wzmocnił, a zapach cynamonu dodał otuchy.

Potem przespał kilka godzin w hamaku. Emma nie spuszczała z niego oczu, nawet kogut go pilnował. Obydwoje jednak trzymali się na dystans.

Wieczorem Maks włożył wszystkie brudy do pralki, a potem rozwiesił na sznurach. Wciąż nie odzywał się do Emmy. Pił dużo wody i kiedy skończył z praniem, znowu położył się w hamaku. Nogi go paliły, były opuchnięte. Rozmyślał. Emma koniecznie musi mu powiedzieć, gdzie są pieniądze. Tylko ona to wie i musi mu powiedzieć. Po prostu. Ale trzeba wymyślić jakiś

podstęp, inaczej mu się nie uda. Potrzebował teraz kilku dni spokoju i cieszył się, że Emma jest taka troskliwa. I że o nic nie pyta.

We śnie Emmy w powietrzu unosiły się i zmieniały swoje kształty kule; dzieliły się, z każdej robiły się dwie albo trzy, a potem znowu stapiały się w jedną. Kule rozciągały się w długie albo krótkie pasma, znowu wprawiały się w ruch i szybowały swobodnie w nieskończonej błękitnej przestrzeni.

Kiedy kule zderzały się ze sobą, Emma słyszała trudne do wytrzymania odgłosy, tak przeraźliwe, że można się było od tego rozchorować. Ten sen miała od lat, ten o kulach i odgłosach. A teraz, kiedy jej życie stało się takie inne, kiedy był w nim Hans, i było miasto, i był Maks, nagle wyjaśniło się, co to za odgłosy i skąd się brały.

Był to kwik i obrzydliwy dźwięk ostrzonego metalu. Do tego mężczyźni wykrzykujący do siebie jakieś komendy. Słów nie dało się zrozumieć, tylko same dźwięki, rozkazujące, nakazujące, upominające, przeklinające, popędzające.

Miejsce: chlew. Malutkie prosiaczki, bez maciory, bezbronne. Kwiczały w panicznym strachu, uciekały przerażone w kąt. Ale męskie dłonie i tak je chwyciły. Unosiły jednego po drugim za tylne nogi, dokonywały selekcji. Wybierały tylko te z jądrami. Był metal, był zgrzyt, szcęk, tarcie. Ostrzono noże.

Jeden z mężczyzn rozciągał na boki drobniutkie pośladki, jakby rozdzielał połówki soczystej brzoskwini. Drugi łapał jąderka prosiaczka, nie większe od pereł. Wyciągał je z ciała i odcinał. Pierwszy mężczyzna wrzucał zwierzaka z powrotem do boksu. Po małych nóżkach ciekła krew. Nikt nie myślał o znieczuleniu. Nikt nie myślał o zaopatrzeniu rany, niektóre prosiaki zdychały od zakażenia, jeśli się wdało.

Te odgłosy, które przez całe lata dręczyły Emmę we śnie, były mieszaniną kwiku prosiaczków, zgrzytu ostrzonych noży i męskich wrzasków. Koktajl z piekła rodem.

W końcu wróciło też wspomnienie, jak sama siedziała wciśnięta w kąt chlewu, gdzie krwawiły prosiaki. Jej uszy wszystko słyszały. Jej oczy wszystko widziały. Niezauważona przez wrzeszczących mężczyzn, których w końcu rozpoznała: byli to jej ojciec i dziadek.

Po torturze prosiaki wrzucano do niej, na słomę. Krwawiły wykastrowane, kwicząc żałośnie.

Kiedy Emma się obudziła, otrząsnęła się z obrzydzenia na to wspomnienie, jak pies otrząsa się z deszczu. Oszczędzono ją, bo nie miała jąder. Czy to dlatego wypełniało ją teraz poczucie szczęścia? Szczęścia, że nie była chłopcem! Szczęście!

Bardzo długo obawiała się w głębi duszy, że ją też kiedyś tak rzucono na słomę. Może pomyłono ją z prosiaczkiem? W końcu przecież leżała razem z nimi w boksie, chociaż to było zakazane. Czy to możliwe, że jej ojciec miał syna, któremu kiedyś przez nieuwagę wyciął perełki? To, co z niego zostało, to była ona. I to coś żyło dalej. Miało na imię Emma.

Teraz się obudziła i umiała zinterpretować sen. Przez wszystkie te lata dręczyła ją jedna myśl: czy jest naprawdę kobietą, czy tylko kastratem?

W tym śnie jednak, który nareszcie znalazł swoje wyjaśnienie, były nie tylko groza i przerażenie. Emma widzi siebie, jak leży na słomie, oczy ma zamknięte. W jej ramionach, na piersi, żałośnie pokwikują prosiaczki. Szczecinę mają cieniutką i białą, skórę jak marcepan, ryjki miękkie niczym masło, oczka wilgotne, uszka drżące z bólu i strachu.

Jej nigdy nie przyszłoby do głowy kastrować samczyków. Biła je, zanim osiągnęły dojrzałość. Albo eksportowała do Holandii, gdzie wolno sprzedawać

mięso knurów. Było chudsze, ale też bardziej wyraziste w smaku. Kaszanki Emma też nie robiła. Nigdy. Kiedy wreszcie została sama na gospodarstwie, nigdy już nie zanurzała dłoni w ciepłej krwi. Pozwalała jej wsiąkać w ziemię, tak jak nauczył ją Brodziarz.

Następnego ranka świeciło słońce. Po tej osobliwej nocy, z jej snami i ich interpretacjami, wonna i ciepła ziemia nagle stała się dla Emmy siostrą, tak jak była nią i krowa, i wierzba, i łąka. Wszystko wokół niej żeńskie:

– Hej tam, słoneczna kulo, znowu pani dzisiaj rozpalona, co?

Zaśmiała się.

Maks siedział na werandzie i strugał coś z drewna. Dzisiaj już odważy się do niego podejść.

– Piękny dzisiaj dzień, prawda? – spytała.

Nie odpowiedział.

– Co to będzie? – pytała dalej. – Ładnie wygląda.

– Nic – odparł.

A temu co znowu się stało? Ledwie człowiek jako tako pogodzi się ze światem, a mężczyźni zaraz zaczynają mieć humory. Burczą coś pod nosem i żadna kobieta nie jest w stanie zrozumieć, z jakiego powodu. Niespodziewanie Maks zaproponował coś, co w tym momencie kompletnie Emmę zaskoczyło:

– Czy miałabyś coś przeciwko, żebyśmy napalili w saunie? Chętnie bym z niej skorzystał. Tym razem dobrowolnie.

Odczuła ulgę. Więc jednak się odzywa.

– Ależ chętnie, bardzo chętnie. – Zawahała się przez moment. – Słuchaj, czy ty się dobrze czujesz?

– Jak najbardziej.

– Jak człowiek jest chory, to nie powinien korzystać z sauny.

– Nie jestem chory.

– No dobrze, w takim razie napalę. Z miłą chęcią. Nie patrząc na nią, dorzucił:

– A potem przeniosę moje posłanie na werandę.

Można się będzie po saunie położyć i odpocząć. Na świeżym powietrzu.

Odeszła już kawalek, żeby przynieść drewno i chrust, kiedy zawołał jeszcze za nią:

– Mam nadzieję, że też skorzystasz?

Zrobiło jej się nieswojo. Tak wspólnie? Odwróciła się w jego stronę. Maks popatrzył na nią i spytał:

– No, niby o co chodzi?

– No, niby o co chodzi? – powtórzyła niepewnie.

Sauna szybko rozgrzała się do dziewięćdziesięciu stopni. Emma owinęła się wielkim lnianym prześcieradłem, ale on, ten mężczyzna, co się z nim stało? Siedział na najniższym stopniu, na swoim ręczniku, całkiem nagi. Przepiękny i jeszcze szczuplejszy niż pierwszej nocy. Przecież wcześniej tak się nie zachowywał. Przewróciła oczami. Nagle tak zupełnie się zmienił, nic tylko opowiadał i opowiadał. Nie słuchała za dokładnie, co mówi. Coś o samochodach, o silnikach Wankla. A przy okazji, niby niechący położył dłoń na jej kolanie, i tak już zostawił, przez całe jedno zdanie. Emma zrobiła się mokra z wierzchu i od środka!

Bardzo szybko zrobiło mu się za gorąco i koniecznie chciał się ochłodzić. Emma chętnie zostałaby w saunie, chętnie dałaby mu czas, żeby w spokoju i samotnie zanurzył się w strumieniu. Ale Maks jakby nigdy nic wziął ją po prostu za rękę!

– Chodź ze mną. Chodź ze mną do strumienia.

Owinała się szczelnie prześcieradłem, Boże jedyny, co tu zrobić? Nigdy wcześniej nie odczuwała wstydu.

Czy to z powodu tej ostatniej nocy? A może to z jego powodu, że nagle zrobił się taki, jaki się zrobił? Zauważył jej ociąganie.

– No, chodź już. A może się wstydzisz?

– Nie, ja? Dlaczego?

– Nie musisz się czuć zażenowana.

Pociągnął ją za sobą. Podeszedł do śliskiego brzegu. Ochłodził ramiona, nogi i wskoczył do wody. Ona wciąż stała owinięta w prześcieradło.

– Chodź.

Czyżby chciał się przekonać na własne oczy, że jest kobietą?

Nie pozostało jej nic innego, jak tylko pozwolić, żeby prześcieradło zsunęło się na trawę. Bała się, że okaże się nie dość piękna. Szybko wskoczyła do wody i stała w niej po szyję, od razu poczuła się pewniejsza.

Maks zbliżył się do niej powoli, z uśmiechem. Stanął tuż przed nią, ujął jej dłoń i pocałował, tym razem tak naprawdę. Poczula jego miękkie wargi na skórze, była kobietą, prawdziwą kobietą. Wszystko z nią było jak trzeba, a przed sobą miała nagiego mężczyznę, i ten mężczyzna ją całował.

Woda była zimna, ale oni obydwójce zdawali się tego nie odczuwać. Maks wywołał na swej twarzy czarujący uśmiech i skłamał:

– Gdybym miał pieniądze, poszedłbym z tobą na koniec świata.

Jej piersi unosiły się w zimnej wodzie. Maks spojrzał na nie i dotknął ich. Położył dłoń na prawej piersi Emmy i objął ją. Nawet nie musiałby nic więcej robić, bo Emma była już całkiem uległa.

– Ja mam pieniądze – przyznała potulnie.

– O? – Maks udał zdziwienie.

– Bo ja... muszę ci...

Położył jej palec na ustach.

– To teraz nieważne. Powiesz mi potem, dobrze?

Skinęła głową. Wpadła mu w ręce. Zbyt miękko już leżała w jego ramionach. Jej piersi drżały. Maks pogłaskał ją, czule pocałował w policzek.

Wyszli z wody, osuszyli się lnianym prześcieradłem i położyli na werandzie. Zakopali się w kołdry i koce, w których sypiał Maks.

No dobrze, Maks. Dosyć tego. Jak tam miało być z tymi pieniędzmi? Raz zachciało ci się być wyrafinowanym, prawda? Bo tak naprawdę w ogóle cię to nie rusza, prawda?

Emma odwróciła się w jego stronę. Jej piersi wysklepiły się ku niemu. Kragłe, wszystko kragłe. Ramiona, biodra, piersi. Pod tym samym przykryciem, co i on. W tym momencie powrócił do niego obraz, ten idiotyczny szybkowar, który widział w czasie wypadku. Gotował się pod wielkim ciśnieniem, z zaworu wydobywał się syk... Uwaga, gorące!

Czuł jej brzuch, taki miękki. Emma przełożyła nogi przez jego nogi, oplótła go. Ciałem Maksu wstrząsała gorączka, oblewające go wrzątkiem dreszcze. Wszystkie jego „a co będzie jeśli” roztapiały się w tej temperaturze w nicłość. Jaka ona silna. I jaka piękna. Jaka kragła. Ileż ufności kryło się w jej oczach. Ostrożnie zdjęła szybkowar z ognia. Ciśnienie zniknęło, wszystko było już dobrze. Maks zaczął ją całować, wreszcie! Jego ból dyskretnie wycofał się na tę chwilę.

Emma jęknęła. Oto jej marzenia stały się żywym ciałem, prawdziwymi językami i słodką jak cukier śliną. Oblizywała jego usta jak czuła i łapczywa wilczyca. Maks nie wiedział, co się z nim dzieje. Rósł, jego ciało stawało się coraz silniejsze. Mógł już chwycić ją zębami i jeszcze lepiej, bardziej rozlegle całować. Leżała w jego ustach, z pełną ufnością, i wiła się w szczęściu.

W sekundę paznokcie u jego stóp zmieniły się w potężne szpony, z rąk i ramion wyrosły mu pióra, stając się skrzydłami. Twarz zmieniła się w potężny

dziób, niebezpiecznie zakrzywiony i ostry jak nóż. Oczy rozgorzały myśliwską gorączką. Capnął zdobycz i uniósł się, próbując rozpiętości ramion. Mocnymi uderzeniami skrzydeł poderwał się w górę, krążył nad gospodarstwem Emmy, nad dachami domów w wiosce, unosząc ze sobą Emmę. Leciał nad wierzchołkami drzew ku zimnym skałom i wrzucił zdobycz do swego potężnego gniazda. Tam zaczął ją szarpać i rozrywać żywcem, pożerając kawałek po kawałku. Emma tak cudownie smakowała i tak łatwo się ją trawiło. Wypływała wszystkimi porami jego ciała, stwarzając go na nowo, sprawiając, że znowu stał się łagodny. Pod jej czułymi dłońmi i pocałunkami orzeł legł na plecach, zwracając się w jej stronę wrażliwą stroną swego ciała. Jego zakrzywiony dziób się skurczył, Maks zapomniał się całkowicie i bez reszty.

Siedziała na nim, silniejsza od niego, i wzięła go w siebie. Jej brzuch zrobił się ciepły i wypełnił się, zupełnie, jakby najadła się ciepłych wafli ledwo zdjętych z blachy, ze świeżą bitą śmietaną na wierzchu.

Setka czekoladek była niczym wobec tego, czego doświadczała, a weckewerk to była głodowa dieta.

- A co do pieniędzy...
- ...nic mnie to nie obchodzi.
- Wzięłam je.
- Wiem, to też mnie nie obchodzi.

Maksa na tym sianie nic nie obchodziło, nawet sowy już się nie bał. W zimnym pomieszczeniu ubojowym nic go nie obchodziło, w letniej wciąż jeszcze saunie, na werandzie pod gwieździstym niebem, nic go nie obchodziło w łóżku Emmy też.

Emma opowiedziała Maksowi o wróblach, które dziadek roztrzaskiwał o ścianę. Człowiek, drugi człowiek, niebędący dzieckiem tego gospodarstwa, słuchał jej i przeklinał starego.

– Ty nie jesteś wróblem, Emmo. Ty żyjesz, a on nie.

Człowiek. Nie wymyślony, nie śniony. Prawdziwy, rzeczywisty człowiek, taki co ma skórę i kości, włosy, pot, oddech, ciepło. Emma miała wrażenie, jakby stapiała się z Maksem. Była tak samotna, że piekło ją w gardle przy każdym słowie skierowanym do zwierząt, do roślin. A teraz leżała na sianie, Maks trzymał ją w ramionach, a ona opowiadała i opowiadała, i nie mogła skończyć. Paplała niepowstrzymanie o dwóch bambaryłach, które przez cały długi dzień ciężko harowały w polu, a potem musiały wrócić pieszo do wsi. Była to stara historia, po tysiącokroć opowiadana w tej okolicy.

Emma zawsze tylko słuchała, teraz wreszcie mogła sama się wygadać:

– Jedna z nich była mała, wesola i gruba, a druga wielka, rozłożysta, wesola i gruba. Kiedy tak szły polną drogą, wielka zaproponowała, żeby poszły na skrót przez łąkę. Mała jednak trochę się wahała, bo na łące stał byk i gniewnie grzebał kopytem na podwyższeniu pod wielkim bukiem. „A co będzie, jak on podejdzie?” – spytała z przestachem, pokazując zwierzę. „Ależ skąd, na pewno nie podejdzie” – uspokajała druga, uniosła drut kolczasty i przecisnęła się na drugą stronę. Mała za nią.

Byk nie spuszczał z nich oka. Podnosił i opuszczał prawe kopyto.

„Ojej, ja się boję” – poskarżyła się mała. „Zupełnie niepotrzebnie, przecież jestem przy tobie”. Mała jednak nie dawała za wygraną. „Chodź, chodź! – błagała. – Lepiej wróćmy za ogrodzenie”. „On ci nic nie zrobi, nie masz się co martwić”. W tym momencie byk zaczął kołysać swoim ciężkim ciałem. „O, nie!” – krzyknęła mała przerażona, trochę za głośno. Byk ruszył przed siebie. Najpierw powoli, potem coraz szybciej zaczął biec po łąkę w stronę obu kobiet. Wtedy przeraziła się nawet wielka bambaryła. Mała widziała już w myślach, jak wbijają się w nią ostre rogi, i zaczęła wrzeszczeć. Uciekała

tak szybko, jak pozwalało jej na to niewysokie, grube ciało, i wołała: „Uciekaj! Byk się zbliża, uciekaj!”.

Ale gruba odpowiedziała tylko: „Ani mi się chce uciekać przed byle bykiem. Wolę mieć cielątko niż zawał”.

Maks i Emma zarykiwali się z pointy i Maks drażnił się z Emmą określeniem „bambaryła”.

Nagle Emma znowu spoważniała i uniosła głowę:

– A co do pieniędzy...

– Emmo!

– Hans o tym wie, ale już ich nie potrzebuje.

– ...nie obchodzi mnie to.

Znowu złożyła głowę na piersi Maksa, wwiercała się nosem w zgięcie jego ramienia, zakopała się całkiem w to miejsce, wciągając głęboko w nozdrza jego woń.

Emma i Maks sycili się każdą chwilą, żadna nigdy nie była bardziej czuła, bardziej smakowita: jedzenie, kochanie się, milczenie, rozmawianie, spoglądanie w niebo, mówienie, milczenie, kochanie się, spanie, jedzenie.

– Słuchaj, Emmo, lubisz coq au vin?

– Czy to coś nieprzyzwoitego?

– Nie – zaśmiał się Maks. – To kura gotowana w winie.

– Aha, coś do jedzenia. Kurę lubię, ale zawsze gotuję w wodzie. W winie nikt tu nie gotuje.

– A chciałabyś spróbować?

– Bardzo chętnie, przygotuję co trzeba. A czego potrzebujesz?

– Wino i kurę.

Po raz drugi Emma pojechała do miasta. Wzięła ze sobą wielką szynkę i pięćdziesiąt kielbas. Ale nie tych z dolarowymi cygarami, tylko takich, które

były już wystarczająco obsuszone na powietrzu, żeby nadawały się na sprzedaż.

Zaparkowała pod sklepem elektrycznym i wtaszczyła do środka swoje towary. Narady i targi, w końcu wymieniła wszystko na używaną wieżę stereo i trzy kompakty Haendla. Oprócz tego zażądała trochę gotówki i kupiła za nią wino.

Kiedy wróciła, zadbała o kure. Maks siedział akurat między grządkami w ogrodzie, kiedy usłyszał trzepot skrzydeł i odgłosy pogoni. Za późno. Co on najlepszego zrobił!

Emma właśnie złapała jedną z kur i trzymała ją za łapy, głową w dół. Z krótką siekierką w prawej ręce stanęła przy drewnianym pieńku, wzięła mocny zamach i walnęła kurę obuszkim w głowę, żeby ją ogłuszyć.

Maks chciał krzyknąć, ale krzyk uwiązł mu w gardle, a on sam zmartwił i nie mógł się nawet ruszyć. Wcale tego nie chciał! Emma położyła szyję kury na pieńku i jednym uderzeniem zręcznie odcięła łeb, który potoczył się na ziemię.

Maks z przerażeniem zobaczył, jak kura wyrywa się Emmie z ręki. Pozbawiony głowy ptak szarpał się tak mocno, że Emma puściła jego łapy. Kura, podskakując, zaczęła biec na oślep w stronę Maksa, zupełnie jakby chciała zadać mu pytanie: „Czemu mi to zrobiłeś? Czemu akurat coq au vin?”.

Wreszcie drgawki ustały i bezgłowy korpus spoczął nieruchomo na ziemi.

Maks podbiegł do Emmy długim krokiem, tak jak to zwykle robił jej kogut:

– Co ty wyprawiasz...?! Kto ci w ogóle... to straszne, ja nie chcę mieć z tym nic, ale to nic wspólnego, rozumiesz?! Nic! Jestem niewinny!

Emma patrzyła na niego zdumiona, przekrzywiając lekko głowę.

- No przecież chciałeś kureę?
- Ale nie żebyś od razu ucinała jej głowę!
- Miałeś zamiar gotować ją razem z głową?!
- Boże jedyny!
- Chciałeś włożyć do wina żywą kureę z piórami?!
- Nie, nic z tych rzeczy. Chciałem porządną kureę, taką z supermarketu.

Albo jeszcze lepiej, zapakowaną w plastik i zamrożoną.

Pochlapana kurzą krwią Emma podparła się rękami pod boki i podeszła do niego:

– A ty myślisz, że taka kura jak się tam dostaje? Do sklepu? Do zamrażarki? Popęlnia samobójstwo?

– Ale przecież nie trzeba od razu tak krwawo...

Maks dawno już pojął, że Emma ma rację. Najpierw musiało stać się to straszne, jeśli człowiek chciał potem wykwintnie spożyć coq au vin.

– Emmo, ja nie jestem do tego przyzwyczajony, najpierw patrzeć, jak te wszystkie urocze zwierzątka sobie... a potem... – Przyłożył kant dłoni do szyi i zrobił gest podrzynania gardła. – Ciach, bez głowy, bez szyi, rozpruć brzuch, wywalić flaki. Okropne.

– Tak to właśnie jest – oznajmiła Emma lakonicznie. – Każdy kawałek mięsa miał kiedyś swoją twarz. Kto chce mięsa, godzi się na śmierć. Kto nie chce, ten daje sobie spokój. Najwyżej będzie znowu ratatuja.

Maks jednak chciał zjeść coq au vin, dlatego dzielnie przyglądał się, co się będzie dalej działo z kurą. Emma trzymała ją za łapy kikutem szyi do dołu i tak zanurzyła we wrzątku.

Skóra zmiękła, poluzowało się pierze.

Śmierdziało okropnie. Potem Emma zaczęła obdzierać kurę z piór. Maks też spróbował. Chciał sam poczuć, jak mocno tkwią takie pióra. Wyrwał jedno czy dwa, końcami palców, i dał sobie spokój. Czuł tylko obrzydzenie.

Potem zwierzę zostało obmyte i położone na stole. Emma rozcięła kurzy brzuch. Jej dłoń wsunęła się do wnętrza i wydobyla wnętrzności. Serce było całkiem małe, wątroba śmiechu warta, woreczek żółciowy zielonkawy.

– A gdzie jest trzustka? – spytał.

– Ty ciągle z tą swoją trzustką – zaśmiała się. – Jest o wiele za mała, nigdy jeszcze jej u kury nie widziałam.

W środku kury były też jajka. Nie jedno, naprawdę sporo. Całkiem duże było tuż przy odbycie, z przezroczystą błonką naokoło, tylko bez skorupki. Za nim takie z błonką i żółtkiem, ale bez białka. A jeszcze dalej takie z małym żółtkiem, a za nim z maluteńkim żółtkiem. Wszystkie znajdowały się już w ciele, gotowe rosnąć. Po raz pierwszy Maks widział historię rozwoju kurzego jajka.

W końcu kura wyglądała już tak, jak ta ze sklepu. Taką umiał już przyrządzić. Jego *coq au vin* udał się *tres bien*.

W tym czasie Emma wypakowała wieżę i dumnie puściła Haendla. Maks był przeszczęśliwy.

Potem obydwójce usiedli na grubym konarze wielkiego kasztana na podwórku i majtali nogami. Zielone, kolczaste owoce zwisały ciężko wśród liści, czekając nadejścia jesieni. Ciekawe, co szybciej znajdzie się na ziemi, kasztany czy on? Maks odczuwał ulgę, słysząc beztroską paplaninę Emmy.

– Jako dziecko codziennie tutaj siedziałam i patrzyłam na kury. Każda miała swoje miejsce. Nie ustalały tego między sobą, tylko wedle tego, jak często którą kurę brał kogut. Ta brana najczęściej dostaje najlepsze jedzenie, jako pierwsza podchodzi do miski z karmą i poidła.

Maks zafascynowany słuchał jej opowieści. Emma wskazała na jedną z kur.

– Ta tutaj to najważniejsza kwoka w państwie. Można ją poznać po najwspanialszym upierzeniu. Wszystko dlatego, że dostaje najlepsze jedzenie, że jest z siebie dumna i dlatego chodzi taka wyprostowana.

Widać to też po łysym miejscu na karku. To tam kogut przytrzymuje się dziobem, żeby utrzymać równowagę, kiedy bierze ją od tyłu. Przy tej okazji wrywa jej z tego miejsca pierze. Im bardziej łyse jest to miejsce, tym częściej się do niej zabiera. Tylko kogut może przesunąć ją wyżej w hierarchii. Dzięki temu radośnie znosi jajka, w niektóre dni nawet dwa.

Najnędzniejsza kura wygląda dokładnie odwrotnie: skąpe, matowe upierzenie, miejscami niemal łysa. Ale za to z pierzem na karku. O, ta, widzisz? Ta tam.

Maks ją zobaczył.

– Taka kura jest zestresowana i sfrustrowana i przez to prawie wcale się nie niesie. Kogut skazuje ją na rosół. To on daje sygnał do jej śmierci, nie ja.

Od tej pory Maks całymi godzinami i dniami przesiadywał na drzewie, obserwując kury. Pierwsza kura w państwie miała dumny, miękki i pewny chód. Nadymała się i obnosiła po podwórku, zwłaszcza bezpośrednio po akcie.

Kiedy zbliżała się dumnym krokiem, ta wyłysiała musiała się śpieszyć, żeby ustąpić jej miejsca, oddać robaka. Kury w całej gromadzie zawsze opowiadały się po którejś stronie, przeważnie po stronie tej silniejszej. Jeśli któraś wstawiła się za słabszą, sama trafiała na margines, była degradowana.

Pewnego dnia druga kura w państwie zebrała się na odwagę, żeby zagrozić pierwszej. Młoda kura zalotnie ruszyła w stronę koguta, bezwstydnie ofiarowując swe wdzięki, zdzira jedna. Kogut nie musiał nawet robić obchodu, brał sobie tę podkładającą mu się kurę kilka razy w ciągu dnia. Stara została

wyparta i cierpiała katusze. Ale kogut po prostu nie miał dość siły, żeby zaspokajać zarówno nową, jak i starą miłość. Inne kury w państwie szybko to zauważyły. Zaczęły ignorować dotychczasową królową, a niedługo potem po prostu przepędzać ją od miski, od koryt. Nawet członkinie jej dotychczasowego orszaku dziobały ją, żeby ją odpędzić. W ciągu zaledwie tygodnia kura doszła do kresu. Kilka najwierniejszych razem z nią. Za to te, które przyłączyły się do nowej pierwszej damy, awansowały razem z tą dziwką, która została teraz królową.

Tak długo, jak trwała walka o władzę, ani jedna kura nie zniosła jajka. Dopiero kiedy na nowo ustaliła się hierarchia, powróciła codzienność i w kurzym państwie zapanował spokój.

Już wkrótce Maks, jak prawdziwy chłop, wiedział, która z kur najlepiej będzie się nadawała na następne coq au vin.

Emma już dawno odkryła, że ludzie bardzo przypominają kury i droczyła się z Maksem:

– Tłusta piekarczowa z łysym miejscem na karku znowu jest w ciąży. Za to chuda niezameżna Emma: mięsko na zupkę, mięsko na zupkę.

– Tak, moja kurko – przytakiwał Maks i podchodził, gdacząc, żeby ugryźć ją delikatnie w kark. – To co mam z tobą zrobić, upiec cię czy uszczęśliwić, jak tłustą kurę?

– Och, tak, proszę, wyrwij mi parę piórek – gruchała kurka, czego Maks nie dawał sobie dwa razy powtarzać, z tym, że robił to łagodniej i lepiej niż kogut.

Kiedy potem leżeli bez ruchu obok siebie, Maks nasłuchiwał. I po raz pierwszy w życiu usłyszał ciszę. Nic, tylko cisza. Ze zdumieniem zauważył, że przedtem zawsze coś słyszał. Wycie syren, burzę, młoty pneumatyczne, płacz,

pociąg pośpieszny, lądowanie samolotu, wściekle wrzaski na piłkarskich stadionach. Wszystko naraz.

Nigdy nie uświadamiał sobie swoich wysiłków, by wszystkie te odgłosy jakoś wytrzymać, znieść i przyporządkować. Hałas dławił go i nim wstrząsał. Czterdzieści razy Maks obchodził Boże Narodzenie, a nigdy dotąd nie przeżył prawdziwej cichej nocy.

Emma leżała w jego ramionach, złana potem, zaspokojona. I była woń, jakiej nigdy poza tym się nie czuje. Słodkawa, ciężka. I była cisza. Maks odetchnął głęboko i uśmiechnął się.

– No co? – spytała Emma.

Spojrzał na nią, znowu się uśmiechnął:

– Jestem szczęśliwy, bardzo.

– Ach – westchnęła Emma i pogładziła go po twarzy.

Wskazał małe sinawe i czerwone plamy na jej skórze i spytał:

– To ja?

Pokręciła przecząco głową.

– Nie, nie, to różyca. Mają rzeźnicy, kucharze, sprzedawcy dziczyzny.

Choroba zawodowa. Przenoszona przez świnie.

– To boli?

– Nie, tylko trochę piecze i swędzi.

– Bardzo przeszkadza?

– Nie, nie. I nie jest zaraźliwa. Tak mi się wydaje.

Zamilkła na chwilę, a potem spytała:

– Maks?

– Yhm?

Usiadła, wzięła jego dłoń w swoją i spytała:

– A co jest z tobą?

- A co ma być?
- Tobie coś jest, prawda? Jesteś chory.

Pokręcił przecząco głową.

- Tak strasznie wychudłeś, czuję twoje kości.
- Zawsze byłem chudy, nie ma się czym martwić.
- Nie chciałbyś poradzić się lekarza?

Pokręcił przecząco głową i milczał.

Ale ona wiedziała swoje. Nauczyła się wyczuwać u swoich zwierząt najmniejsze oznaki choroby. Wyleczyć dawało się je albo we wczesnym stadium, albo w ogóle. Świnie zarażały się nawzajem i choćby dlatego musiała uważać. W razie konieczności można było taką świnie zarznąć, zanim zdechła z choroby. Wtedy przynajmniej mięso było uratowane. Obserwowała Maksa: raz cierpiał na zaparcia, raz na biegunki. Nogi miał opuchnięte. Męczyły go wiatry. Białka oczu miał żółte. Zauważyła, że jego wątroba niemalże nie pracuje, a przecież prawie wcale nie pił alkoholu, więc musiało to być coś innego, znacznie gorszego.

Kiedy dotykała jego brzucha, bolało go. Jadł niewiele. Jej kielbasy czy masło, wszystko, co tłuste, odrzucało go, widocznie nie mógł tego strawić. Wciąż jednak uważał, że musi przed nią udawać. Nie wyprowadzała go z błędu. Miała go i cieszyła się każdym dniem, który u niej spędzał.

Posiadała pewną rzadką zdolność: umiała zostawiać w spokoju, uszanować wolę drugiej osoby.

Maks leżał w łóżku Emmy, okno było otwarte, jesienne słońce sprawiało, że liście kasztanów błyszcząły. Nad łóżkiem tańczyły muchy. To było pierwsze, co zobaczył u Emmy, kiedy otworzył oczy wtedy. Po wypadku. Muchy bawiły się wciąż tak samo. W ciągu tego czasu, w ciągu tych niewielu tygodni, w jego życiu wydarzyło się wszystko, dla czego warto żyć.

Co za szczęście, że wtedy przeżył ten wypadek.

– Czemu właściwie muchy bawią się tak, jak się bawią? – spytał.

– Ja też lubię się im przyglądać. Może to tylko tak dla przyjemności? Nie mam pojęcia.

– Koniecznie musimy się kiedyś pobawić w berka, my dwoje, ty i ja – powiedział Maks i zamilkł. Przedłużyć, pomyślał, przedłużyć to wszystko aż na wieczność, a jednocześnie wiedział, że to niemożliwe.

Kogut przestał mówić. Prezenter telewizyjny tylko prowadził program, nic więcej. Kruk odleciał. Motorower przestał być potrzebny.

Z trudem dało się umyć maszynkę do mięsa, kiełbaśnica się zacinała, drewniane koryto przeciekało. Noże były tępe, gdzie się podziewa ten Flachsmeier? Za młodych lat miał włoską ukochaną, Laurę. Chciał się z nią żenić. Ale ona w czasie górskiej wędrowki runęła w przepaść. Po prostu wpadła w objęcia śmierci, po śniadaniu, był maj.

Emma sama naostrzyła noże, ale jakoś bez napędu, bez żadnej radości. Od wielu dni Maks siedział w chlewie i zajmował się świniami. Najbardziej lubił tę z czarnymi plamami na grzbiecie.

Dzisiaj na nią właśnie przyszła kolej.

– Chyba nie mówisz poważnie? – biadał Maks. – Przecież ona jest taka słodziutka! Jak możesz ją zarżnąć?!

– Jak to „jak”? Nożem, oczywiście!

Akurat z tą świnią stał często przy płocie i zwierzę z rozkoszą czochrało się o sztachety, zawsze grzbietem do góry i do dołu, i do góry i do dołu. A jak wtedy patrzyła! Aż przewracała oczami z rozkoszy.

– Taka słodka świnka, ona przecież kocha życie. Weź inną.

– No, dobra – zgodziła się Emma. – Postaram się znaleźć inną.

I wybrała taką z zagiętym uchem. Ale na tę Maks też nie chciał się zgodzić, bo z nią właśnie był nad strumieniem, kiedy przyszła się tam solidnie uświnić. Zwierzę z taką rozkoszą położyło się w błocku na brzegu, taplało się i przewalało. Potem, między dwiema kąpielami błotnymi świni, Maks też odważył się wejść w miękki szlam i nałożył go sobie na łydki, a nawet powcierał. W błocie były drobniutkie ziarenka piasku, które bardzo przyjemnie masowały skórę. Początkowo odważył się zabrudzić tylko podudzia, ale w końcu naprawdę wysmarował miękkim ciepłym błotem całe ciało i śmiał się przy tym na cały głos. Emma krzyknęła do niego:

– Ty stary wieprzu jeden!

Świnia czekała, aż błoto na jej skórze wyschnie w słońcu. Maks po błotnym szaleństwie umył się w strumieniu. Obydwoje poczuli się jak brat i siostra, w dodatku czysti i orzeźwieni.

– Czemu akurat ta z zagiętym uchem? Tylko dlatego, że ją lubię, tak?

– W ten sposób zarabiam pieniądze – wyjaśniła Emma zaczepnie.

– To rób co innego, w końcu możesz przecież, możesz...

– No? Co takiego mogę?

– Możesz przecież... szydełkować! Możesz robić szydełkiem obrusy, inne kobiety też tak robią.

– Szydełkować?! Buee! – wykrzyknęła z obrzydzeniem.

Dzielnie ujęła w dłonie nóż i zwabiła za sobą świnię z czarnymi plamami na podwórko, pod wyciągarke. Świnia pobięła za nią ochoczo.

– Nie idź, nie idź! – ostrzegł ją Maks, ale świnia truchtała dalej.

Wtedy Maks naskoczył na Emmę:

– Nadużywasz zaufania, jakie ci okazują!

Emma jednak zaparła się, pozostała rzeźniczką. Maks odszedł, byle dalej, na pola.

Emma jednak musiała pracować, żeby żyć, żeby wyżywić ich oboje. Dlatego zrobiła to, co zawsze robiła. Głaskała zwierzę, opowiadała mu różne historie. Dokładała wszelkich starań, ale coś się już zmieniło. Nie potrafiła podnieść noża.

Puściła świnie wolno. Zwierzę radośnie podreptało z powrotem na łąkę i położyło się w kałuży.

Maks znalazł Emmę na sianie. Wyglądała na przybitą. Wziął ją w ramiona i poprosił o wybaczenie.

– I słusznie – skwitowała.

Ale wiedziała, że właśnie straciła zawód.

– Poproszę starą maciorę do barierki dla świadków – zarządził najwyższy sędzia, dodając swojej prośbie mocy urzędowej poprzez trzykrotne uderzenie drewnianym młotkiem w stół. Impet tego ruchu sprawił, że z zatechłej peruki dostojnego urzędnika posypał się biały puder. Garbaty woźny sądowy otworzył ciężkie drzwi sali i stara maciora weszła z korytarza do środka, kołysząc się na szeroko rozstawionych krótkich nóżkach. Zwróciła na pomrukujących widzów małe oczka, ginące w tłustych fałdach. Sami mięsożercy, ci, co się na nią gapili. Nie znała tu nikogo.

Powlokła się dalej przed siebie. Jej tłuste brzuszysko ciągnęło się po popękanych deskach podłogi, sutki zwisały puste i bezużyteczne. Jeden był napuchnięty i zainfekowany. Gdy tylko dotykał podłogi, maciora wstrząsała się z bólu. W takim momencie dygotały ostatnie starcze włosy szczeciny na jej tłustym ciele.

Właśnie znalazła się na jednej wysokości z oskarżoną, siedzącą ze spuszczoną głową. Stara maciora zatrzymała się, odwróciła majestatycznie w bok i poszukała jej wzroku. Oskarżona jednak zakryła twarz dłońmi i jakby zapadła się w sobie; spomiędzy palców ciekły łzy.

Stara maciora zachrumkała do niej przyjaźnie, zanim, dysząc ciężko, potoczyła się dalej, przed oblicze sędziego.

– ...i tylko prawdę?

– Tak mi dopomóż Bóg – wydyszała maciora astmatycznie.

I zaraz dodała:

– Bardzo proszę o pozwolenie na odmowę składania zeznań.

– Nie udzielamy takiego pozwolenia, szanowna pani macioro.

W głosie sędziego pobrzmiwał wyniosły ton.

– Chyba że złoży pani wiarygodne zapewnienie, że – tu sędzia się zawahał i uśmiechnął szyderczo – nie jest w żaden sposób spokrewniona ani spowinowacona z oskarżoną.

Cóż za absurd! Wśród widzów wybuchła wrzawa! Dudnienie drewnianego sędziowskiego młotka upomniało mięsożerców, że mają zachować spokój, chociaż przecież sędzia sam ich prowokował. Ten sędzia nie był sprawiedliwy, maciora wiedziała to już na pewno.

A jego młotek był za głośny jak dla maciory. Publiczność posłusznie zareagowała na stukanie i uspokoiła się. Dla maciory jednak ostre dźwięki były nie do zniesienia, przenikały przez uszy wprost do mózgu. Świnia nie może udawać głuchej. Każdy wysoki lub ostry dźwięk, każdy nagły odgłos, każdy syk powietrza doprowadza zwierzę do szaleństwa.

Oskarżona wiedziała o tym wszystkim, bo dobrze maciorę знаła. Ze współczuciem zwróciła wreszcie twarz do maciory, doskonale rozumiała, czemu staruszka mimo udreki robi dobry ryjek do złej gry.

Sędzia natomiast nic nie rozumiał.

– Jakie stosunki łączyły panią z oskarżoną?

– Byłyśmy sobie bardzo bliskie. – Głos maciory był cichy, błagał o ciszę.

– Co to znaczy „bliskie”?

- Zależało nam na sobie.
- Jak to rozumieć?
- Przyciskałyśmy się mocno.
- Przyciskałyście się czym?

Macióra przyjrzała się uważnie sędziemu. Czy ten tam, na górze, naprawdę nic nie rozumie?

– Grzbietami się przyciskałyśmy do siebie, bokami, brzuchem. W zależności od tego, jak się leżało.

I znowu publiczność wybuchnęła wrzawą. I znowu drewniany młotek zaczął walić prosto w świński mózg.

Wrogowie! – pomyślała macióra. – Ci wszyscy tutaj, to najgorsi wrogowie, nic tylko stukają i hałasują. To ta tłuszcza powinna zasiąść na ławie oskarżonych.

Od tej chwili macióra przestała chrumkać i odpowiadać na jakiegokolwiek pytania. Zwyczajnie i po prostu odmówiła składania zeznań.

Sędzia zagroził aresztem prewencyjnym, jeśli macióra nie złoży wreszcie rozsądnego i obszernego zeznania.

Macióra jednak trwała w uporze. Wtedy sędzia nakazał woźnym sądowym wyprowadzenie jej z sali. Mężczyźni zawiązali na szyi tłustej maciory brudny powróż, zaczęli ją dławić, szarpać, chcieli wyciągnąć z sali i wtrącić do lochu.

Macióra zaparła się wyprostowanymi przednimi nogami jak uparty osioł. Kwiczała ze strachu. Mężczyźni ciągnęli, byli silni jak konie. Oskarżona nie mogła dłużej na to patrzeć.

W znajomy sposób cicho mlasnęła językiem. W ogólnym hałasie nikt nie mógł tego słyszeć, tylko macióra. Spojrzała w tamtą stronę i oskarżona kiwnęła do niej głową. Wtedy macióra zawołała ostatkiem sił:

– Będę mówić, będę mówić!

Sędzia dał znak, żeby przyprowadzić maciorę z powrotem przed jego oblicze, ale nie zdejmować jej z szyi powrozu. Jeden z woźnych został przy niej i trzymał jego koniec.

I stara maciora zeznała:

– Miałam wtedy osiem prosiaków, żadnych martwych płodów, wszystkie udane i tłusciutkie. Tydzień po urodzeniu miotu do boksu wpadło mi dziewięte prosię. Spadło tak po prostu, z góry, przez otwór w suficie, skąd zwykle spadała słoma! Był zimny, skomlał. Pomyślałam sobie, cholera jasna! Zagryź je, zdeptaj, czego ta znajda tu szuka? Ale wtedy ono mnie dotknęło. Chwyciło się mnie mocno. No to na początek się położyłam i pomyślałam, no nic, zobaczymy. I ono się też położyło, razem z moimi ośmioma. Przycisnęło się do mnie, tak mocno i przyjemnie. I ogrzało przy mnie.

Sędzia milczał, widzowie milczeli, wreszcie zamilkł też młotek.

– Gdyby nie to, na pewno by zdechło, takie było zimne. Potem odważyło się nawet przyssać do moich sutków i piło łapczywie. Było jeszcze bardziej głodne niż pozostałe!

W tym momencie stara maciora uśmiechnęła się, wspomnienie tego ssania sprawiło, że rozpromieniła się, jak rozpromieniłyby się każda dumna matka.

– No i tak już zostało. Zawsze ten sam sutek. To ten, który teraz...

Maciora zamilkła. Chciała powiedzieć: to ten, który wciąż jeszcze ropieje. Który do dziś sprawia mi taki ból.

Ale przecież matka da wszystko. Matka nie narzeka, tylko cierpi w milczeniu. Dlatego stara maciora urwała w pół zdania i resztę przełknęła.

– Było całkiem inne niż reszta. Odchodziło na noc i wracało następnego dnia. Moje osiem się tuczyło, a dziewiąte nie. Jadło więcej od innych, ale się nie tuczyło! Pomyślałam, że pewnie zdechnie kiedyś tam. Ale ono żyło.

Inne mi pozabierali, za każdym razem przeżywałam piekielne męczarnie żalu. A wtedy ono mnie pocieszało. Znowu miałam małe, ono ssało razem z nimi. Potem jadło z koryta, tak jak i ja. Rosło tylko troszkę, nigdy się nie utuczyło. Nigdy go nikt nie zabrał, zawsze tylko tamte.

Sędzia nie zrozumiał, zmarszczył czoło i spytał:

– A co prosię, które przy pani zostało, ma wspólnego z oskarżoną?

Thusta maciora przekrzywiła trochę łeb, spojrzała dobrodusznie na sędziego i odrzekła:

– No, zaraz! Nie rozumie pan? To ona była tym dziewiątym prosiakiem!

Publiczność wciąż jeszcze nic nie rozumiała. W tylnych rzędach rozległy się nerwowe szepty: Co ta maciora mówi? Co ona powiedziała?

Sędzia pochylił się do przodu i spojrzał surowo w oczy maciory:

– Oskarżona nie jest świnią, tylko człowiekiem.

– No i co z tego? – oburzyła się świnią. – Może i wygląda jak człowiek, ale była jednym z moich dzieci. Karmiłam ją, żywiłam, pocieszałam, kochałam i wychowywałam.

– Znaczy, jak prosiaka?

– Jak moje dzieci, tak.

W głosie sędziego pojawił się sarkastyczny ton:

– Czyli że nie ma pani żalu do swojego dziewiątego prosięcia?

– Ja? A dlaczego akurat ja? Nie.

– Jest oskarżona o morderstwo.

– To śmieszne! Kogo niby miałyby zamordować?

– To ona mordowała prosięta, które pani rodziła. Jest oskarżona o własnoręczne zakłucie ich nożem. I to z premedytacją, pozwalam sobie zauważyć.

Macióra pokręciła łbem.

– Jest również obwiniona o zjedzenie ich zwłok!

Publiczność rozkoszowała się tym skandalem, ale sędzia jeszcze nie skończył:

– To ona podcięła gardła wszystkim prosiakom z pani miotów, a pani jest taka spokojna?

Macióra oświadczyła:

– Ale tylko po to, aby w ciepły i przepelniony miłością sposób zakończyć nasz żywot. Ona wcale nie mordowała, prowadząc nóż pewną ręką, tylko dopełniała całości!

Ręka sędziego gwałtownym ruchem wystrzeliła w kierunku maciory, palec wskazujący celował w nią jak oszczep:

– A więc jednak przecinała gardła?

– Ależ oczywiście.

– Nożem?

– Bardzo łagodnie, był bardzo ostry, wszystko bez bólu.

– Zbrodnia została dowiedziona! – wykrzyknął sędzia. – Oskarżona dźgała nożem, jest zeznanie.

Młotek znowu brutalnie i głośno walnął w stół.

– Winna zarzucanego jej czynu!

Zdezorientowana stara macióra szukała wzroku oskarżonej. Powróż uniemożliwiał jej odwrócenie się.

– W imieniu narodu ogłaszam następujący wyrok...

Publiczność szalała:

- Rzucić ją świniom na pożarcie!
- Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie!
- Oko za oko, ząb za ząb!

Sędzia dalej walił młotkiem w stół, teraz nie przestawał już ani na chwilę. Stara maciora wpadła od tego w szal. Zaczęła się rzucać, kwiczeć, łamała ławki i stoły, leciały drzazgi, ranni krwawili, przybiegli woźni sądowi, związali oszalą, skrepowali ją powrozami i wywlekli. Maciora kwiczała ze strachu.

Emma obudziła się, złana potem. Czuła się tak, jakby otworzyły się przed nią drzwi do nowego pomieszczenia. Jakby nareszcie wróciło coś, o czym zapomniała, co zawsze miała na końcu języka, ale co nigdy nie chciało jej przejść przez usta.

Było to tak potworne, napępniało ją teraz, o świcie, takim przerażeniem, a jednocześnie szczęściem, że bardzo się cieszyła, że w tym momencie nie jest sama. Cieszyła się, że on leży przy niej. Przywarła ciałem do śpiącego jeszcze Maksa. Wtuliła się w jego plecy, rękami gładziła klatkę piersiową, na której też były drobne włoski, męskie włoski. W tym przytuleniu, dającym ciepłe poczucie bezpieczeństwa, Emma raz jeszcze pozwoliła sennym obrazom przesunąć się przed jej oczami.

Maks się przebudził.

- Co tam? Nie możesz spać? – spytał.
- Miałam sen.
- Jakiś niedobry?
- Nie. Sama jeszcze nie wiem.
- Opowiedz mi, chętnie wysłucham.
- Kiedyś, jeszcze jako dziecko, wpadłam do chlewu. Byłam bardzo mała, ledwie umiałam chodzić. Tak jak niedawno ty, spadłam ze stryszku przez otwór w podłodze, prosto do boksu maciory. Ona właśnie niedawno urodziła

małe. To bardzo niebezpieczne, bo taka maciora już przy swoich ośmiu jest na skraju wyczerpania. Kompletnie nieobliczalna.

– To właśnie ci się śniło?

– Tak. Chociaż nie, to się zdarzyło naprawdę. Pamiętałam, że spadłam przez otwór w podłodze, ale nie pamiętałam, że nikt się nie zainteresował, gdzie się podziewam. Nikt mnie nie szukał.

Emma pokręciła głową; przypomniała sobie teraz wszystko bardzo dokładnie. Nawet leżała z innymi prosiakami przy maciorze.

Popatrzyła na Maksa z przestachem:

– Piłam świńskie mleko! Czy to nie okropne?

Maks nie widział w tym nic szczególnego.

– Niektórzy piją kobyle mleko, inni jedzą żabie udka, oślizłe ślimaki albo wysysają żywe ostrygi.

Emma przesunęła palcami po policzkach, po czole. Wielka maciora trzymała łeb tuż nad jej twarzą. Szorstkim, sztywnym językiem oblizywała twarz Emmy. Tak właśnie było, i było to cudowne.

Zdarzyło się to nie tylko ten jeden raz, kiedy Emma wpadła do chlewu i bardzo płakała, ale działo się przez długi, bardzo długi czas. Zawsze kiedy Emma płakała, maciora zlizywała jej łzy.

Emma leżała przytulona do pleców Maksa i wspominała. Nigdy nie zaznała innego pocieszenia. Tak wiele, i tak niewiele zarazem. Kiedy musiała uciekać, kiedy musiała się wyplakać, zawsze kryła się u maciory w chlewie.

Emma płakała, ponieważ ją bito. Po twarzy, po głowie, chochlą, wieszakiem, po ramionach, po plecach, po gołej dziecięcej pupie. Tak mocno, aż łamało się to, czym ją bito. Tak długo, aż skóra płonęła czerwono.

Płakała, kiedy się z niej wyśmiewano.

Kiedy ją poparżono wrzątkiem.

Wystawiano na mróz.

Przypalano.

Szczypano.

Wyrywano ze snu.

Napastowano w ubikacji.

Ciągnięto po ziemi za włosy.

Kiedy kopały ją skórzane oficerki.

Kiedy wciskano jej twarz w ziemię.

Kiedy wykręcono jej rękę, że aż się złamała.

Kiedy sikała ze strachu do łóżka, każdej nocy. I kazano jej w tym leżeć. I śmierdziało gorzej niż w oborze.

Kiedy ją zamykano w ciemnościach, tłukła tyłem głowy w drzwi. Raz za razem, raz za razem. Ale nikt nie chciał jej usłyszeć, nikt jej nie wypuszczał.

Emmie zrobiło się aż czarno przed oczami i słabo od tych wspomnień.

– Schowałam się – mówiła dalej urywanym głosem. – Schowałam się na całe dni przed tym biciem, przed tą wściekłością. Dla innych po prostu zniknęłam, mogłabym umrzeć z głodu i pragnienia. Nikt się mną nie przejął, nikt nie zauważył, że mnie nie ma, nikt mnie nie szukał.

Emma długo patrzyła nieruchomym wzrokiem przed siebie. Jej prawdziwą matką była stara maciora, jej rodzeństwem kwiczące, wykastrowane prosiaczki. Ale przynajmniej miała jakąś rodzinę. Jakąś namiastkę rodziny.

Po długim milczeniu Maks spytał:

– A twoja matka?

– Matka? To były groźne kroki zbliżające się do mnie.

– A ojciec?

– Mój ojciec to były tchórzliwe kroki oddalające się ode mnie.

Maks mocno objął ją ramionami:

– Ach, moja ty dziewczynko.

Przy nim jej puls miał swój rytm, jej oddech stawał się regularny, jego chude ciało było jej oparciem. Wreszcie mógł dojść do głosu jej gniew. Dygotała od starych lęków, które on odpędzał pieszczotą. Ona płakała, a Maks mocno ją trzymał.

Wieczorem, w miejscu, gdzie spłonęło ferrari, Emma rozpałała ognisko. Wrzuciła w płomienie wszystko, co kiedyś należało do dziadka: mundur, legitymację partyjną, jego medale i czarne skórzane oficerki, wszystko. Wieszaki, chochle, rzemień, widły. W ogień z tym. Nie miała pojęcia, czemu tak długo to wszystko przechowywała.

– Powinnaś im przebaczyć – powiedział Maks.

– O, nie – odrzekła. – Nic z tego. Nie przebaczę. Nie odpuszczę. Mój gniew dobrze mi robi. Już nie idzie do środka i nie boli. Zaczął się uwalniać i wycieka ze mnie. I będzie tak sobie wyciekał kroplami przez lata. Kiedy wyschnie to źródło ropy, wtedy wybaczę. Dopiero wtedy wybaczę. Nie wcześniej.

Wszystko, czego nie dało się spalić, a co powinno zniknąć jej z oczu, trzeba było usunąć z gospodarstwa. Emma zapakowała to na przyczepę do zboża. Tę z hydraulicznym podnośnikiem, którą można było przechylać do tyłu. Nagle pozbycie się i wyrzucenie tych wszystkich śmieci okazało się dziecinnie proste. Emma zaprzęgała traktor do pełnej przyczepy.

Kiedy jechała z górą stuletnich śmieci przez wioskę, bambaryły zachodziły w głowę, co też tam się dzieje w tym jej gospodarstwie.

– Patrzaj no, Emma jedzie w halce. Zapomniała fartucha!

– Musi rozum jej odjęło.

– Pewnikiem przez to, że ją mają zlicytować.

– A bo to powód, żeby na nagusa po wsi jeździć?
– Co ona będzie robić, jak jej wszystko zabiorą?
– Podobno w tej tam wiosce, za lasem, jest jakiś świeży wdowiec z pięcioma bachorami.

– Ale chleje.

– Lepszy taki niż żaden.

– A czemu Henner jej nie weźmie?

– Spiorę go na kwaśne jabłko, jakby ją chciał. Emmie było serdecznie obojętne, co bambaryły na nią wygadują. Zajechała na gminne wysypisko, włączyła podnośnik i pozbyła się całego śmiecia.

Maks miał tak silne bóle, że niemal stracił przytomność. Powaliły go na ziemię. Zwinięty w kłębek leżał na podłodze w kuchni. Plecy go paliły. Skowyczał i płakał z bólu pożegnania. Płakał żałośnie. Jeszcze zanim Emma wróciła, dowlókł się jakoś do jej łóżka. Tam go zastała, śpiącego głębokim snem.

Przez następne dni nie chciał się stamtąd ruszyć i tylko słuchał Haendla. Muzyka była pocieszeniem dla jego rodziców, wspólnie puszczały płyty albo chodzili na koncerty, kiedy słowa były nie na miejscu, a ból istnienia brał górę nad wszystkim.

Menuety Mozarta go rozweselały, surowe fugi Bacha porządkowały na nowo życie, przy koncertach Telemanna na trąbkę jego rodzicom wracała wiara w Boga, a Haendel dostarczał im uczucia, że są wyjątkowi. Muzyki Czajkowskiego i Beethovena rodzice słuchali z rzadka, ponieważ wydawała im się zbyt doskonała.

Kilka dni potem, w pewien ciepły dzień późnego lata, Maks zapragnął podzielić się tym dziedzictwem z Emmą. Postawił w oknie głośniki wieży,

skierowane na podwórko. Włożył płytę z *Muzyką na wodzie*, odnalazł to miejsce, które tak lubił: brzmiało tak, jakby majestatycznie wkraczał król.

Wytyczył prostą ścieżkę przez podwórko, podstawił na bok wiadra, koryta i narzędzia. Zamiótł wszystko starym drapakiem, wziął wielki pleciony kosz i zerwał do czysta wszystkie kwiaty, jakie znalazł w ogrodzie i na polu. Potem wysypał ścieżkę na podwórku płatkami kwiatów. Kiedy Emma wróciła ze spaceru, aż przystanąła ze zdumienia. Co to ma być?

Maks przytaszczył jeszcze wszystkie fartuchy z sypialni Emmy, te należące do niej, do jej matki, i babki. Z rzeczy ojca znalazł jeszcze pasek.

– Co ty wyprawiasz?

– Chodź tutaj, chodź! – zawołał do niej.

Nawłókł na pasek wszystkie sto fartuchów, przekładając go po kolei przez wieszaki. Ściśnięte i nanizane na pasek, którym Maks otoczył biodra Emmy, tworzyły wielką, wielobarwną spódnicę. Tak szeroką, jakby pod spodem była rozpięta obręcz. Tak długą, że ciągnęła się elegancko po ziemi.

Emma poczuła się, jakby była na scenie albo w jakimś odświętnym korowodzie.

Na koniec Maks nałożył zdumionej Emmie na głowę wianuszek z kwiatów. Śmiała się jeszcze z tego zabawnego pomysłu, kiedy rozległy się dźwięki muzyki. Głośno, bardzo głośno rozbrzmiały na całym podwórku. Maks się wycofał.

Emma stała teraz sama, w sutej spódnicy, w koronie z kwiatów. Przed nią była wysypana kwiatami ścieżka. Maks dał jej znak, żeby po niej przeszła. Emma ostrożnie weszła na ten kobierzec kwiatów w takt *Muzyki na wodzie* Haendla.

Przyszły zaciekawione zwierzęta, przystając po bokach ścieżki, każde chciało ją zobaczyć, rzucić okiem na strój. Kury, kogut, świnię, krowa, pies.

Emma była wzruszona, wprawiło ją to w odświętny nastrój, już nie szła, tylko kroczyła majestatycznie przez szpaler swoich poddanych. Zrobiło jej się lżej i cieplej, dumnie zadarła brodę, opuściła swobodnie ramiona. Jej ciało się odprężyło, pierś wypięła do słońca. Wciągnęła w płuca świeże powietrze. Serce biło w takt muzyki, skóra się napięła.

Pod koniec ścieżki jej nogi stapały już zupełnie lekko. Zaczęła się kręcić w koło, najpierw powoli, potem coraz szybciej i szybciej. Fartuchy załopotwały na wietrze, kiedy rozległy się werble. Kolorowe fartuchy otworzyły się jak płatki kwiatu, a w samym środku nich tańczyła Emma z szeroko rozpostartymi ramionami, tańczyła w koło, tak długo, aż przebrzmiały ostatnie takty muzyki.

Tak jak Maks niewiele dotąd wiedział o ziemi, o brudzie, o krwi czy łzach, tak mało Emma wiedziała o muzyce i tańcu. Tak jak ograniczony dotąd był jej świński świat, tak teraz stał się rozległy. Emma pozostała dzika, ale w środku stała się spokojniejsza, bardziej swobodna i pewna siebie. Cudowne rozmowy o wszystkim wyczarowały na jej twarzy uśmiech, który napełniał Maksa szczęściem. Dawał mu poczucie, że nie żył na darmo.

Jeszcze bardziej triumfował, kiedy już następnego dnia po Haendlu Emma odważyła się na kolejny krok w życie, i to w bardzo kobiecym stylu: uznała mianowicie, że nie ma się w co ubrać.

Pojechała do miasta, weszła do największego i najpiękniejszego domu towarowego, upatrzyła sobie młodą, rudą ekspedientkę. Wcisnęła jej do ręki wszystkie pieniądze, jakie miała, i powiedziała:

– Czy mogłaby mnie pani za to ubrać?

Obie przekopały się przez wszystkie działy odzieży i bielizny damskiej. Emma mierzyła wszystko, co przynosiła jej dziewczyna. Jedno wybierała, inne odrzucała. Niewiele się zmieniło w jej upodobaniu do jaskrawych kolorów, tyle że krój nie był już fartuchowaty. Wkrótce była całkowicie wyposażona.

Dziewczyna dostała od niej w prezencie koszulę po babce i podziękowała rozradowanym:

– Wow! Ale odlotowe!

Także Hans zwrócił uwagę na nowy strój Emmy, gdy tylko wszedł na podwórko. Maks usnął i nie słyszał samochodu.

Hans i Emma przywitali się jak starzy przyjaciele.

– Udało się popchnąć projekt *happy pork*, to będzie hit, mówię ci. Prawdziwy hit.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Zaoferujemy hodowcom świń franczyzę... znaczy, dotrzemy do twoich kolegów po fachu, którzy będą od tej chwili hodować i bić świnie twoją metodą. Będziemy wydawać certyfikaty, że świniom powodzi się u nich tak dobrze, jak u ciebie, że żyją szczęśliwe i szczęśliwie umierają. Mięso tych zwierząt będzie najwyższej jakości: bardziej zwarte, czerwone i wyjątkowe w smaku. Wolne od wszelkich zanieczyszczeń, i dlatego będzie je można sprzedawać po trzykrotnie wyższej cenie. Wprowadziłem nową nazwę handlową i opatentowałem.

– No, dobrze, ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

– Ty? – Hans się uśmiechnął. – Będiesz z tego żyła.

Emma nie uwierzyła. Hans dał jej zaliczkę. Wzięła pieniądze, ale nadal nie wierzyła. Zamierzała oddać mu dolary, właśnie chciała powiedzieć o kielbasach, kiedy Hans spytał o Maksa. Zaprowadziła go do sypialni i zostawiła ich samych. Kiedy godzinę później Hans zjawił się w kuchni, mięśnie jego twarzy drgały, ale nie uronił ani jednej łzy.

– Pomóż mu – powiedział tylko.

Potem wyszedł i Emma zobaczyła, jak wali pięścią w dach samochodu i na krótką chwilę opiera się o karoserię, chowając głowę w ramiona. Wreszcie wsiadł i odjechał.

Wieczorem Emma i Maks siedzieli otuleni wełnianymi kocami na werandzie. Wieczory zrobiły się już chłodniejsze.

Maks spytał:

– Czy byłeś kiedyś w Meksyku?

– Byłam w mieście, w końcu. Poza tym nigdzie indziej.

I wtedy Max zaczął jej opowiadać o Meksyku, o ludziach, o swojej wymarzonej wysepce, o plaży, o chatkach Majów.

– Nie pojechalibyśmy tam? Razem? – spytał.

I opowiedział, jak pelikany łapią ryby w Zatoce Meksykańskiej. Emma zauważyła, jak dobrze mu to robi, kiedy tak opowiada o Meksyku. Zaczęła razem z nim snuć plany podróży, chociaż wiedziała, że nigdzie już razem nie wyjadą.

Chłopi z całej wsi mieli już zboże w stodołach. Nie uszło uwagi Hennera, że buraki u Emmy wciąż jeszcze są w ziemi, a łąki nieskoszone. Motorower milczał od bardzo długiego czasu, a dzieciaki przestały przynosić kiełbasy z zagrody Emmy.

Zatroskany i zciekawiony, pojechał w końcu do niej. Kiedy wszedł do domu, przeżył zaskoczenie. Wszystko było posprzątane i czyste. A Emma całkowicie odmieniona. Jakaś taka cicha.

– Co się z tobą dzieje?

– Sprzątam, Henner. Muszę przecież opuścić gospodarstwo. Chyba że wygrałam w lotka?

– Niestety, nie.

– No widzisz. Więc muszę przedtem posprzątać.

– Ty i sprzątanie? Od kiedy sprzątasz? To coś zupełnie nowego.

– Wszystko jest dobrze, Henner.

Wzięła go w objęcia i mocno przytuliła. Henner był kompletnie zaskoczony, bo Emma jeszcze nigdy w życiu nic takiego nie zrobiła. Te nagle czułości wtedy, i ta herbata, potem jakaś głośna muzyka, którą słyszeli wszyscy w całej wsi, a teraz jeszcze to!

– Byłeś moim najlepszym i jedynym przyjacielem, Henner.

– A dlaczego „byłeś”?

Nie doczekał się odpowiedzi, ale za to posłusznie odjechał, bo Emma sobie tego życzyła.

Nie chciała już nikogo więcej widzieć, ani piekarszowej, ani nikogo, a już, broń Boże, matki Hennera. Dlatego zakupy robiła tylko w sąsiedniej wiosce.

Na strychu znalazła starą brązową walizkę, ściszaną specjalnym pasem. Wypucowała ją i starannie nasmarowała, aż znowu wyglądała całkiem przyzwoicie. Do tej walizki spakowała wszystko, co chciała ze sobą zabrać. W tym czasie Maks ze ściągniętą z bólu twarzą leżał w jej łóżku i patrzył przez okno.

Żeby go czymś zająć, spytała:

– Miałeś kiedyś jakieś zwierzątko?

– Nie, nigdy – odpowiedział, wdzięczny za jakąś odmianę. – Matka się bała, że się do niego przyzwyczaję, pokocham, a potem, kiedy ono... – zamilkł przestraszony.

Umrze, zdechnie, dokończyła Emma w myślach. Chyba nie możemy o tym rozmawiać. Czemu on nie chce wypowiedzieć słowa „umrzeć”?

– Chociaż nie, miałem! – przypomniał sobie. – Miałem kiedyś zwierzątko.

Schowała się za drzwiami szafy, żeby nie widział jej łez.

– Miałem tasiemca! Wyszedł ze mnie. Urodziłem go w ubikacji. Miałem wtedy pięć lat. Trwało to w nieskończoność, z pewnością z kwadrans, zanim całkiem wyszedł.

Emma nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– Urodziłeś tasiemca?!

– Był strasznie długi, na parę metrów.

– Błee! – parsknęła śmiechem. Nie ma co, granica obrzydzenia nieźle mu się przesunęła od chwili, kiedy się u niej pojawił.

Ugotowała pożywnej zupy i nakarmiła Maksa, ponieważ całkiem już opadł z sił. Na koniec opatuliła go ciepłymi kocami i zaniósła na jego ulubione miejsce na werandzie. Było późne popołudnie. W ciepłym powietrzu brzęczały owady, niektóre byliny w ogrodzie znowu zaczynały kwitnąć.

Emma stanęła plecami do Maksa, chwyciła się mocno poręczy i skierowała wzrok na ogród.

– Co to jest? – spytała.

– Rak.

– Skąd wiesz?

– Byłem u lekarza.

– Da się jeszcze coś zrobić?

– Nie.

– Ile jeszcze?

– W każdej chwili.

– Boli cię?

– Bardzo.

– A co ja mogę dla ciebie zrobić?

Odwróciła się i udało jej się wytrzymać jego spojrzenie.

– Musisz mi pomóc, Emmo. Musisz mi pomóc.

Dopiero przed obliczem urzędnika stanu cywilnego Emma i Maks, dowiedzieli się, jak każde z nich ma na nazwisko.

Odświętnie ubrany pan odczytał coś z czarnej książeczki:

– A zatem z chwilą zawarcia związku obieracie państwo nazwisko Wachs?

– Tak – potwierdziła Emma, która miała na nazwisko Wachs.

– Zaraz, chwileczkę – wtrącił się Maks. – To ja miałbym się nazywać Wachs?!

– A co w tym złego? – Wzruszyła ramionami. – Przecież mężowi wolno przyjąć nazwisko żony.

– No, ale wtedy nazywałbym się Maks Wachs. To brzmi, jak... jak szczekanie psa.

– No tak – przyznała pojednawczo, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie.

– O, to może zdecydujesz się na podwójne nazwisko.

Urzędnik stanu cywilnego zajrzał do dokumentów i widać było, że robi wszystko, żeby powstrzymać się od śmiechu, co mu się jednak nie udało. Zaczął dziwnie gulgotać, a z oczu pociekły mu łzy. Dopiero po dłuższej chwili zdołał się opanować i rzekł:

– Bienen–Wachs*.

I znowu parsknął śmiechem za swoim dostojnym stołem.

Emma nie posiadała się ze zdumienia:

– Masz na nazwisko Bienen?!

– Wpisuję zatem, że przyjmują państwo nazwisko Bienen. Żadne z małżonków nie decyduje się na podwójne nazwisko. Państwo Bienen, serdecznie państwu gratuluję.

* *Nieprzetłumaczalna gra słów, Bienenwachs znaczy „wosk pszczele” (przyp. tłum.)*

Emma Bienen złożyła papiery o ekspresowe wyrobienie pierwszego paszportu w swoim życiu, a Maks zabukował lot w jedną stronę do Cancun w Meksyku.

Jego ciało wychudło, sama skóra i kości. Emma przeniosła go przez próg domu. Wystąpiła nowa fala bólu i nie chciała już ustąpić. Dygocząc, leżał w jej ramionach, przewracał żółtymi białkami oczu i w końcu zwymiotował na jej ślubną suknię.

– Przepraszam – powiedział.

– Na przyszłość będziesz rzygał bez przeproszania, zgoda?

Ból zachowywał się jak ostatni despota, który ma władzę nad wszystkimi częściami ciała. Maks nie mógł już ruszyć nawet ręką, tylko dygotał. Jego oczy nic już nie widziały, kiszki galopowały w rytmie smagnień bólu. Od czasu do czasu miewał jaśniejsze chwile, przez krótki czas był taki, jak dawniej. Wtedy Emma żartowała sobie z niego, mówiła „Bienenwachs”, a on wybuchał śmiechem.

Pieścił jej piersi, ona jego penisa, który pewnie miałby i chęć podokazywać, ale był całkiem bezwładny, jak staruszek, który nic już nie chce, tylko siedzieć w fotelu.

Bóle powróciły, dręcząc Maksa jak nigdy dotąd. Paliły go żywcem. Nie mówił już ani słowa, nie miał na nic nadziei, niczego już nie chciał i w zasadzie już nie żył. Ale płakał, cierpiąc jak nigdy. Błagalnymi spojrzeniami prosił o pomoc.

Co ja mam zrobić? – zadawała sobie pytanie Emma, chociaż odpowiedź znała już od dawna.

Emma wyniosła Maksa na podwórko i usiadła pod wyciągarką. Ułożyła jego ciało na bazaltowych płytach, z głową na swoich kolanach. Gładziła

dłonią jego włosy i skronie, łagodnym jednostajnym ruchem. Głaskała go, delikatnie poklepywała i przemawiała czule. Maks nie słyszał jej słów, spazmatycznie łapał ustami powietrze, jak wyrzucona na brzeg ryba. Powieki mu zatrzepotały, z najwyższym wysiłkiem je otworzył i utkwiał wzrok w Emmie.

Prawą ręką mocno objęła go za ramiona. Nie, nie da rady. Puściła go.

Wiedziała, że nie da rady, nikt nie dałby rady. Skuliła się, szlochając mu w koszulę.

Maks rzeził, wstrząsały nim drgawki. Szukał dłonią Emmy, trafił na kolano. Pogłaskał je. Chwycił. Wczepił się w nie.

W tym momencie podbiegł kogut, który stał na skraju podwórka. Jakby spłoszony niewidzialną dłonią, zaczął biec najszybciej, jak potrafił. Biegając, tak silnie machał przyciętymi skrzydłami, że w pewnej chwili rzeczywiście poderwał się z ziemi i zrobił całą jedną rundę wokół kasztana, zanim przestraszony wylądował na ziemi. Widzisz? Jak się chce, to można wszystko!

Jakby w odpowiedzi Emma wyjęła długi, ostry nóż i bez chwili wahania, jednym szybkim i precyzyjnym ruchem podcięła wreszcie Maksowi gardło. Maks krzyknął krótko, ale natychmiast się uspokoił. Emma dygotała ze strachu i przerażenia. Krew buchała z rany, Emma trzymała Maksa mocno. Zalewając się łzami, liczyła na głos:

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem.

Tak bardzo się bała, że on odczuje to zupełnie inaczej niż jej świnię. Tak bardzo się tego bała! Ale Maks leżał bez ruchu w jej ramionach, krew spływała na kamienne płyty i znikła w ziemi między nimi.

Maks miał zamknięte oczy. Emma szlochała z żalu. Drżącym głosem przemówiła do niego, udręczona:

– Dziękuję ci, że byłeś ze mną, kochałam cię, tak bardzo cię kochałam. Widzisz, wcale nie boli? Obiecywałam ci, że nie będzie bolało. Do widzenia, Maks. Do widzenia. Mój Maks. Mój Maks.

To był największy wysiłek, jakiego Emma dokonała w życiu. Żaden wieprzek nie był cięższy, żaden dziadek straszniejszy. Ciężko było odebrać sobie samej to, co najlepsze. A jednak wiedziała, że tak było słusznie. Żaden człowiek nie zasługuje, by umierać gorzej, niż może umrzeć świnia.

Odłożyła zakrwawiony nóż. Nigdy więcej nie weźmie do ręki noża, nigdy więcej.

Zaniosła ciało Maksa na swoje łóżko, złożyła mu ręce na piersiach i czule okryła.

Obmyła się, wyrzuciła zakrwawione ubranie, włożyła świeże i sięgnęła po skórzaną walizkę, która czekała przygotowana. Położyła ją obok siebie na siedzeniu traktora.

Potem poszła do obory, pootwierała wszystkie drzwi i kraty, każdą bramę i każdą klapę, dała ostatniego klapsa krowie, ucałowała starą maciore, tłustego knura, każdą świnie po kolei. Na koniec pożegnała się z kogutem.

Kogut nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Wszystkie zwierzęta milczały. Nawet ptaki. Nawet wiatr.

Wsiadła do traktora i wyjechała z zagrody. W śmieciach koło pedału gazu znalazła ostatnią czekoladkę. Podniosła ją i rzuciła za siebie. To sprawiło, że jej zwierzęta ocknęły się z odrętwienia. Kury rzuciły się na czekoladkę. Tylko kogut nie. Piał, patrząc za nią. A więc jednak.

Niedługo potem Henner dostał zawiadomienie, że przed głównym wejściem lotniska stoi zarejestrowany w jego rejonie traktor o numerach HOG-CK 58. W odpowiedzi zawiadomił, że coś się tutaj nie zgadza, ponieważ

zna właścicielkę, i ona na pewno nie pojechałaby starym traktorem na lotnisko, na sto procent.

W tym momencie do policyjnej izdebki wpadła jego stara matka i zaczęła jazgotać jadownicę, że brudny knur od Emmy właśnie stratował jej piękny ogródek, dokumentnie. A kogut od Emmy przed chwilą dobrał się do ulubionej kury piekarskiej.

I znowu Hennerowi nie udało się nic zrobić, żeby jego matka nie zadymiała radiowozu. Kiedy dojechali do zagrody Emmy, poleciał jej groźnym tonem:

– Masz zostać na tylnym siedzeniu! Jestem teraz na służbie, rozumiano?

Matka mruknęła coś zaskoczona i zrobiła sobie nowego skręta, chociaż poprzedni wciąż jeszcze zwisał z kącika ust.

W sypialni Henner zastał kompletny chaos. A więc Emma jednak spełniła swoje groźby. Widocznie ktoś przyszedł obejrzyć jej gospodarstwo w związku z licytacją. I spotkał go taki koniec, jaki zapowiadała Emma.

Niech ktoś spróbuje zabrać mi gospodarstwo, a zaszlachtuję jak wieprza!

Poderżnęła mu gardło, normalnie go zaszlachtowała. Henner był wstrząśnięty. Zszedł do kuchni i usiadł przy stole, żeby się uspokoić i pomyśleć, co powinien zrobić.

Wreszcie wrócił do samochodu i przez krótkofalówkę skontaktował się z Karlem, prosząc go, żeby przyjechał, ale jeśli to możliwe, to nie na sygnale.

Jego matka nasłuchiwała pilnie: Aha, więc coś się jednak stało. Siedziała cicho, ani drgnęła. Henner był tak przejęty, że prawie o niej zapomniał.

Niedługo potem na podwórko zajechał Karl i obydwaj mężczyźni weszli do domu. Matka Hennera powoli wygramoliła się z auta. Odkryła krwawą

plamę pod wyciągarką. Zobaczyła zakrwawiony nóż, wzięła go do ręki i długo oglądała.

W sypialni na górze ogniomistrz Karl stał przy łóżku Emmy.

– Oho! – brzmiał jego komentarz, kiedy ujrzał ciało. – Ale ten nie żyje.

– Dobrze zgadujesz, Karl. I co z nim zrobimy?

– Emmy nie ma?

Henner skinął głową.

– A ten to kto?

Henner wzruszył ramionami. Karl pokręcił głową.

– Ty to nigdy nic nie wiesz – powiedział, a potem dodał: – Wiesz, co ja myślę?

– Nie, a co?

– Twoja Emma dała nogę. A przedtem zaciukała tego tutaj.

– Też mi się tak wydaje, pewnie chciał przejąć jej gospodarstwo, to go zarżnęła. Nawet mi to powiedziała.

Karl popatrzył na Hennera z przestraszeniem:

– Zapowiedziała, że tak zrobi?

– Yhy.

– A ty?

– No, myślałem... znaczy, wiedziałem, że ją na to stać. Ale żeby tak od razu naprawdę?

Karl znowu pokręcił głową. Pochylił się nad zwłokami i zrobił obdukcję. Jako ogniomistrz nauczył się dużo o ludzkim ciele i sposobach przywracania funkcji życiowych, widział też niejedne zwłoki. Na autostradzie, albo na krajówce, zaklinowane w samochodach. Trupy go nie przerażały. Uważnie zbadał ciało z podciętych gardłem.

– Wychudzony, sama skóra i kości, żółtaczka, wzdęty brzuch. Ten człowiek był chory, śmiertelnie chory.

W kieszeni spodni znaleźli dokumenty Maksa.

– Maks Bienen.

Matka Hennera cichutko zakradła się do domu.

Przystanęła na najniższym stopniu drewnianych schodów i nasłuchiwała. Wciąż jeszcze trzymała w dłoni nóż.

– To zapytaj w centrali, kto to taki i czy ktoś go szuka. I zgłoś od razu, żeby wysłali list gończy za Emmą.

– O, nie, tego nie zrobię – zaprotestował Henner. –Przecież nie każę szukać Emmy, bo potem ją oskarżą, trafi pod sąd, za morderstwo albo coś równie strasznego, i pójdzie do więzienia na całe życie. A to nie dla Emmy, ona się tam będzie męczyć.

– Jak wszyscy.

– Ale ja nie chcę, żeby Emma. Ten tutaj – Henner wskazał na Maksa – był przecież chory, sam powiedziałaś. Ona mu po prostu pomogła, to był tak jakby, tak jakby...

– ...ubój z konieczności.

– O, właśnie, coś takiego, ubój z konieczności.

Henner pociągnął kilkakrotnie nosem. Czyżby dym papierosowy? Faktycznie. W drzwiach stała jego matka i zrzędziła swoim nasmołowanym głosem:

– Aaa, czyli kogoś zadźgała, zdzira jedna, tak? Do więzienia się pójdzie, tak? Ha, ha, ha, a to dopiero, ha, ha, ha!

Henner w trzech susach znalazł się przy niej, chwycił ją za rękę, w której trzymała nóż, i powiedział ostro:

– To, co tu widzisz, mamó, to jest narzędzie zbrodni. I jedyne odciski palców, jakie dadzą się na niej rozpoznać, będą twoje.

Matka Hennera gapiała się na własnego syna. Jak on śmie?! Ale Henner cały czas ścisnął jej rękę i zawołał do Karla:

– Słuchaj, czy to, co ona trzyma, to narzędzie zbrodni?

– Aha – mruknął Karl. – Sprawca jednoznacznie ustalony.

– Wy chyba macie nie po kolei w głowach! – wrzasnęła matka Hennera.

Ale Henner już przestał się jej słuchać:

– Jeszcze słowo, jeszcze jedno niewłaściwe słowo, a to ciebie wsadzę do więzienia. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Matkę zamurowało.

– A teraz wyjdź!

I wyszła.

Karl kiwnął głową z uznaniem.

Henner, który tak nagle zodważniał, zdecydował:

– Nie będzie listów gończych za Emmą.

– To co chcesz zrobić? Przecież to nasz obowiązek.

Henner walczył z Karlem, jak tylko dobry przyjaciel potrafi walczyć:

– Wtedy, z Brodziarzem, zrobiłeś to, co było twoim obowiązkiem. Ale dobre to nie było. Teraz masz okazję zrobić odwrotnie. Zrób coś, co nie jest twoim obowiązkiem, ale za to jest dobre.

Karl westchnął głęboko i skinął głową.

– Dobre jest to, co nielegalne. Co więc zrobimy?

– Ten człowiek leży tutaj i jest nieżywy. Martwy. I na tym poprzestańmy.

O tym, że całkiem przypadkiem wypłynęła z niego cała krew, nikt nie musi się dowiedzieć.

Karl pokręcił głową, ale milczał. Henner poinformował centralę w mieście, że niejaki Maks Bienen został znaleziony martwy w łóżku. Spytano, czy coś wskazuje na udział osób trzecich.

– Nie – odpowiedział Henner.

Spytano, czy na ciele widać jakieś obrażenia?

– Żadnych.

Ponieważ obydwaj byli od zawsze tak godni zaufania, zrezygnowano z przysyłania kogoś i robienia sekcji. Akt zgonu *in blanco* Henner dostał od wiejskiego lekarza. Tyle razy przyłapywał go już przecież na jeździe po pijanemu i puszczał wolno. A co to za lekarz wiejski bez prawa jazdy? No właśnie.

– A co będzie, jak otworzą trumnę?

– Niby kto?

– No, ktoś.

– Włoży mu się golf i załatwione! – zdecydował Henner.

Maksa włożono do trumny i przewieziono do miasta, gdzie było jego miejsce zamieszkania. Hans wykupił miejsce dla Maksa w pobliżu grobu jego rodziców. I zadbał o pogrzeb.

Henner znalazł karteczkę, na której Emma napisała, że świeże kiełbasy suszące się w suszarni są własnością salonu samochodowego Hilfingera. Lecz Henner uznał, że się jeszcze nie nadają, wybrał tylko te dobrze podsuszone i dostarczył Hansowi.

Henner i Karl pozostali najlepszymi przyjaciółmi. Matce Hennera wolno było palić wyłącznie w ogródku przed domem. A Karl przestał sobie robić wyrzuty z powodu Brodziarza.

*

Jak co roku na Boże Narodzenie Karl i jego ochotnicy ze straży pożarnej zorganizowali wysyłkę świątecznych paczek na Białoruś. Znalazły się w nich także fartuchy Emmy i jej bielizna, jak też zrobione ostatnio kiełbasy i szynki. Karl i Henner o tym zdecydowali. Dlatego właśnie zdarzyło się w niejednej białoruskiej rodzinie, że przy krojeniu niemieckiej kiełbasy, na stół wypadły zwinięte w ruloniki dolarowe banknoty. Cóż za zdumienie, cóż za radość i szczęście! Pieniądze wróciły tam, skąd przyszły, tyle że w bardziej potrzebujące ręce. W wielu białoruskich domach pito tego roku za zdrowie szlachetnego darczyńcy i życiono mu długiego, zdrowego życia.

Emma pozostała w Meksyku na zawsze. Jednak serdeczne życzenia z Białorusi musiały ją tam odnaleźć, ponieważ w kilka miesięcy po przybyciu urodziła zdrową dziewczynkę.

Projekt *happy pork* zapewnił Emmie utrzymanie do końca życia.

A gdy zobaczyła pelikany, wiedziała, że Maks także odnalazł nowe życie, w zdrowym ciele, w nowym świecie.

Bez was..

Dziękuję wszystkim moim przyjaciołom za inspiracje, słowa zachęty i krytyki, którymi dzielili się ze mną w trakcie powstawania tej książki. Zwłaszcza Peter Schreiber i Marianne Schonbach przeczytali wiele stron maszynopisu – im obojgu dziękuję najbardziej.

Dziękuję Rodzicom, od których dowiedziałam się wielu szczegółów na temat hodowli świń.

Dziękuję Bettinie Woernle, która udzieliła mi gościny w swoim włoskim domu w San Fiorano, gdzie mogłam poświęcić się pisaniu.

Dziękuję Ilonie i Eckhardowi Dierlichom za objaśnienie szczegółów medycznych oraz Waltraut Dennhardt–Herzog za austriacką niemczyznę Dagmary.

Eric Sommer z północnej Hesji zawdzięczam historyjkę *Cielątko albo zawał* – opowiedziała mi ją ładnych parę lat temu.

Serdecznie dziękuję mojej agentce Ericie Stegmann, która niezachwianie wierzyła w powodzenia mojego zamysłu.

Marii Koettnitz, mojej redaktorce, dziękuję szczególnie. To ona przemieniła maszynopis w książkę i podarowała mi Czytelników – trudno o większe szczęście dla osoby piszącej.

Z autorką można się skontaktować przez stronę: www.schreiber-werkstatt.de